

Rosamunde Pilcher

Czas burzy

Zaczął się to pewnego poniedziałku pod koniec stycznia, w taki ponury dzień w ponurej porze roku. Było już po Bożym Narodzeniu i Nowym Roku – o tych świętach zapomnieliśmy, a nowy sezon jeszcze się nie zaczął. Londyn był zimny i surowy, a sklepy pełne nie spełnionych nadziei i strojów „wycieczkowych”. Nagie gałęzie drzew w parku tworzyły jakby koronkę na tle niskiego pułapu nieba, a wydeptana trawa pod nimi była tak posępna i martwa, że aż trudno było uwierzyć, że jeszcze kiedykolwiek pokryje się dywanem żółtych i liliowych krokusów.

Był to dzień jak co dzień. Kiedy zadzwonił budzik, było jeszcze ciemno, ale ciemność tę rozjaśniała duża powierzchnia nie zasłoniętych okien. Widać było przez nie wierzchołek płataną podświetlonego ciepłym blaskiem światła odległej ulicy.

Jedynymi meblami w moim pokoju były: kanapa, na której leżałam, i kuchenny stół, który w wolnych chwilach miałam zamiar oskrobać z farby i przetrzeć politurą. Podłoga z desek była nie przykryta. Skrzynka po pomarańczach pełniła funkcję szafki nocnej; druga, podobna, zastępowała krzesło.

Wyciągnęłam rękę, aby zapalić światło, i ogarnęłam wzrokiem całą tę ubogą scenerię z uczuciem najwyższej satysfakcji. To było moje pierwsze samodzielne mieszkanie. Wprowadziłam się tu zaledwie trzy tygodnie temu. Było ono wyłącznie moje. Mogłam zrobić z nim, co chciałam. Na przykład – zakleić białe ściany plakatami albo pomalować je na pomarańczowo. Gołe deski podłogi mogłam wyszorować piaskiem albo pociągnąć jakimś kolorem.

Zacząłam się już poddawać instynktowi posiadacza, kiedy zatrzymywałam się przed sklepami ze starzyzną, wypatrując drobiazgów, na które byłoby mnie stać. W ten sposób zdobyłam już stół, a na oku miałam antyczne lustro w złoczonej ramie, tylko nie odważyłam się jeszcze wejść do sklepu i zapytać, ile to miałyby kosztować. Może powiesiłabym je nad kominkiem albo na ścianie naprzeciw okna, tak aby odbicie nieba i drzewa w ozdobnej ramie tworzyły jakby obraz.

Te przyjemne rozważania zajęły mi trochę czasu. Spojrzawszy na zegar stwierdziłam, że robi się późno, toteż wygrzebałam się z łóżka i poczłapałam boso do malutkiej kuchni, gdzie postawiłam czajnik na gazie. Tak zaczął się dzień.

Moje nowe mieszkanie mieściło się w Fulham, na najwyższym piętrze szeregowego domku należącego do Maggie i Johna Trentów. Poznałam ich w czasie świąt Bożego Narodzenia, które spędzałam u Stephena Forbesa. Wraz z żoną Mary i gromadą nieporządných dzieci mieszkał w wielkim i nieporządnym domu w Putney. Stephen Forbes był moim szefem, właścicielem księgarni na Walton Street, gdzie przez cały zeszły rok pracowałam. Zawsze był dla mnie nadzwyczaj uprzejmy i życzliwy, toteż gdy dowiedział się od innych dziewcząt, że w święta będę sama – wraz z żoną wystosował zaraz stanowcze zaproszenie, a raczej polecenie, abym spędziła

te trzy dni z nimi. Sugerował, że jest u nich masa miejsca, może być pokój na facjacie albo łóżko w pokoju Samanty, jeśli nie robi mi to różnicy. No i zawsze mogłabym na przykład pomóc Mary piec indyka czy zbierać z podłogi ścinki bibułki.

Patrząc na sprawę z tego punktu widzenia, w końcu się zgodziłam i świetnie się bawiłam. Nie ma nic lepszego niż rodzinne święta Bożego Narodzenia, pełne dzieci, zgiełku, szelestu papieru, prezentów i zapachu choinki obwieszanej bombkami i niezdarnymi świecidelkami domowego wyrobu.

Wieczorem w drugi dzień świąt, kiedy dzieci były już w łóżkach, Forbesowie urządzili przyjęcie dla dorosłych, co nie przeszkadzało, że nadal bawiliśmy się w dziecinne gry. Na to przyjęcie przyszli Maggie i John Trentowie, młode małżeństwo; ona była córką wykładowcy z Oksfordu, którego Stephen znał z okresu studiów. Należała do osób zawsze roześmianych i łatwo nawiązujących kontakt z ludźmi, toteż gdy tylko przyszła, przyjęcie nabrało tempa. Przedstawiono nas sobie, ale nie miałyśmy szansy porozmawiać, dopóki nie zaczęła się gra w „szarady”. Polegało to na tym, że siedzący na kanapie mieli odgadnąć tytuł filmu, który Mary próbowała demonstrować mimicznie. Ktoś ni z tego, ni z owego wykrzyknął: „Rosę Marie!”

– Mechaniczna pomarańcza!

Maggie, pokonana, opadła na kanapę i zapaliła papierosa.

– To dla mnie za trudne – powiedziała. Odwróciła ciemnowłosą głowę, aby popatrzeć na mnie. – Pracuje pani u Stephena, prawda?

– Tak.

– Przyjdę tam w przyszłym tygodniu, aby zrealizować moje gwiazdkowe bony książkowe. Dostałam ich całą masę.

– Szczęściara z pani.

– Dopiero co wprowadziliśmy się do naszego pierwszego domu, więc potrzeba mi książek, które mogłabym wyłożyć na stoliku do kawy tak, żeby znajomi pomyśleli, jaka to jestem cholernie inteligentna...

Ktoś zawołał wtedy: „Twoja kolej, Maggie!” Ona odpaliła: „O, kurczę”, zerwała się na nogi, po czym ukradkiem wyszła, aby obmyślić, co ma zamiar zainscenizować. Nie pamiętam już, co to było, ale to, że tak uroczo umiała się wygłupiać, wzbudziło moje ciepłe dla niej uczucie i nadzieję, że spotkam ją znowu.

Tak też się stało. Dotrzymała słowa i po kilku dniach przyszła do mojej księgarni. Miała na sobie barani kożuszek i długą fioletową spódnicę, a jej torebka była wypchana bonami książkowymi. Akurat nikogo nie obsługiwałam, więc wyszłam z za zgrabnego stosiku powieści w błyszczących okładkach i powiedziałam: „Dzień dobry!”

– O, świetnie, że pani jest. Miałam nadzieję, że panią zastanę. Czy mogłaby mi pani pomóc?

– Ależ oczywiście!

Wybrałyśmy razem książkę kucharską, nową autobiografię kogoś, kto był na ustach wszystkich, no i fantastycznie drogi album malarstwa impresjonistów, który miał się znaleźć na

tym legendarnym już stoliku do kawy. Kosztowało to nieco więcej niż równowartość bonów książkowych, więc pogrzebała w torebce i wyciągnęła książeczkę czekową, aby dopłacić różnicę.

– John będzie wściekły – stwierdziła z widocznym zadowoleniem, wypisując należną sumę czerwonym flamastrem. Ponieważ czek był na żółtym papierze, razem dawało to wesoły efekt. – Mówi, że wydajemy za dużo pieniędzy. No, proszę – odwróciła czek, aby napisać na nim swój adres. – Bracken Road 14, kierunek SW 6. – Przeczytała to na głos, w razie gdybym nie mogła odczytać jej pisma. – Jeszcze nie mam wprawy w pisaniu tego adresu, dopiero co się wprowadziliśmy. Nie uwierzy pani, kupiliśmy ten dom w wieczyste użytkowanie – to takie podniecające! Rodzice dołożyli się nam do wkładu, a John wyłudził od jakiejś firmy budowlanej pożyczkę na resztę płatności. Dlatego teraz chcemy odnajdąć górne piętro, aby móc spłacić dług hipoteczny, ale myślę, że wszystko będzie dobrze. – Uśmiechnęła się. – Musi nas tam pani odwiedzić!

– Chciałabym. – Akurat pakowałam jej zakupy, starannie dobierając papier i składając go do kantu.

Przyglądała mi się.

– To bardzo nieuprzejme z mojej strony, ale nie wiem, jak pani się nazywa. Wiem, że Rebeka, a jak dalej?

– Rebeka Bayliss.

– A czy nie zna pani jakiejś miłej, spokojnej osoby, która potrzebowałaby nie umeblowanego mieszkania?

W tym momencie myślałyśmy o tym samym, tak że prawie nie trzeba było słów. Zawiązałam węzełek na sznurku od paczki i urwałam go.

– A gdybym to była ja? – spytałam.

– Pani? A czy pani poszukuje mieszkania?

– Przed chwilą jeszcze nie szukałam, ale teraz już tak.

– Tam jest tylko pokój z kuchnią. A łazienka jest wspólna.

– Jeśli pani to nie przeszkadza, to i mnie też nie, jeśli, oczywiście, będzie mnie stać na komorne. Nie wiem, ile pani żąda.

Maggie wymieniła sumę. Przełknęłam ślinę, wykonałam parę obliczeń w pamięci i stwierdziłam:

– Może być.

– Czy ma pani jakieś meble?

– Jeszcze nie, bo dotychczas mieszkałam z dwiema dziewczynami w umeblowanym mieszkaniu. Ale jakieś zdobędę.

– Brzmi to, jakby pani rozpaczliwie chciała się wyprowadzić.

– Nie tak znów rozpaczliwie, ale chciałabym mieszkać sama.

– Jednak zanim pani się zdecyduje, lepiej będzie, jeśli pani wpierw przyjdzie to zobaczyć. Może kiedyś wieczorem, bo oboje z Johnem pracujemy.

– Dziś wieczorem? – Nie mogłam już opanować niecierpliwości i podniecenia w głosie.

Maggie zaśmiała się.

– Dobrze, dziś wieczorem! – Po czym wzięła ślicznie zapakowane książki i szykowała się do wyjścia.

Nagle ogarnął mnie przestach. ^c – Nn... nie znam pani adresu – wyjąkałam.

– Głuptasku, masz go na odwrocie czeku. Wsiądziesz w autobus linii 22. Będę czekać około siódmej.

– Przyjadę – obiecałam.

Trzęsąc się w autobusie jadącym powoli przez Kings Road, celowo tłumiłam swój entuzjazm. Właściwie chciałam kupić kota w worku. Mieszkanie mogło przecież nie nadawać się do niczego, mogło być za duże, za małe lub w jakiś inny sposób niewygodne. Najgorsze byłoby rozczarowanie.

I rzeczywiście, z zewnątrz domek niczym się nie wyróżniał, był jednym z szeregu czerwonych ceglanych budyneczków z fantazyjnymi fugami wokół drzwi i deprymującym upodobaniem do witraży. Ale pod numerem czternastym pachniało w środku świeżą farbą i nowymi dywanami, no i była tam Maggie, w niebieskim swetrze i starych dżinsach.

– Przepraszam za mój strój, ale muszę wszędzie wysprzątać, więc przebieram się po powrocie z pracy. Chodź, wejdziemy na górę i zobaczysz pokój... Powieś palto na balaskach od poręczy. John jeszcze nie wrócił, ale mówiłam mu, że przyjdiesz, i był zachwycony.

Nie przestając mówić, zaprowadziła mnie na górę, do pustego pokoju położonego w tylnej części domu. Zapaliła światło.

– Okna wychodzą na południe, na taki mały park. Poprzedni właściciele tego domu dorobili na dole przybudówkę, więc na jej dachu masz coś w rodzaju balkonu.

Otworzyła szklane drzwi i wysunęłyśmy się w chłód i ciemność nocy. Poczulałam zapach liści i wilgotnej ziemi, ogarnęłam wzrokiem ciemną przestrzeń otoczoną światłami latarni ulicznych. Nagły powiew porywistego wiatru poruszył czarną sylwetkę płąta. Jego szum został zagłuszony rykiem przelatującego nad nami samolotu.

– Tu jest całkiem jak na wsi – powiedziałam.

– No, to już druga zaleta tego miejsca. – Tu zatrzęsa się z zimna. – Wejdźmy do środka, zanim zamrzniemy.

Znalazłyśmy się po drugiej stronie oszklonych drzwi i Maggie pokazała mi wnękę kuchenną wygospodarowaną z tyłu głębokiego kredensu. Na półpiętrze znajdowała się łazienka, którą mieliśmy używać wspólnie. W końcu zeszyliśmy na dół do ciepłego, choć niezbyt uporządkowanego saloniku, gdzie Maggie wyciągnęła butelkę sherry i trochę chipsów ziemniaczanych. Usprawiedliwiała się, że są nieświeże, ale bardzo mi smakowały. Wreszcie spytała:

– Czy nadal chcesz tu zamieszkać?

– Bardziej niż kiedykolwiek.

– Kiedy chciałabyś się wprowadzić?

– Jak najprędzej. Jeśli mogłabym, to może w przyszłym tygodniu.

– A co powiesz dziewczynom, z którymi teraz mieszkasz?

– Znajdą sobie kogoś innego. Do jednej z nich ma przyjechać siostra i pewnie ona zajmie moje miejsce.

– A skąd weźmiesz meble?

– Och, jakoś skombinuję.

– Przypuszczam – skomentowała Maggie z zadowoleniem w głosie – że twoi rodzice staną na głowie i coś ci wynajdą. Wszyscy rodzice to robią. Kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Londynu, moja matka powyciągała ze strychu nieprawdopodobne skarby, komodę na bieliznę i...

– tu głos jej zamarł.

Widziałam, że zamilkła i posmutniała, aż sama zaczęła się z siebie śmiać.

– No tak, znowu otworzyłam dziób i chlapięłam coś niepotrzebnego. Przepraszam cię, zawsze muszę być tak głupio nietaktowna.

– Nie mam ojca, a moja matka jest za granicą, na Ibizie. Właśnie dlatego szukam jakiegoś własnego kąta.

– Tak mi przykro. Powinnam była się tego dowiedzieć, kiedy spędzałaś święta u Forbesów... Chciałam powiedzieć, że powinnam się była domyślić.

– Nie miałaś absolutnie powodu, aby się tego domyślać.

– Czy twój ojciec nie żyje?

Była zwyczajnie ciekawa, ale okazywała to w sposób tak szczerzy i przyjazny, że wydawałoby mi się śmieszne, gdybym zachowała się tak jak zwykle w takiej sytuacji. Zazwyczaj zamykałam się w sobie i milkłam, kiedy zadawano mi pytania dotyczące mojej rodziny.

– Nie przypuszczam – odpowiedziałam, siląc się na ton „jakby nigdy nic”. – Myślę, że mieszka w Los Angeles. Wiesz, był aktorem, z którym moja matka uciekła z domu jako osiemnastoletnia dziewczyna. Ale wkrótce albo się znudził monotonią życia domowego, albo uważał, że jego kariera jest ważniejsza niż założenie rodziny. W każdym razie ich związek trwał tylko kilka miesięcy, a potem opuścił moją matkę, jeszcze przed moim urodzeniem.

– Jakie to było podłe!

– Pewnie tak, ale nigdy specjalnie się nad tym nie zastanawiałam. Matka nigdy o nim nie wspominała. Nie żeby była rozgoryczona czy coś w tym rodzaju, ale była już taka, że gdy tylko miała coś poza sobą, przeważnie wyrzucała to z pamięci. Wolą patrzeć w przyszłość i zawsze była optymistką.

– Ale co robiła potem, po twoim urodzeniu? Czy wróciła do rodziców?

– Nie, już nigdy.

– To znaczy, że nikt nie wysłał do niej telegramu: „Wracaj, wszystko przebaczymy”?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

– Kiedy twoja matka uciekła z domu, na pewno wybuchła straszna draka, ale mimo to... –

zawiesiła głos. Widać było, że nie jest w stanie zrozumieć sytuacji, którą ja przez całe życie spokojnie znosiłam. – Co za ludzie mogli tak postąpić z własną córką?

– Nie wiem.

– Chyba żartujesz?

– Nie, słowo honoru, że nie wiem.

– To znaczy, że nie znasz własnych dziadków?

– Nie wiem nawet, kim są, czy może, kim byli. Nie wiem nawet, czy jeszcze żyją.

– Niczego o nich nie wiesz? Matka nigdy ci nic nie mówiła?

– Na pewno od czasu do czasu wspominała o tym czy owym, ale to wszystko nie trzymało się kupy. Wiesz, w jaki sposób matki opowiadają dzieciom, co się działo, kiedy były małe.

– Bayliss... – Maggie zmarszczyła brwi. – To nie jest pospolite nazwisko. Z czymś mi się kojarzy, ale nie mogę sobie uprzytomnić, z czym. Nie znalazłaś nigdy żadnych śladów?

Śmieszył mnie jej upór.

– Sugerujesz, że ich szukałam. Aleja naprawdę nie próbowałam. Jeśli nie zna się własnych dziadków, nie tęskni się za nimi.

– Ale nawet nie jesteś ciekawa... – szukała w myśli odpowiednich słów. – Gdzie oni mieszkali?

– To akurat wiem. Mieszkali w Kornwalii, mieli dom z kamienia położony wśród pól opadających w kierunku morza. Był jeszcze Roger, brat mojej matki, ale zginął podczas wojny.

– Dobrze, ale co ona robiła, jak już się urodziłaś? Chyba musiała poszukać sobie jakiejś pracy?

– Na szczęście nie musiała, bo miała trochę własnych pieniędzy, spadek po jakiejś starej ciotce. Oczywiście nie stać nas było na samochód czy inne takie rzeczy, ale jakoś dawałyśmy sobie radę. Mama wynajęła mieszkanie w Kensington, w suterenie domu należącego do jej znajomych. Mieszkałyśmy tam, dopóki nie skończyłam ośmiu lat. Wtedy wysłała mnie do szkoły z internatem, a potem wciąż gdzieś się przeprowadzałyśmy.

– Takie szkoły drogo kosztują.

– Tak, ale ta nie była zbyt ekskluzywna.

– Czy twoja matka ponownie wyszła za mąż? Spojrzałam na Maggie. Wyraz jej twarzy ujawniał ożywienie i zachłanną ciekawość, lecz było to wszystko bardzo miłe. Zdecydowałam, że skoro sprawy zaszły aż tak daleko, równie dobrze mogę powiedzieć jej wszystko.

– Ona... no... nie należała do osób, które chętnie wychodzą za mąż. Ale zawsze była bardzo atrakcyjna i nie przypominam sobie momentu, żeby nie kręcił się przy niej jakiś wielbiciel. A już kiedy byłam w szkole, nie miała żadnego powodu, aby się krępować. Nigdy nie wiedziałam, gdzie przyjdzie mi spędzać następne święta. Raz była to Francja, a konkretnie Prowansja. Czasem bywałam tu, w Anglii, a raz trafiły mi się święta w Nowym Jorku. Maggie przetrwała to w sobie i skrzywiła się.

– Musiało to być dla ciebie niezbyt przyjemne.

– Ale za to jakie pouczające! – Już dawno temu nauczyłam się obracać te sprawy w żart. – Pomyśl tylko, jaki kawał świata zwiedziłam, a w jakich ciekawych miejscach mieszkałam! Raz to był hotel Ritz w Paryżu, a kiedy indziej okropnie zimny dom w Denbighshire. Ten ostatni należał do poety, który chciał spróbować szczęścia w hodowli owiec. Nigdy w życiu nie cieszyłam się tak jak wtedy, kiedy ta znajomość została zerwana.

– Twoja matka musi być bardzo piękna.

– To raczej mężczyźni uważają ją za piękną. Jest za to bardzo swobodna w zachowaniu, nieobliczalna i nieprzewidywalna. Przypuszczam, że uznałabyś ją za osobę całkowicie amoralną. Potrafi doprowadzać do szału. Wszystko dla niej jest „zabawne” – to jej ulubione słowo. Nie zapłacone rachunki są „zabawne”, tak samo jak zgubione bagaże i nie odpisane listy. Nie ma przywiązania do pieniędzy ani poczucia obowiązku. Jest osobą raczej trudną we współżyciu.

– A co ona robi na Ibizie?

– Żyje z jakimś Szwedem, którego tam poznała. Wyjechała tam do znajomych, potem poznała tego faceta i napisała mi, że się do niego wprowadza. Twierdziła, że jest on typowym zimnym nordykiem, ale ma piękny dom.

– Jak dawno widziałas ją ostatni raz?

– Jakieś dwa lata temu. Oswobodziłam ją od siebie, kiedy miałam siedemnaście lat. Ukończyłam kurs dla sekretarek, potem pracowałam dorywczo, aż wylądowałam w księgarni Forbesa.

– Podoba ci się ta praca?

– Tak.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia jeden.

Maggie uśmiechnęła się i z podziwu aż wstrząsnęła falą długich włosów.

– Dużo zdążyłaś już osiągnąć jak na ten wiek – powiedziała bez odrobiny współczucia, a raczej z lekką zazdrością. – Kiedy ja miałam dwadzieścia jeden lat, byłam promieniejącą panną młodą w obcisłej białej ślubnej sukni i staroświeckim welonie pachnącym naftaliną. Nie jestem tradycjonalistką, ale moja matka jest, a ja tak ją kocham, że zwykle robię to, czego sobie życzy.

Mogłam wyobrazić sobie matkę Maggie. Nie przychodziła mi jednak na myśl żadna inteligentna odpowiedź, więc posłużyłam się frazesem i luźno rzuciłam:

– No tak, różnie to bywa.

W tym momencie usłyszałyśmy, jak John otwiera drzwi i nie podejmowałyśmy już tematu matek ani rodzin.

Ten dzień był taki jak inne, ale miał dodatkową zaletę. W zeszły czwartek do późna pracowałam ze Stephenem przy styczniowej inwentaryzacji, za co w nagrodę dał mi dzisiaj wolne przedpołudnie, więc aż do przerwy na lunch mogłam zająć się swoimi sprawami. Przeznaczyłam ten czas na sprzątnięcie mieszkania (co na ogół nie zajmowało mi więcej niż pół

godziny), zakupy i zanieśnię brudnych rzeczy do pralni. Skończyłam te „zajęcia domowe” około wpół do dwunastej, więc ubrałam się i powoli ruszyłam do pracy. Część drogi miałam zamiar przebyć piechotą, aby przed pracą wstąpić gdzieś coś zjeść.

Dzień był z gatunku tych zimnych, wilgotnych i ponurych, takich, gdy nigdy nie jest naprawdę jasno. W taką pogodę weszłam w New Kings Road i skierowałam się na zachód. Tu chyba w każdym sklepie sprzedawano antyki, używane meble lub ramy do obrazów. Wydawało mi się, że znam wszystkie te sklepy, ale tego, przed którym teraz stałam, musiałam przedtem nie zauważyć. Elewacja była biała, framugi okien czarne, a nad nimi rozciągnięte czerwono-białe markizy dla ochrony przed deszczem.

Spojrzałam w górę, aby zobaczyć nazwę sklepu, i odczytałam nazwisko TRISTRAM NO LAN wypisane dużymi, czarnymi, drukowanymi literami. Po obu stronach wejścia znajdowały się okna wystawowe zastawione różnymi uroczymi drobiazgami.

Światło z wnętrza padało na chodnik, na którym przystanąłam, aby zajrzeć do środka. Wewnątrz były przeważnie meble w stylu wiktoriańskim, z odnowioną tapicerką i świeżą politurą: na przykład pikowana kanapa z szerokim siedzeniem, na ślimakowatych nogach; szkatułka na przybory do szycia; czy mały obrazek przedstawiający pieski na aksamitnej poduszce.

Zagląając przez okna do wnętrza sklepu, dojrzałam dwa krzeselka z wiśniowego drzewa. Były jednakowe, z wyściełanymi oparciami, na wygiętych nogach i z siedzeniami haftowanymi w róże.

Nagle nabrałam strasznej ochoty na te krzesła. Wyobraziłam już je sobie w swoim mieszkaniu i po prostu ich pragnęłam. Przez moment wahałam się, gdyż nie był to sklep ze starzyzną, a więc ceny tu mogły przekraczać moje możliwości. W końcu jednak co szkodziło zapytać? Zanim opuściłaby mnie odwaga, wolałam otworzyć drzwi i wejść.

Sklep był pusty, ale przy otwieraniu drzwi zabrzączał dzwonek. Już słyhać było, że ktoś wchodzi po schodach. Wełniana kotara zasłaniająca drzwi na zaplecze została odsunięta na bok i zobaczyłam mężczyznę.

W tym otoczeniu musiałam się chyba spodziewać starszego pana w garniturze i pod krawatem, gdyż wygląd tego człowieka zachwiał wszystkie moje uprzednie mętne wyobrażenia. Mężczyzna był młody, wysoki i długonogi, ubrany w sprany niebieski dżinsowy komplet – spodnie przylegające jak druga skóra i kurtkę z zawiniętymi rękawami, spod których widać było mankiety kraciastej koszuli. Na szyi nosił bawełnianą chustkę, a na nogach miękkie mokasyny z frędzlami.

Tej zimy najdziwniejsze indywidua pętały się po Londynie w strojach kowbojów, ale ten, podobnie jak jego ubranie, wyglądał jakoś autentycznie. Staliśmy, mierząc się nawzajem wzrokiem, aż on się uśmiechnął, czym mnie, nie wiadomo czemu, zaskoczył. Ponieważ nie lubię być zaskakiwana, powiedziałam „dzień dobry” nieco chłodnym tonem. Mężczyzna zasunął za sobą kotarę i bezszelestnie podszedł.

– Czym mogę służyć?

Ten człowiek mógł wyglądać jak typowy Amerykanin, ale kiedy tylko otworzył usta, okazało się, że nic podobnego. Nie wiem dlaczego, ale podziało mi to na nerwy. Życie, jakie prowadziłam u boku mojej matki, nauczyło mnie cynicznego stosunku do mężczyzn w ogóle, a farbowanych lisów w szczególności. Tego zaś młodego człowieka z góry zaklasyfikowałam jako farbowanego lisa.

– Chciałabym... dowiedzieć się o te małe krzeselka z wyściełanymi oparciami.

– Ach, te! – Podszedł i położył rękę na oparciu jednego z nich. Dłoń miał smukłą, kształtną, z palcami o łopatkowatych zakończeniach i brązowej skórze. – Są tylko te dwa.

Staralam się nie zauważać go, patrzyłam tylko na krzesła.

– Ciekawe, ile też mogą kosztować? Przykucnął obok mnie, aby spojrzeć na metkę z ceną.

Wtedy zwróciłam uwagę, że jego włosy, prosto opadające na kołnierzyk, są ciemne i błyszczące.

– Ma pani szczęście – wyjaśnił. – Są do sprzedania po bardzo niskiej cenie, gdyż jedno z nich miało odłamaną nogę, niefachowo naprawioną.

Wyprostował się nagle, zaskakując mnie swoim wzrostem. Oczy miał ciemnobrązowe, lekko skośne, a ich wyraz zbijał mnie z tropu. Nie czułam się dobrze w jego obecności, a moja początkowa antypatia do niego przerodziła się w niechęć.

– Razem kosztują piętnaście funtów – zakomunikował. – Gdyby jednak pani zechciała poczekać i trochę dopłacić, mógłbym ponownie umocować tę nogę i dać trochę lakieru na miejsce spojenia. Wtedy będzie się mocniej trzymać i ładniej wyglądać.

– A tak jak jest, nie może być?

– Jak dla pani, mogłoby być – odparł młody człowiek – ale gdyby kiedyś przyszedł do pani na kolację jakiś potężny, gruby pan, przypuszczalnie wylądowałby na podłodze.

Przez chwilę przyglądałam mu się, mając nadzieję, że wystarczająco chłodno. Z jego oczu przebijało złośliwe zadowolenie, którego nie miałam zamiaru dzielić. Wcale nie podobał mi się pomysł, aby jedynym mężczyzną, który kiedykolwiek miał przyjść do mnie, był akurat jakiś potężny grubas. Zakończyłam więc sprawę.

– Ile kosztowałyby reperacja nogi?

– Powiedzmy pięć funtów. Tym sposobem krzesła będą panią kosztowały dychę każde.

Przemyślałam to i stwierdziłam, że stać mnie na nie.

– Biorę!

– Świetnie! – odrzekł młodzieniec, wziął się pod boki i mile się uśmiechnął, jakby to już był koniec całej transakcji.

Doszłam do wniosku, że jest to jakiś niepoważny człowiek.

– Czy mam zapłacić z góry, czy może dać zaliczkę?

– To bez znaczenia. Może pani zapłacić za nie przy odbiorze.

– A kiedy będą gotowe?

- Mniej więcej za tydzień.
- Czy mam podać panu moje nazwisko?
- Nie, chyba że pani sama zechce.
- A co by było, gdybym już więcej nie przyszła?
- Przypuszczam, że kupiłby je kto inny.
- Nie chciałabym ich stracić.
- Nie ma obaw – zapewnił mnie młody sprzedawca.

Zmarszczyłam się, zła na niego, ale on tylko się uśmiechnął i poszedł otworzyć mi drzwi. Chłodne powietrze wdarło się do środka. Na zewnątrz zaczęło padać i zrobiło się ciemno jak w nocy.

- Do widzenia! – pożegnał mnie sprzedawca.

Zdobyłam się na lodowaty uśmiech tytułem podziękowania i minęłam go, idąc do wyjścia. Wychodząc, usłyszałam dzwonek zamykających się za mną drzwi.

Ten dzień od rana był jakiś dziwny. Przyjemność kupowania krzeseł z wiśniowego drzewa zmąciło mi zachowanie młodego sprzedawcy. Na ogół nie zniechęcam się tak szybko do ludzi i bardziej niż na niego byłam zła na siebie za swoją nadwrażliwość. Przetrawiałam ten problem jeszcze idąc wzdłuż Walton Street, dopóki nie znalazłam się w księgarni Stephena Forbesa. Ale ani przyjemność bycia wreszcie pod dachem, ani przyjemne zapachy nowego papieru i farby drukarskiej nie były w stanie rozproszyć mojego wisielczego humoru.

Sklep mieścił się na trzech poziomach. Nowe książki sprzedawano na parterze, książki używane i starodruki na piętrze, a biuro Stephena znajdowało się w podziemiach. Stwierdziłam, że moja koleżanka Jennifer zajmuje się akurat klientem i jedyną osobą w zasięgu wzroku okazała się być starsza pani w tweedowej pelerynie pochłonięta lekturą w dziale „Ogrodnictwo”. Odpinając w biegu płaszcz skierowałam się więc w stronę szatni, gdy bezbłędnie rozpoznałam ciężkie kroki Stephena dochodzące z sutereny. Nie wiem, dlaczego zatrzymałam się, aby na niego poczekać. Po chwili zjawił się, wysoki, przygarbiony, w okularach, ze swym zwykłym wyrazem twarzy znamionującym życzliwość.

Chodził zwykle w ciemnych garniturach, które sprawiały wrażenie, jakby domagały się dobrego wyprasowania. Mimo tak wczesnej pory węzeł jego krawata był zsunięty w dół, odsłaniając górny guzik koszuli.

- Rebeko, jesteś tam? – spytał.

– Jestem.

– Dobrze, że cię zastałem – mówił cicho, jakby nie chciał przeszkadzać klientom. – Na dole jest list do ciebie, przesłano go spod twojego poprzedniego adresu. Najlepiej zejść na dół i weź go. Podniosłam brwi w górę.

– List?

– Tak, lotniczy, z całą masą zagranicznych znaczków. Nie wiem czemu, ale wygląda mi to na coś pilnego.

Moje dotychczasowe rozdrażnienie wraz z myślami o nowych krzesłach ustąpiło miejsca nagłemu przestraszowi.

– Czy to od mojej matki?

– Nie mam pojęcia. Dlaczego nie pójdziesz i sama nie zobaczysz?

Po stromych, niczym nie przykrytych schodach zesłam do sutereny rozjaśnionej świetlówkami. W biurze, jak zwykle, panował uroczy nieład. Wszędzie wałały się listy, paczki, fiszki, stosy starych książek, kartonowe pudła i popielniczki, których nikt nie opróżniał. Jednak list leżał na środku biurka Stephena i od razu było go widać.

Wzięłam go do ręki – koperta poczty lotniczej, znaczki hiszpańskie, kod pocztowy Ibizy. Tylko charakter pisma był nie znany, litery zaostrome i wydłużone, jakby pisane bardzo cienkim długopisem. Wysłany był na adres mojego poprzedniego mieszkania; adres przekreślono, a na jego miejsce dużym, dziewczęcym pismem dopisano adres księgarni. Byłam ciekawa, jak też długo ten list przeleżał na stoliku obok drzwi wejściowych, zanim któraś z dziewcząt zauważyła go i zadała sobie trud przesłania go do mnie.

Siadłam na krzesło Stephena i rozciąłam kopertę. W środku były dwie kartki cienkiego papieru przeznaczonego do listów lotniczych, a w nagłówku data trzeciego stycznia. Czyli prawie miesiąc temu! W moim mózgu włączył się sygnał alarmowy i z nagłym przestraszem zaczęłam czytać.

„Droga Rebeko!

Myślę, że mam prawo zwracać się tak do Ciebie, gdyż Twoja Matka wiele mi o Tobie mówiła. Piszę, ponieważ Twoja Matka jest ciężko chora. Już od pewnego czasu nie czuła się dobrze i chciałem wcześniej napisać o tym do Ciebie, ale mi na to nie pozwalała.

Teraz, mimo wszystko, przejąłem inicjatywę w swoje ręce i za zgodą lekarza powiadamiam Cię, że według mnie powinnaś do niej przyjechać.

Jeśli możesz, przetelegrafuj mi numer Twojego lotu, tak abym mógł wyjść po Ciebie na lotnisko.

Wiem, że pracujesz i możesz mieć trudności z wyjazdem, jednak radziłbym Ci nie tracić czasu. Obawiam się, że zastaniesz Matkę bardzo zmienioną, ale wciąż bardzo dzielną.

Z serdecznymi pozdrowieniami – Otto Pedersen”

Siedziałam i niedowierzająco patrzyłam na list. Te suche słowa mówiły zarazem o wszystkim i o niczym. Matka była poważnie chora, może umierająca. Już miesiąc temu miałam nie tracić czasu, tylko przyjeżdżać do niej. Tymczasem minął miesiąc, zanim dostałam list. Może ona już nie żyła – a ja do niej nie przyjechałam! Co mógł pomyśleć o mnie ten Otto Pedersen, którego nigdy nie widziałam na oczy ani do tej pory nie znałam z nazwiska?

Przeczytałam list jeszcze raz i jeszcze raz, aż cienkie kartki szeleściły mi w palcach. Kiedy Stephen w końcu zszedł na dół, aby mnie odszukać, ciągle siedziałam przy jego biurku.

Odwrociłam się i spojrzałam w górę, gdy stał nade mną, patrząc mi przez ramię. Na widok mojej twarzy spytał tylko:

– Co się stało?

Próbowałam mu odpowiedzieć, ale nie byłam w stanie. Zamiast tego wcisnęłam mu list do ręki. Podczas gdy go czytał, siedziałam opierając łokcie na biurku i gryząc paznokcie w przepływie bólu, gniewu i narastającego niepokoju.

Stephen szybko skończył czytać. Upuścił list na biurko między nami i zapytał:

– Czy wiedziałaś już przedtem o chorobie matki? Potrząsnęłam głową.

– A kiedy miałaś od niej ostatnią wiadomość?

– Jakieś cztery, pięć miesięcy temu. Ona nie miała zwyczaju pisania listów. – Znowu podniosłam oczy na niego i wyrzuciłam z siebie zdławionym głosem: – To już prawie miesiąc! Ten list leżał w tamtym mieszkaniu i nikt nie zadał sobie trudu przesłania go do mnie! Ona może już dawno nie żyje, a mnie nie było przy niej i mogła pomyśleć, że nic mnie nie obchodzi!

– Gdyby umarła – przerwał Stephen – jakoś by to do nas doszło. Teraz nie płacz, bo nie czas na to.

Jedyne, co musimy zrobić, to jak najszybciej wysłać cię na Ibizę i zawiadomić pana... – tu zajrzał do listu – Pedersena o twoim przyjeździe. Reszta jest nieważna.

– Nie mogę jechać – wykrztusiłam, składając wargi w podkówkę, a dolna warga zaczęła mi się trząść jak u dziesięcioletniej dziewczynki.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie mam dosyć pieniędzy na podróż.

– Och, dziecko drogie, to już moje zmartwienie.

– Ależ nie mogę panu pozwolić.. :

– Owszem, możesz, a jeśli będziesz się upierać, zwrócisz mi te pieniądze za pięć lat, kiedy przejmiesz po mnie interes, jeżeli tak ma ci być przyjemniej. A na razie, na miłość boską, nie mów o tym więcej!

Już sięgał po książkę telefoniczną, działając sprawnie, a zarazem nie w swoim stylu.

– Paszport masz? Oczywiście nie będziemy zwracać sobie głowy szczerpieniami przeciwko ospie czy czemuś podobnemu. Halo? Brytyjskie linie lotnicze? Chciałbym zarezerwować najbliższy samolot na Ibizę.

Uśmiechał się do mnie, podczas gdy powstrzymywałam łzy i usiłowałam zapanować nad sobą. Jednak czułam się już trochę lepiej. Nie ma to jak mieć pod ręką silnego i sympatycznego mężczyznę, który może przejąć inicjatywę w ciężkich chwilach! Stephen wziął ołówek, przysunął do siebie kartkę papieru i zaczął notować.

– Tak, kiedy? W porządku. Czy możemy zarezerwować miejsce? Dla panny Rebeki Bayliss. Na kiedy przewidziane jest lądowanie na Ibizie? A jaki numer ma ten lot? Bardzo dziękuję. Tak, sam odwiozę ją na lotnisko.

Odłożył słuchawkę i z pewnym zadowoleniem przyglądał się nieczytelnym zygzakom, które zostawił jego ołówek.

– A więc tak: odlot jutro rano, przesiadka w Palmie, około wpół do ósmej jesteś na Ibizie. Podwiozę cię na lotnisko. Nie próbuj znów się wymawiać, bo nie będę czuł się dobrze, dopóki nie zobaczę cię wchodzącej do samolotu. A teraz wyślemy telegram do pana Ottona Pedersena...

– znów wziął list do ręki – ... w Villa Margareta, Santa Catarina, aby dać mu znać, że przyjeżdżasz. – Uśmiechnął się do mnie tak optymistycznie, że poczułam nagły przypływ nadziei.

– Jak ja się panu kiedykolwiek odwdzięczę? – wyjąkałam.

– Nawet bym tego nie chciał – odrzekł Stephen. – To jeszcze najmniejsza rzecz, jaką mogę dla ciebie zrobić.

Nazajutrz odleciałam samolotem wypełnionym do połowy turystami spragnionymi słonecznego wypoczynku. Mieli nawet ze sobą kapelusze przeciwsłoneczne, toteż gdy w Palmie powitała ich mżawka, nie kryli rozczarowania. Mimo to robili dobrą minę na zasadzie „jutro będzie lepiej”.

Deszcz nie ustawał przez całe cztery godziny, które przesiedziałam w poczekalni. Odlot z Palmy był właściwie przeciskaniem się między grubymi, nabrzmiętymi wilgocią chmurami. Kiedy jednak samolot wzniósł się ponad nie i skierował się w stronę morza, nieco się rozjaśniło. Warstwa chmur zrobiła się cieńsza, potem chmury się rozstały, odsłaniając błękitne wieczorne niebo. W dole wzburzone morze było pocięte – różowymi promieniami zachodzącego słońca.

Było już ciemno, kiedy wylądowaliśmy. Gdy przy wygwieżdżonym niebie schodziłam ze schodków samolotu, czuć było tylko zapach benzyny. Potem, kiedy już szłam wśród kałuż na płycie lotniska do oświetlonego budynku portu lotniczego, czułam na twarzy ciepły powiew wiatru. Niósł on zapach sosen, co przypominało mi wszystkie letnie wakacje, jakie spędzałam za granicą.

Był akurat martwy sezon, toteż samolot nie miał kompletu pasażerów. Odprawa celna i formalności ze służbą imigracyjną nie trwały długo. Z wizą w paszporcie i walizką w ręce przeszłam do hali przylotów.

Jak zwykle w takim miejscu, były tu grupki oczekujących, którzy stali wokół lub siedzieli przygarbieni na długich, plastikowych ławkach. Rozglądałam się, ale nikt z obecnych w najmniejszym stopniu nie przypominał szwedzkiego pisarza, który miał na mnie czekać. Dopiero mężczyzna kupujący gazetę w kiosku odwrócił się w moją stronę. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, złożył gazetę w kostkę i ruszył w moim kierunku. Po drodze wpychał gazetę do kieszeni marynarki, jakby jej już więcej nie potrzebował. Był wysoki i szczupły, o włosach blond

lub siwych – nie można było tego określić w zimnym świetle lamp. Kiedy był już w połowie drogi, uśmiechnęłam się zachęcająco. Zbliżył się i wymówił moje imię: „Rebeka?”, tonem pytającym, jakby nie był pewien, czy to ja.

– Tak.

– Jestem Otto Pedersen.

Podaliśmy sobie ręce, przy czym on złożył lekki ukłon. Teraz dostrzegłam, że miał jasne włosy przyprószone siwizną, twarz szczupłą, kościstą i mocno opaloną, a skórę wysuszoną i pokrytą siecią drobnych zmarszczek wskutek długiego przebywania na słońcu. Jego oczy były wyblakłe, raczej szare niż niebieskie. Na sobie miał czarną koszulę polo i komplet w stylu safari o kolorze płatków owsianych, z luźno zapiętym paskiem i zwisającą klamrą. Pachniał płynem po goleniu i sprawiał wrażenie klinicznej wręcz czystości.

Teraz kiedyśmy się już odnaleźli, nie wiedzieliśmy właściwie, co powiedzieć. Przytłaczały nas smutne okoliczności tego spotkania, a on czuł się równie niepewnie jak ja. Był jednak dobrze wychowany, więc wziął ode mnie walizkę i spytał, czy nie mam więcej bagażu.

– Nie, to wszystko, co mam.

– Chodźmy więc do samochodu. Chyba że poczekaś przy drzwiach, to podjadę bliżej, żebyś nie musiała iść.

– Idę z panem.

– Wóz stoi na parkingu, po drugiej stronie ulicy.

Wyszliśmy więc razem w ciemność. Parking był wypełniony tylko w połowie. Zatrzymaliśmy się obok dużego czarnego mercedesa. Otto otworzył go i rzucił moją walizkę na tylne siedzenie. Potem przytrzymał drzwi, abym mogła wsiąść, a sam obszedł wóz naokoło i zajął miejsce koło mnie.

– Mam nadzieję, że miałaś przyjemną podróż – powiedział uprzejmie, kiedy wyjeżdżaliśmy z dworca lotniczego na szosę.

– Tylko w Palmie musiałam czekać aż cztery godziny.

– No tak, o tej porze nie ma do nas bezpośredniego połączenia.

Przełknęłam ślinę, aby powiedzieć to, co chciałam.

– Muszę wytłumaczyć, dlaczego nie odpowiedziałam od razu na pański list. Widzi pan, zmieniłam mieszkanie i dostarczono mi go dopiero wczoraj rano. To ładnie, że pan napisał do mnie, ale musiał pan się dziwić, że nie odpisywałam.

– Przypuszczałem, że musiało zajść coś takiego. Mówił świetnie po angielsku, a jego szwedzkie pochodzenie zdradzała tylko wymowa samogłosek oraz pewien formalizm w sposobie wystawiania.

– Kiedy dostałam pana list, przestraszyłam się, że może to już za późno...

– Nie, nie jest za późno – odparł Otto, ale coś w jego głosie zmusiło mnie, aby na niego spojrzeć. Jego profil odcinał się ostro na tle świateł ulicznych, a twarz miała wyraz poważny i bez uśmiechu.

- Czy ona jest umierająca? – spytałam.
- Tak – odpowiedział. – Tak, umiera. – Co jej jest?
- Rak krwi... to znaczy, jak wy to nazywacie, białaczka.
- Jak długo już choruje?

– Około roku. Ale tak naprawdę poważnie rozchorowała się tuż przed Bożym Narodzeniem. Doktor uważał, że transfuzja krwi coś pomoże, więc zawiozłem ją do szpitala, ale wtedy zrobiło się jeszcze gorzej, bo gdy tylko wróciła do domu, dostała paskudnego krwotoku z nosa i musiałem wzywać pogotowie. Zabrali ją z powrotem do szpitala i była tam przez całe święta. Dopiero potem mogłem ją zabrać do domu. To właśnie wtedy napisałem do ciebie.

- Tak chciałabym jeszcze zdążyć! Czy ona wie, że mam przyjechać?

– Nie mówiłem jej o tym, bo wiesz, jak ona lubi niespodzianki, a nie znosi rozczarowań. Obawiałem się, że coś może nie wypalić i nie będzie cię na pokładzie samolotu. – Tu z lodowatym uśmiechem dokończył: – Ale na szczęście byłaś.

Zatrzymaliśmy się na skrzyżowaniu, aby przepuścić chłopski wózek zaprzęgnięty w muła. Jego kopyta na zapyłonej drodze wydawały przyjemny odgłos, a z tyłu wózka dyndała latarnia. Otto wykorzystał przerwę w ruchu, aby z wewnętrznej kieszonki marynarki wyciągnąć cygaro i zapalić je zapalniczką samochodową. Kiedy wózek przejechał, ruszyliśmy.

- Kiedy ostatni raz widziałaś matkę? – spytał Otto. – Dwa lata temu.

– Musisz przygotować się na to, że zastaniesz duże zmiany. Obawiam się, że może to być dla ciebie szokiem, ale staraj się nie dać tego poznać po sobie. Ona jest wciąż bardzo próżna.

- Pan ją świetnie zna. – Ależ oczywiście.

Bardzo chciałam zapytać go, czy kocha moją matkę. Miałam to na końcu języka, ale zdawałam sobie sprawę, że na tym etapie naszej znajomości byłoby niegrzecznie zadawać tak osobiste pytania, zresztą jakie to miało znaczenie? Poznał ją, chciał z nią być, stworzył jej dom, a teraz, gdy była tak ciężko chora, na swój pozornie beznamiętny sposób otaczał ją czułą opieką. Jeśli to nie była miłość, w takim razie co?

Po chwili zaczęliśmy rozmawiać na różne tematy. Spytałam go, od jak dawna mieszka na tej wyspie, i usłyszałam, że od pięciu lat. Po raz pierwszy przypłynął tu jachtem i tak mu się spodobało, że w następnym roku wrócił, aby zbudować dom i osiedlić się na stałe.

- Pan jest pisarzem, prawda?

Tak, ale jestem też wykładowcą historii.

- Czy pisze pan książki historyczne?

– Tak, w tej chwili pracuję nad rozprawą dotyczącą panowania Maurów na tych wyspach i w południowej Hiszpanii.

Zrobiło to na mnie duże wrażenie. Odkąd pamiętam, żaden z poprzednich kochanków mojej matki nie był ani trochę intelektualistą.

- Daleko jeszcze do pańskiego domu?

– Stąd około pięciu mil. Kiedy tu przyjechałem, wioska Santa Catarina była jeszcze wolna od

zanieczyszczeń cywilizacyjnych. Teraz planują tu rozbudowę wielkich hoteli, więc boję się, że zniszczą środowisko tak jak w pozostałej części wyspy... Nie, źle mówię, może jak w niektórych częściach wyspy. Tu wciąż jeszcze można uciec od cywilizacji, jeżeli zna się drogę i dysponuje samochodem lub motorówką.

Ponieważ w samochodzie było ciepło, opuściłam szybę. Poczułam na twarzy łagodne tchnienie wieczoru i zauważyłam, że jedziemy przez tereny wiejskie, wśród gajów oliwnych, z oknami chłopskich chałup przeświecającymi od czasu do czasu przez zarośla opuncji.

– Cieszę się, że mama tu jest – powiedziałam. – To znaczy, jeśli już ma chorować i umrzeć, lepiej, że to dzieje się w takim miejscu na południu, w słońcu i zapachu sosen.

– Rzeczywiście – potwierdził Otto, po czym dodał, jak zawsze konkretnie: – Myślę, że była tu bardzo szczęśliwa.

W milczeniu jechaliśmy pustą szosą, a w światłach samochodu migąły tylko słupy telegraficzne. Zorientowałam się, że teraz posuwamy się równolegle do morza, które niepostrzeżenie przechodziło w ciemną linię horyzontu, nakrapiane tu i ówdzie światłami łodzi rybackich.

W tym momencie pojawiły się już przed nami zarysy wsi w blasku neonów. Minęliśmy tablicę z napisem „Santa Catarina” i wjechaliśmy w główną ulicę, na której pachniało cebulą, oliwą i pieczonym mięsem. Z otwartych drzwi buchała muzyka flamenco i ciemne twarze bez ciekawości odwracały się za nami. Po chwili minęliśmy już wioskę i zanurzyliśmy się w ciemność, zwalniając raptownie w miejscu, gdzie ostry zakręt przeszedł w wąską aleję wśród migdałowych sadów. Światła samochodu przeszywały mrok, aż zobaczyłam przed nami willę w kształcie białego sześcianu poprzebijanego małymi okienkami. Od frontu oświetlała ją latarnia wisząca nad wielkimi okutymi drzwiami.

Otto zahamował i wyłączył silnik. Wysiedliśmy z wozu, Otto wziął moją walizkę i poszedł przodem po żwirowanej ścieżce. Otworzył drzwi i puścił mnie przodem.

Znaleźliśmy się w hallu oświetlonym kandelabrem z kutego żelaza. Stała tam kanapa przykryta jaskrawą narzutą. Przy drzwiach, w wysokim niebiesko-białym flakonie, mieściła się cała kolekcja parasolek i lasek o rączkach z kości słoniowej. Podczas gdy Otto zamykał drzwi wejściowe, przed nami otworzyły się inne i stanęła w nich drobna, ciemnowłosa kobieta w różowym kombinezonie i przydeptanych kapciach.

– *Señor...*

– Dobry wieczór, Mario.

Kobieta uśmiechnęła się, pokazując dużo złotych zębów. Otto zapytał ją o coś po hiszpańsku, ona mu odpowiedziała i wtedy nas sobie przedstawił.

– To jest Maria, która nam tu pomaga. Powiedziałem jej, kim jesteście...

Podaliśmy Marii rękę. Wśród uśmiechów i przyjaznych gestów zawarłyśmy znajomość. Potem odwróciła się do Ottona i coś mu jeszcze powiedziała. Podał jej moją walizkę, którą ona zabrała. Otto przetłumaczył:

– Twoja matka spała, ale właśnie się obudziła. Rozbierz się.

Pomógł mi zdjąć płaszcz i przewiesił go przez poręcz kanapy. Potem ruszył naprzód do następnych drzwi, wskazując gestem, abym szła za nim. Idąc, zaczęłam się nagle bardzo obawiać tego, co zobaczę.

Weszliśmy do salonu. Był to długi, niski pokój bielony jak i reszta domu, z umeblowaniem stanowiącym przyjemne połączenie nowoczesnego stylu skandynawskiego ze staro-hiszczańskim. Posadzkę z płytek zaścielono dywanami, wszędzie była masa książek i obrazów, a pośrodku stał okrągły stół z kusząco poukładanymi gazetami i czasopismami.

W wielkim kamiennym kominku płonęły polana, a przed nim znajdowało się łóżko, do którego przystawiono podłużny stolik. Stały na nim szklanka wody, dzbanuszek, kilka różowych pelargonii w kubku, kilka książek i zapalona lampa. Ta lampa i migocące płomienie ognia stanowiły jedyne źródła światła w tym pokoju, ale od drzwi mogłam dostrzec szczupłą sylwetkę widoczną pod różową kołdrą i wychudzone ramię, które wyciągnęło się, kiedy Otto stanął na dywaniku przed kominkiem.

– Kochanie... – usłyszałam jej głos.

– Lizo! – ujął jej dłoń i ucałował.

– Długo cię nie było.

– Maria mówiła, że spałaś. A czy jesteś gotowa na przywitanie gościa?

– Gościa? – Jej głos był słaby jak nic pajęcza. – Jakiego gościa?

Otto dał mi znak i podeszłam bliżej. – To ja, Rebeka – odezwałam się.

– Rebeka, moje najdroższe dziecko! Och, jaki to świetny kawał!

Wyciągnęła do mnie obie ręce. Uklękałam przy łóżku, aby ją ucałować. Była tak wychudzona, że jej ciało nie stawiało przy tym żadnego oporu. Jej policzek pod moimi wargami sprawiał wrażenie papieru. Było tak, jakbym całowała liść, który wiatr dawno już zerwał z drzewa.

– Ale co ty tu robisz? – Spoglądała przez moje ramię to na Ottona, to na mnie, udając, że się gniewa. – Chyba nie wezwałeś jej tutaj?

– Sądziłem, że będziesz chciała ją zobaczyć – tłumaczył się Otto. – Wydawało mi się, że to ci dobrze zrobi.

– Ale dlaczego mnie nie uprzedziłeś, kochanie?

– Chcieliśmy zrobić ci niespodziankę! – zaśmiałam się.

– Ale gdybym wiedziała o tym z góry, mogłabym cię wyglądać i cieszyć się na twój przyjazd. To coś takiego jak przed Gwiazdką. Oczekiwanie to połowa przyjemności.

Puściła mnie, tak że mogłam przysiąść na piętach.

– Zostaniesz tu trochę?

– Może dzień lub więcej.

– Och, jak wspaniale. Będziemy mogły sobie tak cudownie poplotkować... Otto, czy Maria wie, że ona zostaje?

– Oczywiście.

– A co z dzisiejszą kolacją?

– Wszystko jest przygotowane. Zjemy tutaj, tak jak jesteśmy, tylko we trójkę.

– A może byśmy się czegoś napili? Mamy jeszcze szampana?

– Myślę, że znajdę jeszcze z butelkę – z uśmiechem odparł Otto. – Wydaje mi się nawet, że na wszelki wypadek zamroziłem jedną.

– Mądry z ciebie facet!

– Mam ją przynieść?

– Och tak, kochanie, proszę! – Wsunęła mi dłoń w rękę i poczułam, jakbym trzymała kruche kostki kurczaka. – Wypijemy za nasze spotkanie.

Otto wyszedł przynieść szampana, więc zostałyśmy same.

Przyciągnęłam sobie mały stołeczek, aby móc usiąść blisko przy niej. Spoglądałyśmy na siebie, a mama nie przestawała się uśmiechać. Tylko ten olśniewający uśmiech i żywe, czarne oczy pozostały takie jak przedtem, podobnie jak ciemne włosy tworzące plamę na śnieżnobiałej poduszce. Lecz poza tym jej wygląd był przerażający. Nie przypuszczałam, że można być tak chudym i żyć. Jeszcze bardziej nieprawdopodobne było to, że jej cera nie była ani blada, ani bezbarwna, tylko opalona na brąz, tak jakby przez większość dnia leżała plackiem na słońcu. Była podniecona i wydawało się, że nigdy nie przestanie mówić.

– Jak to ładnie ze strony tego kochanego chłopaka, że pomyślał, jak bardzo chciałabym ciebie widzieć. Problem tylko w tym, że muszę być teraz strasznie nudna, bo nie mam na nic ochoty. Powinien był poczekać, aż poczuję się lepiej, mielibyśmy razem wspaniałą zabawę. Moglibyśmy pływać, żeglować, urządzać pikniki i inne takie rzeczy...

– Przecież mogę znów przyjechać – pocieszyłam – Pewnie, że możesz – dotknęła mojej twarzy, jakby chcąc się upewnić, że rzeczywiście tu jestem. – Wiesz, że wspaniale wyglądasz? Masz koloryt twojego ojca, te wielkie szare oczy i włosy koloru dojrzałego zboża czy może raczej złota? I ślicznie się czeszesz!

Dotknęła dłonią mojego warkocza przewieszzonego jak lina przez prawe ramię.

– Wyglądasz jak postać z bajki, pamiętasz, z tych staroświeckich ksiąg z takimi cudownymi obrazkami. I w ogóle jesteś bardzo ładna.

– E, gdzie tam – potrząsnęłam głową.

– W każdym razie tak wyglądasz. I co ty, kochanie, porabiasz? Całe lata nie miałam żadnej wiadomości od ciebie. To chyba moja wina, bo nigdy nie lubiłam pisać listów.

Opowiedziałam jej o pracy w księgarni i nowym mieszkaniu, co ją rozbawiło.

– Ale z ciebie zabawna osóbka, uwiłaś sobie małe gniazdko i nie chcesz go z nikim dzielić. Nie spotkałaś jeszcze nikogo, za kogo chciałabyś wyjść?

– Ani też nikogo, kto chciałby się ze mną ożenić – dokończyłam.

Matka z lekko złośliwym wyrazem twarzy indagowała:

– A ten facet, u którego pracujesz?

– Jest żonaty, ma czarującą żonę i gromadę dzieci.

– To mi nigdy nie przeszkadzało – zachichotała.

– Och, kochanie, jaką ja byłam dla ciebie wyrodną matką! Ciągnąć cię wszędzie ze sobą, to było w takim złym stylu. Prawdziwy cud, że nie nabawiłaś się nerwicy, urazów czy jak to teraz nazywają. Ale nie wyglądasz na to, więc może wszystko wyszło ci na dobre.

– Oczywiście, wszystko jest w porządku. Po prostu dorastałam, mając oczy szeroko otwarte, a to nic złego.

– Szybko dodałam: – Od razu polubiłam Ottona.

– Czyż on nie jest boski? Zawsze taki poprawny i dokładny, taki „północny”. I tak błyskotliwie inteligentny... Jakie to szczęście, że nie wymaga inteligencji także i ode mnie! Lubi tylko, gdy go rozśmieszam.

Gdzieś w głębi domu zegar wybił siódmą. Wraz z ostatnim uderzeniem do pokoju wkroczył Otto niosąc butelkę szampana w kubelku z lodem i trzy kieliszki. Przyglądałyśmy się, jak fachowo otwierał butelkę i rozlewał złociste, pieniaące się wino do kieliszków. Każde z nas wzięło swój i podnieśliśmy je z uśmiechem, jak na przyjęciu. Matka wzniosła toast:

– Za zdrowie naszej trójki i za szczęśliwe chwile. Och, jakie to uroczo zabawne!

Pokazano mi pokój, w którym miałam spać – był albo po prostu wykwintny, albo wykwintnie prosty, nie mogłam zdecydować się na żaden z tych wariantów. Przylegała do niego, urządzona w podobnym stylu, łazienka. Wzięłam prysznic, przebrałam się w spodnie i jedwabną bluzkę, uczesałam i zaplotłam na nowo włosy, po czym wróciłam do salonu. Otto i moja matka czekali tam na mnie. Otto również przebrał się do kolacji, a matka założyła świeżą jasnyniebieską lizeskę i rozłożyła na kolanach jedwabny szal haftowany w różowe róże, którego frędzle sięgały do podłogi. Napiliśmy się jeszcze i Maria podała kolację na długim stole przy kominku. Matka nie przestawała opowiadać – tym razem o latach, kiedy dorastałam. Myślałam, że Otto będzie tym zaszokowany, ale wcale nie był. Przeciwnie, był raczej zaciekawiony i rozbawiony, zadawał pytania i zachęcał matkę do dalszych wynurzeń.

– ... i ta okropna farma w Denbighshire. Rebeko, pamiętasz ten straszny dom? Prawie umierałyśmy z zimna, a każdy kominek, w którym próbowaliśmy napalić, dymił. To było u Sebastiana – wyjaśniła na użytek Ottona.

– Wydawało się nam, że zostanie sławnym poetą, ale nie był z niego lepszy poeta niż hodowca owiec, a właściwie nawet gorszy. Nie miałam pojęcia, jakby tu odejść od niego nie raniąc jego uczuć. Na szczęście Rebeka dostała zapalenia oskrzeli, toteż nadarzyła się świetna okazja.

– No, dla Rebeki nie było to znów takie szczęście – zauważył Otto.

– Ależ było, gdyż nienawidziła tego miejsca równie mocno jak ja. Mało tego, miał złego psa, który zawsze chciał ją ugryźć. Jest tam jeszcze trochę tego szampana, kochanie?

Nie jadła prawie nic, ale sączyła schłodzone wino kieliszek po kieliszku, podczas gdy Otto i ja uporaliśmy się z pyszną czterodaniową kolacją przygotowaną przez Marię. Kiedy zjedliśmy i Maria sprzątnęła ze stołu, matka wyraziła życzenie, aby posłuchać muzyki. Otto nastawił cicho

płytę z koncertem Brahmsa. Matka nadal nie przestawała mówić, zupełnie jak nakręcony bąk, który zatrzymuje się dopiero wtedy, gdy pęknie w nim sprężyna.

Otto miał jeszcze coś do roboty, więc przeprosił i zostawił nas same. Przedtem jednak podłożył drewna do kominka i upewnił się, że niczego nam nie brakuje.

– Czy on tak pracuje co wieczór? – spytałam, kiedy wyszedł.

– Prawie co wieczór i rano też. Jest bardzo obowiązkowy. Myślę, że dlatego tak dobrze się dobraliśmy, . że jesteśmy przeciwieństwami.

– On cię uwielbia – zauważyłam.

– Tak – potwierdziła matka. – Najlepsze w tym wszystkim jest to, że nigdy nie chciał ze mnie zrobić kogoś innego. Akceptował mnie taką, jaka byłam, razem z moimi paskudnymi nawykami i mętną przeszłością. – Ponownie dotknęła mojego warkocza. – Robisz się coraz bardziej podobna do ojca. Zawsze myślałam, że przypominasz raczej mnie, ale ty teraz wyglądasz zupełnie jak on. Był bardzo przystojny.

– Czy wiesz, że nawet nie znam jego nazwiska?

– Nazywał się Sam Bellamy. Ale czy nie uważasz, że Bayliss brzmi o wiele lepiej? Poza tym wydawało mi się, że byłaś tylko moim dzieckiem, niczym więcej.

– Chciałabym, żebyś mi coś o nim opowiedziała. Nigdy tego nie robiłaś.

– Co tu opowiadać. Był aktorem, tak przystojnym, że to nie da się opisać.

– Gdzie go poznałaś?

– Przyjechał do Kornwalii z zespołem Lata Teatralnego. Wystawiali sztuki Szekspira na wolnym powietrzu. To było diabelnie romantyczne: ciemny błękit letnich wieczorów, trawy pachnące rosą, boska muzyka Mendelssohna i Sam grający Oberona w „Śnie nocy letniej”. Pamiętam fragment:

Światło migotliwe dajcie,

Ogień zgaś i cicho drzemie:

Elfy, duszki, pospieszajcie,

*Zeskoczcie, jak ptak na ziemię. * [Przekład Macieja Słomczyńskiego.]*

Było w tym coś z magii. A miłość do niego była częścią tej magii.

– Czy on cię kochał?

– Nam obojgu wydawało się, że tak.

– I to wystarczyło, żebyś z nim uciekła?

– Tylko dlatego, że rodzice nie zostawili mi innej możliwości.

– Nie rozumiem.

– Nie akceptowali go, gdyż im się nie podobał. Mówili, że jestem jeszcze za młoda. Moja matka wyrzucała mi, że nie wychodzę za jakiegoś sympatycznego, młodego człowieka z okolicy, nie chcę się ustatkować i nie przestaję robić z siebie widowiska. Zastanawiała się, co by ludzie

powiedzieli, gdybym wyszła za aktora? Nieraz myślałam, że jedyne, o co ona dba, to to, co ludzie powiedzą. Jakby to miało jakieś znaczenie.

Nie do wiary, ale wtedy po raz pierwszy usłyszałam, jak wspomina swoją matkę. Spróbowałam ostrożnie zachęcić ją do dalszych wynurzeń prowokacyjnym stwierdzeniem.

– Chyba jej nie lubiłaś?

– Kochanie, to było tak dawno, że trudno coś o tym powiedzieć. Faktem jest, że zawsze mnie tłamsiła i przytłaczała. Nieraz miałam wrażenie, że przygniata mnie konwenansami. A kiedy zginął mój brat Roger, tak mi go było brak! Wszystko byłoby inaczej, gdyby Roger żył. – Uśmiechnęła się. – Był taki miły, że aż za bardzo. Zawsze był wykorzystywany przez dziwki.

– Jakie dziwki?

– Zawsze musiał zakochiwać się w najmniej odpowiednich dziewczynach. Z jedną taką w końcu się ożenił. Z taką małą blondyneczką z włosami lalki i oczami jak z niebieskiej porcelany. Moja matka uważała, że ona jest słodka, ale ja nie mogłam jej strawić.

– Jak się nazywała?

– Mollie. – Matka zrobiła przy tym taką minę, jakby samo to imię wzbudzało w niej niesmak. Roześmiałam się.

– Chyba nie mogło być aż tak źle?

– Myślę, że było. Miała fioła na punkcie czystości. Wciąż wycierała swoją torebkę, naciągała buty na prawidła albo dezynfekowała zabawki dziecka.

– Czyli że mieli dziecko?

– Tak, chłopca. Uparła się, żeby nazwać to biedactwo Eliot.

– Całkiem niezłe imię.

– Ach, daj spokój, aż się słabo robi! – Widać byto, że cokolwiek by Mollie zrobiła, nie mogło znaleźć aprobaty w oczach mojej matki. – Zawsze było mi żal tego chłopca, że musi znosić tak okropne imię. Ale jakoś się do tego przyzwyczaił. A po śmierci Rogera ten biedny szkrab zrobił się gorszy niż kiedykolwiek, wiecznie uwieszony na szyi matki i domagający się zapalonego światła w nocy.

– Myślę, że nie byłaś dla niego miła.

– Wiem o tym – zaśmiała się – i to nie z jego winy. Przypuszczalnie wyrósłby na całkiem sympatycznego młodego człowieka, gdyby jego matka dała mu choć trochę szansy.

– Ciekawe, co się stało z Mollie.

– Nie wiem. Prawdę mówiąc, nie interesowało mnie to. – Matka zawsze umiała być brutalnie szczerą. – To coś takiego jak przypominanie sobie postaci ze snów. A może – zawiesiła głos – to oni byli żywymi ludźmi, a ja byłam ich snem?

Zrobiło mi się niewyraźnie, gdyż rozmowa za bardzo zbliżyła się do tej prawdy, której próbowałam nie dopuszczać do siebie. Zapytałam więc szybko:

– Czy moi dziadkowie jeszcze żyją?

– Moja matka umarła w te święta, które spędzałyśmy w Nowym Jorku. Pamiętasz tamtą

Gwiazdkę? Był mróz i śnieg, i wszędzie leciała piosenka „Pada śnieg...” Pod koniec tych świąt wydawało mi się, że nigdy już nie chciałabym słyszeć tej przeklętej melodii. Ojciec napisał mi o jej śmierci, ale dostałam ten list dopiero po kilku miesiącach, gdyż podróżował za mną po całym świecie. A wtedy było już za późno, aby móc jeszcze coś o tym napisać lub powiedzieć. Zresztą jestem do niczego, jeśli chodzi o pisanie listów. Ojciec pewnie pomyślał, że nic mnie to nie obchodzi.

– Czy nigdy do niego nie napisałaś?

– Nigdy.

– A czy go chociaż lubiłaś? – zaczynałam mieć wrażenie, że sprawy stoją kiepsko.

– Ależ ja go uwielbiałam! Był cudowny. Cholernie przystojny, o ognistym temperamentem, miał powodzenie u kobiet i wzbudzał respekt. Był malarzem. Czy nigdy ci o nim nie mówiłam?

No nie. Wszystko mogłam sobie wyobrazić, tylko nie dziadka malarza. Odparłam więc:

– Nie, nigdy nie wspominałaś.

– No, jeśli masz jakieś wykształcenie, to powinnaś była o nim słyszeć. Grenville Bayliss. Czy to nazwisko coś ci mówi?

Ze smutkiem potrząsnęłam głową. To straszne – mieć sławnego dziadka i nic o tym nie wiedzieć.

– Właściwie skąd miałabyś wiedzieć, przecież nigdy nie włączyłam cię po żadnych galeriach ani muzeach. Nie byłam tak naprawdę dobra w niczym. To cud, że przy takich zaniedbaniach obowiązków macierzyńskich mogłaś wyrosnąć na tak wspaniałą dziewczynę.

– Jak on wyglądał?

– Kto?

– Mój dziadek.

– A jak go sobie wyobrażasz?

Myślałam chwilę i w odpowiedzi zacytowałam Augustusa Johna: „... brodaty Cygan, podobny do lwa... „

– Nic z tych rzeczy – zaprzeczyła matka. – Zaczął od służby w marynarce i to wycisnęło na nim niezatarte piętno. Postanowił zostać malarzem dopiero około trzydziestki, kiedy rzucił obiecującą posadę i wstąpił do szkoły sztuk pięknych. Mojej matce mało serce nie pękło. A dodatkowo dobiła ją przeprowadzka do Kornwalii i budowa domu w Porthkerris. Chyba nigdy nie wybaczyła mu takiego egoizmu. Na Malcie królowała, i to jej się podobało – pewnie wyobrażała sobie siebie w roli żony dowódcy floty. Trzeba przyznać, że on był jakby stworzony do tej roli, błękitnooki, imponujący, a zarazem wzbudzający lęk. Właściwie nigdy nie wyzbył się manier oficera marynarki.

– Ale ty się go nie bałaś?

– Skąd, kochałam go.

– Więc dlaczego nie wróciłaś do domu? Jej twarz przybrała wyraz skupienia.

– Nie mogłam ani nie chciałam. Wszyscy powiedzieliśmy sobie zbyt dużo nieprzyjemnych

rzeczy. Podgrzewano stare konflikty, padały groźby, stawiano mi ultimatum... A im bardziej rodzice się sprzeciwiali, tym bardziej byłam zdecydowana. Tym bardziej stało się dla mnie niemożliwe we właściwym czasie przyznać, że to oni mieli rację, a ja popełniłam błąd. Wiedziałam też, że gdybym wtedy wróciła do domu, już bym go nigdy nie opuściła. Ty nie należałabyś wtedy do mnie, tylko do swojej babci. A ja bym tego nie zniosła, byłaś dla mnie takim skarbem! – Uśmiechnęła się i dodała z rozmarzeniem w głosie: – Ale było nam razem dobrze, prawda?

– Pewnie, że było.

– Chciałam tam wrócić. Nieraz mało brakowało. To był taki piękny dom. Posiadłość nazywała się Boscarva, a dom przypominał willę, w której jesteśmy, też był kwadratowy i położony na wzgórzu. Kiedy Otto mnie tu przywiózł, przypominałam sobie Boscarwę. Tylko tu jest ciepło i wiatry są łagodne, a tamta okolica była dzika i burzliwa. Ogród był pocięty wysokimi żywopłotami, które miały chronić grządki przed wiatrem od morza. Wydaje mi się, że matka najbardziej nie znosiła tego wiatru. Uszczelniała wszystkie okna i zamykała się w domu. Tam grała ze znajomymi w brydża albo haftowała gobeliny.

– A czy zajmowała się tobą?

– Właściwie nie.

– Więc kto się tobą opiekował?

– Pettifer i jego żona.

– Kim oni byli?

– Pettifer także kiedyś służył w marynarce, a potem był ordynansem mojego ojca, czyścił srebra, był także kierowcą. A jego żona gotowała dla nas. Nie masz pojęcia, jacy byli serdeczni. Kiedy siedziałam z nimi w kuchni, robiłam sobie grzanki i słuchałam, jak wiatr bije w okna, mając pewność, że nie wedrze się do środka... Czułam się tak bezpiecznie. I jeszcze wróżyliśmy z filiżanek od herbaty... – zawiesiła głos, widać niepewna swoich wspomnień. – Nie, to robiła Zofia!

– Kto to była Zofia?

Matka nie odpowiedziała. Zapatrzyła się w ogień, zamyślona. Może nie usłyszała mojego pytania. Po chwili mówiła dalej.

– Po śmierci matki powinnam była tam wrócić. To było nieładnie z mojej strony trzymać się z daleka, ale nie wyniosłam z domu tego, co nazywają „siłą moralną”. Jeszcze jedno, czy wiesz, że w Boscarvie nadal są moje rzeczy?

– Jakie to rzeczy?

– Jeśli dobrze pamiętam, to biurko. Takie małe, z szufladami z boku i otwieranym blatem. Zdaje mi się, że to się nazywa davenport. Jest tam też trochę wyrobów z nefrytu, które ojciec przywiózł z Chin, i coś ze szkła w stylu weneckim. To wszystko należy do mnie, ale przy moich ciągłych podróżach tylko by mi przeszkadzało – popatrzyła na mnie spod oka. – Ale może tobie nie będą przeszkadzać. Masz jakieś meble w tym swoim mieszkaniu?

– Nie, praktycznie żadnych.

– Więc może spróbuję wydostać te rzeczy dla ciebie. Muszą jeszcze być w Boscarvie, chyba że dom spalił się lub został sprzedany. Czy chciałabyś, żebym je stamtąd wyciągnęła?

– Och, bardziej niż czegokolwiek innego. Nie dlatego, żebym ich potrzebowała, ale ponieważ należały do ciebie.

– Kochanie, jakie to urocze i zabawne, że tak dążysz do swoich korzeni. Ja nigdy nie chciałam ich mieć, bo czułam, że trzymałyby mnie w jednym miejscu.

– A mnie się zawsze wydawało, że dzięki nim mogłabym do kogoś należeć.

– Ty należysz do mnie...

Rozmawialiśmy tak do późnych godzin nocnych. Około północy matka poprosiła, aby nabrać jej świeżej wody do dzbanuszka. Kiedy znalazłam drogę do pustej o tej porze kuchni, uświadomiłam sobie, że Otto wykazał dość taktu, aby dyskretnie położyć się spać, zostawiając nas same. Gdy w końcu w jej głosie dały się wyczuć oznaki zmęczenia, ja także uczułam przypływ senności. Wstałam, gdyż cały czas siedziałam skurczona, przeciągnęłam się i dołożyłam drew do ognia. Potem wyciągnęłam dodatkową poduszkę, aby matka mogła wygodnie ułożyć się do snu. Podniosłam jedwabny szal, który zsunął się na podłogę, złożyłam go i zostawiłam na krześle. Pozostało mi tylko schylić się, pocałować matkę i zgasić lampę. Pokój oświetlał tylko ogień z kominka. Kiedy wychodziłam, matka powiedziała do mnie to samo, co mówiła, gdy byłam małą dziewczynką: „Dobranoc, kochanie. Do zobaczenia jutro!”

Nazajutrz obudziłam się wcześniej rano, gdyż promienie słońca wpadały do środka przez szpary w żaluzji. Podniosłam ją i ujrzałam jasny śródziemnomorski poranek. Przez otwarte okno wyszłam na kamienny taras biegnący wzdłuż domu. Widać stąd było zbocze wzgórza opadające w dół ku morzu na odległość około mili. Piaszczysty teren pokrywała różowa mgiełka pierwszych delikatnych kwiatów drzew migdałowych. Wróciłam do pokoju, ubrałam się i wyszłam znów na taras, potem po schodach do starannie uporządkowanego ogrodu. Wskoczyłam na niski murek z kamienia i szłam po nim w kierunku morza, aż znalazłam się w sadzie wśród drzew migdałowych. Przez pianę różowych kwiatów widać było bładoniebieskie, bezchmurne niebo.

Miałam świadomość, że kwiaty są zalążkiem cennych owoców, które po dojrzeniu zostaną skrupulatnie zebrane. Nie mogłam się jednak oprzeć, aby nie zerwać jednej gałązki. Jeszcze po przeszło godzinie spaceru brzegiem tam i z powrotem miałam ją ze sobą. Wreszcie zaczęłam wspinać się na wzgórze w stronę willi.

Było bardziej strome, niż myślałam. Kiedy zatrzymałam się dla złapania oddechu, spojrzałam w górę i zobaczyłam, że Otto Pedersen obserwuje z tarasu moje wysiłki. Przez chwilę oboje staliśmy bez ruchu, potem on zszedł po schodach do ogrodu i wyszedł mi naprzeciw.

Teraz szłam wolniej, wciąż trzymając gałązkę kwitnącego migdałowca. Już wiedziałam, jeszcze zanim Otto przybliżył się na tyle, abym mogła zobaczyć wyraz jego twarzy. Mimo to

jednak dalej szłam pod górę przez sad, aż spotkaliśmy się przy małym kamiennym murku.

Wypowiedział tylko moje imię i nic więcej. Uprzedziłam go.

– Już wiem. Nie musi pan nic mówić.

– Umarła podczas snu. Kiedy Maria przyszła rano ją zbudzić, było już po wszystkim. To poszło bardzo szybko i spokojnie.

Nie próbowaliśmy specjalnie się nawzajem pocieszać. Może nie potrzebowaliśmy tego. Otto wyciągnął dłoń, aby pomóc mi przejść przez murek, a potem trzymał mnie za rękę, kiedy przez ogród szliśmy do domu.

Matkę pochowano jeszcze tego samego dnia według hiszpańskiego prawa na małym cmentarzyku przy wiejskim kościółku. Oprócz księdza, Ottona, Marii i mnie nie było nikogo więcej. Na jej grobie położyłam gałązkę kwiatu migdałowego.

Następnego dnia odleciałam do Londynu. Otto odwiózł mnie na lotnisko. Przez większość drogi milczeliśmy, ale przed samym dworcem nagle się odezwał:

– Rebeko, nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale chciałem ożenić się z Lizą. Ożeniłbym się z nią, ale mam w Szwecji żonę. Nie żyjemy ze sobą już od lat, ale ona nie chce dać mi rozwodu z przyczyn religijnych.

– Och, Otto, nie musisz mi tego mówić.

– Chciałem, żebyś wiedziała.

– Była z tobą taka szczęśliwa. Tak się nią czule opiekowałeś.

– Cieszę się, że przyjechałaś i widziałaś ją.

– Tak. – Tu znowu zaczęło mnie ścisnąć w gardle i oczy wypełniły się łzami. – Ja też się cieszę.

Na dworcu, w czasie kontroli moich biletów i bagażu, staliśmy i patrzyliśmy sobie w oczy.

– Nie czekaj! – zachęciłam go. – Idź już. Nie cierpię pożegnań.

– Dobrze, ale jeszcze coś... – Namacał w kieszeni marynarki i wyjął trzy cienkie, wytarte srebrne bransoletki. Były to te same, które matka zawsze nosiła, i tej ostatniej nocy też je miała na sobie. – Musisz to wziąć – ujął moją rękę i wsunął je na mój nadgarstek. – I to też – z innej kieszeni wyjął zwinięty plik brytyjskich banknotów. Włożył je w moją dłoń i zacisnął wokół nich moje palce. – Były w jej torebce, więc musisz je wziąć.

Wiedziałałam, że nie mogły być w jej torebce. Matka nigdy nie nosiła w torebce żadnych pieniędzy z wyjątkiem paru drobniaków na automat czy pomiętych, nieaktualnych rachunków. Jednak w twarzy Ottona było coś takiego, że nie mogłam odmówić, więc wzięłam pieniądze i pocałowałam go, a on bez słowa odwrócił się na pięcie.

Podczas lotu do Londynu czułam się dziwnie; uczuciowo pusta w środku, wyprana nawet z poczucia żalu. Byłam zmęczona, lecz nie mogłam ani zasnąć, ani tknąć posiłku podanego przez stewardesę. Próbowałam napić się herbaty, którą mi przyniosła, lecz w ustach miałam gorzki smak, więc pozwoliłam jej wystygnąć.

Było tak, jakby długo zamknięte drzwi zostały otwarte, czy raczej lekko uchylone, ode mnie zaś zależało, czy otworzę je na całą szerokość. Z tym tylko, że za nimi znajdowała się ciemność pełna niepewności.

Pewnie powinnam pojechać do Kornwalii i odszukać rodzinę mojej matki, ale przecieki na temat sytuacji w Porthkerris nie były zbyt zachęcające. Dziadek przypuszczalnie był już bardzo stary, samotny i zgorzkniały. W tym momencie przyszło mi na myśl, że nie umówiłam się z Pedersenem, kto ma dać dziadkowi znać o śmierci jego córki. Było więc całkiem możliwe, że gdy go odwiedzę, będę osobą, która pierwsza przywiezie mu tę przykrą wiadomość. Równocześnie miałam do niego pretensję o to, że przez niego życie mojej matki było tak poplątane. Prawda, że okazała się impulsywna, bezmyślna i uparta, mimo to jednak mógł wykazać więcej inicjatywy w postępowaniu z nią. Mógł próbować ją odszukać, zaoferować pomoc, interesować się rozwojem swojej wnuczki, czyli mnie – ale nic takiego nie zrobił, i to wytworzyło mur między nami.

Mimo wszystko pragnęłam odnaleźć swoich krewnych. Nie musiałam przecież dzielić z nimi życia, ale chciałam poznać ich w miejscu, gdzie żyli. W Boscarvie były przedmioty należące do mojej matki, a tym samym teraz do mnie. Ona chciała, abym je wzięła – powiedziała to, więc musiałam pojechać do Kornwalii i upomnieć się „o nie. Oczywiście przyjazd tam tylko w tym celu byłby świadectwem chciwości i bezduszności.

Odchyliłam się do tyłu i przysnęłam trochę. Wtedy usłyszałam jakby słowa matki: „Nigdy się go nie bałam. Kochałam go. Powinnam była wrócić”. Wypowiedziała przy tym imię „Zofia”, ale już nie dowiedziałam się, kto to był.

Kiedy w końcu zasnęłam, przyśniło mi się, że jestem już w domu moich dziadków. Tylko w moim śnie nie przybrał on żadnego określonego kształtu, słyszałam jedynie skowyt chłodnego wiatru od morza wdzierającego się do wnętrza.

Przyleciałam do Londynu po południu. Chociaż było jeszcze wcześnie, kształty dnia zaczynały już zamazywać się w zapadającym zmierzchu. Nie byłam w stanie pomyśleć, co mam zrobić z resztą dnia. W końcu wzięłam taksówkę i przyjechałam na Walton Street, aby odszukać Stephena Forbesa.

Znalazłam go na piętrze, gdzie męczył się z dużym pudłem książek ze starego domu, który właśnie został sprzedany. Był sam, gdy więc zobaczył mnie u szczytu schodów, wstał i wyszedł mi naprzeciw, jakbym była potencjalną klientką. Dopiero kiedy mnie poznał, zawołał:

– O, Rebeka! Już jesteś z powrotem?

– Tak, przyleciałam około drugiej – odpowiedziałam, stojąc z rękami w kieszeniach płaszcza. Ponieważ patrzył na mnie z pytającym wyrazem twarzy, dodałam: – Mama umarła wczoraj, wcześniej rano. Przybyłam akurat na czas. Spędziłyśmy razem cały wieczór i przegadałyśmy go.

– Rozumiem – przytaknął Stephen. – Cieszę się, że zdążyłaś ją zobaczyć. – Odsunął trochę książek z rogu stołu, oparł się o niego i z założonymi rękami przyglądał mi się przez okulary.

– I co teraz masz zamiar zrobić?

- Nie wiem.
- Jesteś chyba zmęczona. Może przydałoby ci się kilka dni urlopu?
- Nie wiem – powtórzyłam.
- Dlaczego nie wiesz? – Uniósł brwi.
- Bo nie wiem, co mam robić.
- O co chodzi?
- Słyszał pan kiedyś o malarzu nazwiskiem Grenville Bayliss?
- No tak, a bo co?
- To mój dziadek.

Twarz Stephena przybrała wyraz zatroskania.

- O Boże! Kiedy się o tym dowiedziałaś?
- Dopiero teraz, od mojej matki. Dotychczas nigdy o nim nie słyszałam – przyznałam się.
- A powinnaś wiedzieć.
- Czy on jest znanym artystą?

– Dwadzieścia lat temu, kiedy byłem chłopcem, był bardzo popularny. Jego obraz wisiał nad kominkiem w starym domu mojego ojca w Oksfordzie. Można by powiedzieć, że stanowił część mojego dzieciństwa. Przedstawiał szare, wzburzone morze, a na nim łódź rybacką z brązowym żaglem. Od samego patrzenia dostawałem choroby morskiej. Specjalizował się w tematyce marynistycznej.

- To dlatego, że był marynarzem. Dokładniej, służył w marynarce wojennej.
- To pasuje jedno do drugiego.

Myślałam, że będzie ciągnął ten wątek, ale nic już nie powiedział. W końcu sama spytałam:

- No więc, co mam robić?
- A co chciałybyś zrobić?
- Wie pan, ja nigdy nie miałam żadnej rodziny!
- A czy to takie ważne?
- Dla mnie nagle się stało.
- Więc jedź do niego. Czy masz jakiś powód, aby tego nie robić?
- Boję się.
- Czego?

– Nie wiem, może tego, że mogłabym zostać lekceważąco potraktowana albo wręcz odrzucona.

- Czy były jakieś spory rodzinne?

– O, tak. Wzajemne zrywanie stosunków, różne takie: „żeby tu więcej twoja noga nie powstała... „, Wie pan, co mam na myśli.

- Czy twoja matka sugerowała, że powinnaś tam pojechać?

– Nie mówiła dużo na ten temat, ale wspomniała, że są tam jakieś rzeczy, które były jej własnością. Uważała, że powinnam je mieć.

– Co to było?

Powiedziałam mu, o jakie przedmioty chodzi.

– Wiem, że nie jest to nic wielkiego, może nawet niewarte, by dla nich wybierać się w podróż. Ale chciałabym mieć jakąś pamiątkę po matce, coś, co do niej należało. Poza tym – próbowałam obrócić sprawę w żart – te rzeczy mogłyby zapełnić nieco pustej przestrzeni w moim nowym mieszkaniu.

– Myślę, że dążenie do odzyskania twojej własności jest raczej drugorzędym powodem wyjazdu do Kornwalii. Najważniejsze powinno być to, abyś zaprzyjaźniła się z Grenville'em Baylissem.

– A jeżeli on nie zechce się ze mną zaprzyjaźnić?

– Nic wielkiego się nie stanie. Najwyżej twoja duma dozna pewnego uszczerbku, ale od tego się nie umiera.

– Pan sam mnie w to pakuje.

– Jeśli nie chcesz mojej rady, to po co tu przyszedłeś? Trafił w sedno.

– Nie wiem – przyznałam. Roześmiał się.

– Chyba w ogóle mało wiesz! – A kiedy w końcu odpowiedziałam mu uśmiechem, kontynuował: – Słuchaj. Dziś jest czwartek. Idź teraz do domu i dobrze się wyśpij. A jeśli jutro wydaje ci się za wcześnie, możesz jechać do Kornwalii w niedzielę lub poniedziałek. Po prostu jedź tam. Zobacz, jak tam jest, co ten starszy pan porabia. Może to potrwać kilka dni, ale nic nie szkodzi. Nie wracaj do Londynu, dopóki nie zrobisz wszystkiego, co będziesz w stanie zrobić. Jeśli uda ci się odzyskać swoje drobiazgi, tym lepiej, ale pamiętaj, że to nie jest najważniejsze.

– Dobrze. Będę pamiętać.

– No to startuj – wstał. – Mam wystarczająco dużo roboty i bez produkowania „Dobrych rad cioci Zosi” na twój użytek.

– Czy będę mogła wrócić do pracy, kiedy wszystko się wyjaśni?

– Nawet będziesz musiała, bo nie dam sobie rady bez ciebie.

– No to do widzenia.

– *Au revoir!* – pożegnał mnie, a potem, jakby się jeszcze zreflektował, pochylił się i obdarzył mnie niezdarnym pocałunkiem. – I życzę ci szczęścia!

Wydałam już dość dużo na taksówki, toteż, ciągle z walizką, poszłam piechotą na przystanek autobusowy. Wsiadłam w autobus do Fulham. Po drodze, patrząc niewidzącymi oczyma na szare, zatłoczone ulice, układałam dalsze plany. Tak jak radził Stephen, pojedę do Kornwalii w poniedziałek. O tej porze roku nie będzie trudno o miejsce w pociągu ani o noclegi w Porthkerris. Tymczasem Maggie przypilnuje mi mieszkania. Na myśl o mieszkaniu przypomniałam sobie krzesła, które kupiłam przed wyjazdem do Ibizy. Teraz wydawało mi się, że to było już dawno temu. Jednak jeżeli nie upomnę się o nie, zostaną sprzedane komu innemu, jak odgrażał się tamten antypatyczny młody człowiek. Z tego powodu wysiadłam o kilka przystanków wcześniej, aby móc wstąpić do sklepu i zapłacić za krzesła. Wtedy byłabym pewna, że będą czekać na mnie

do mojego powrotu.

Przygotowałam się duchowo na powtórne załatwianie sprawy z młodym człowiekiem w niebieskich dzinsach. Jednak kiedy z dźwiękiem dzwonka weszłam do środka, z pewną ulgą stwierdziłam, że zza biurka na zapleczu wstał inny mężczyzna, starszy, siwy i z ciemną brodą. Po drodze wyciągał okulary w rogowych oprawkach, podczas gdy ja z ulgą postawiłam walizkę na podłodze.

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór. Przyszłam w sprawie krzesel, które zamówiłam w zeszły poniedziałek. Takie z wiśniowego drzewa, o miękkich oparciach.

– Tak, pamiętam.

– Jedno z nich miało być naprawione.

– Już jest gotowe. Czy chce pani je zabrać?

– Teraz nie, bo mam walizkę, nie miałabym ich jak nieść. Poza tym wyjeżdżam na kilka dni. Myślę, że gdybym teraz za nie zapłaciła, przetrzymałby je pan do mojego powrotu?

– Tak, oczywiście. – Miał przyjemny, głęboki głos, a jego poważna twarz rozjaśniała się w uśmiechu.

Otworzyłam torebkę.

– Czy mogę wypisać panu czek? Mam kartę kredytową.

– Oczywiście. Może pani skorzystać z mego biurka. Proszę, tu jest pióro.

Zaczęłam wypisywać czek.

– Na kogo mam go wystawić? – spytałam.

– Na mnie. Jestem Tristram Nolan.

Z satysfakcją skonstatowałam, że to ten pan, a nie tamten niewychowany „kowboj”, jest właścicielem tego miłego sklepu. Wypisałam czek i wręczyłam mu. Stał z opuszczoną głową i czytał go tak długo, że miałam wrażenie, jakbym o czymś zapomniała.

– Nie wstawiłam daty?

– Ależ nie, wszystko w porządku – spojrzał w górę. – Patrzę na pani nazwisko. Bayliss... nie jest bardzo częste.

– Faktycznie, nie jest.

– Czy jest pani jakąś krewną Grenville’a Baylissa? To nazwisko rzucone mi w twarz akurat teraz było dla mnie takim samym zaskoczeniem, jakbym bez uprzedzenia zobaczyła je nagle na gęsto zadrukowanej stronie. Odpowiedziałam:

– Tak! – A po chwili, ponieważ nie było powodu, aby tego nie wiedział, dodałam: – To mój dziadek.

– Nadzwyczajne! – wykrzyknął właściciel sklepu. Byłam tym zaskoczona.

– Dlaczego?

– Coś pani pokażę. – Odłożył mój czek na biurko i odszedł na bok, aby wyciągnąć zza rozkładanej kanapy duży olejny obraz w pozłacanej ramie. Trzymał go, opierając jednym rogiem

o biurko, a ja dostrzegłam nazwisko mojego dziadka. Podpis znajdował się w rogu obrazu, a pod nim data 1932.

– Dopiero co go kupiłem. Oczywiście trzeba go oczyścić, ale myślę, że jest uroczy.

Podeszłam bliżej, aby przyjrzeć się obrazowi. Przedstawiał piaszczyste wydmy w wieczornym świetle, a na nich dwóch gołych chłopców pochylonych nad kolekcją muszli. Było to może staroświeckie, ale doskonale zakomponowane. Mimo delikatnego kolorytu obraz tchnął życiem, jakby ci chłopcy, prowokujący swoją nagością, byli wciąż żywymi istotami, z którymi należało się liczyć.

– Chyba to dobry malarz – mówiąc to, nie mogłam ukryć dumy w głosie.

– Tak, wspaniały kolorysta. Właściciel postawił obraz na miejsce. – Czy pani zna go dobrze?

– W ogóle go nie znam, nigdy w życiu się nie spotkaliśmy.

Starszy pan nic nie odpowiedział, po prostu stał i czekał, aż wytłumaczę ten dziwny fakt.

– Dopiero teraz zdecydowałam, że najwyższy czas na spotkanie z nim. W poniedziałek jadę do Kornwalii.

– To wspaniale. O tej porze szosy są puste, więc będzie się pani świetnie jechało.

– Nie mam samochodu. Jadę pociągiem.

– To też może być przyjemne. Życzę dużo słońca.

– Dziękuję panu bardzo.

Otworzył mi drzwi. Podniosłam walizkę.

– Zaopiekuje się pan moimi krzesłami?

– Oczywiście. Do widzenia. Przyjemnego pobytu w Kornwalii.

Jednak nie miałam dużo słońca. Poniedziałek zaczął się szaro i smutno. Miałam słabą nadzieję, że pogoda się poprawi, gdy pociąg ruszył w kierunku zachodnim, ale z każdym kilometrem niebo ciemniało, wzrastał się wiatr i dzień rozplynął się w ulewnym deszczu. Zza ociekających wodą okien nie było widać nic oprócz zamazanych konturów wzgórz i zabudowań gospodarskich. Od czasu do czasu przeblyskiwały tylko skupione gęsto dachy jakiejś wioski lub przelatywały przez na wpół pustą stacyjkę jakiegoś anonimowego miasteczka.

Pocieszałam się, że od Plymouth może coś się zmienić. Miniemy Saltash Bridge i znajdziemy się jakby w innym świecie i w innym klimacie, będą tam tynkowane na różowo domki i palmy w słabym zimowym słońcu... Jasne, że nic takiego się nie zdarzyło, a tylko deszcz bezlitośnie przybierał na sile. W miarę jak patrzyłam na zalane pola i targane wichrem, bezlistne drzewa, coraz bardziej opuszczała mnie nadzieja i poczułam się zniechęcona.

Była gdzieś za kwadrans piąta, kiedy dojechałam do węzłowej stacji kolejowej, która była celem mojej podróży. Mroczne popołudnie przeszło tymczasem w zmierzch. Jednak gdy pociąg już zwalniał przy peronie, zauważyłam pojedynczą palmę, która tu wydawała się zupełnie nie na miejscu, a na tle zalanego deszczem nieba wyglądała jak złamana parasolka. Strugi ulewnego deszczu migotały w świetle neonowego napisu „St. Abbotts, przesiadka do Porthkerris”.

Kiedy pociąg stanął, zarzuciłam plecak na ramię i otworzyłam ciężkie drzwi, które natychmiast wyszarpnął mi wiatr. Aż się zakrztusiłam od nagłego uderzenia zimnego powietrza nawianego od morza w głąb lądu, toteż pospiesznie złapałam plecak i wyskoczyłam na peron. Podążyłam w ślad za główną falą wysiadających, którzy kierowali się w górę i po drewnianej kładce nad torami przechodzili do budynku stacyjnego. Miałam wrażenie, że na większość z nich ktoś czekał, a reszta przechodziła przez halę kasową w określonym celu, jakby wiedząc, że są tam toalety. Na ślepo poszłam za nimi, czując się tu bardzo obco, lecz liczyłam, że w ten sposób dotrę do postoju taksówek. Jednak na placu dworcowym nie było ani jednej.

Stałam z boku, mając nadzieję, że ktoś zaproponuje mi podwiezienie, ale krępowalam się kogokolwiek o to poprosić. Kiedy jednak tylne światła ostatniego samochodu znikły na wjeździe do głównej ulicy, byłam zmuszona wrócić do hali kasowej, gdzie spodziewałam się znaleźć pomoc lub radę.

W pełnym wstrętnego zapachu biurze spedycyjnym zagadnęłam bagażowego, który ustawiał jedną na drugiej klatki dla kurcząt.

– Przepraszam, chciałabym dostać się do Porthkerris. Czy jest tu gdzieś postój taksówek?

Powoli i beznadziejnie potrząsnęła głową, lecz raptem jakby coś sobie przypomniała.

– Co godzinę odchodzi autobus w tamtym kierunku. – Spojrzał na wolno tykający zegar ścienny i dodał: – Jeden właśnie pani uciekł, więc będzie pani musiała poczekać.

– A czy nie można zadzwonić po taksówkę?

– O tej porze mało kto zamawia taksówkę przez telefon.

Opuściłam ciężki plecak na podłogę i przez chwilę gapiliśmy się na siebie przytłoczeni ogromem problemu. Tymczasem moje przemoczone stopy zaczęły już marznąć. Ale gdy tak staliśmy, nagle przez szum deszczu i wiatru przebił się warkot samochodu zjeżdżającego szybko ze stromej podjazdu od głównej szosy.

Podniosłam głos, aby zaakcentować wagę sprawy i powtórzyłam:

– Muszę zamówić taksówkę. Skąd mogę zadzwonić?

– Tam jest budka.

Odwrociłam się w poszukiwaniu budki, ciągnąc za sobą plecak. W tym momencie od stronu placu usłyszałam odgłos hamowania, potem trzaśnięcie drzwiczek samochodu i tupot zbliżających się kroków. W następnej chwili w gwałtownie rozwartych drzwiach pojawił się mężczyzna, zamykając je natychmiast pod naporem lodowatego wiatru. Otrząsnął się przed wejściem jak pies i znikł w otwartych drzwiach biura spedycyjnego. Usłyszałam stamtąd tylko jego głos.

– Jak się masz, Ernie? Chyba macie tu dla mnie paczkę z Londynu.

– Szanowanie, panie Gardner. Co za paskudny wieczór!

– Wyjątkowo okropny. Na jezdni stoi woda. O, to chyba ta paczka. Tak, to to. Trzeba coś podpisać?

– Ano musi pan podpisać. O, tu, proszę bardzo. Wyobraziłam sobie świstek papieru przyglądany ręką na blacie stołu i ogryzek ołówka wyjęty zza ucha Ernie'ego. Ale za żadne skarby nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie słyszałam przedtem ten głos, ani dlaczego wydaje mi się tak dobrze znajomy.

– Świetnie. Dziękuję bardzo.

– Padam do nówek i polecamy się na przyszłość. Na chwilę zapomniałam o telefonie i taksówce, natomiast obserwowałam drzwi, czekając, aż pojawi się w nich właściciel znajomego głosu. Wyszedł, niosąc olbrzymie pudło oblepione czerwonymi nalepkami z napisem „Uwaga: Szkło!”, toteż najpierw widać było długie nogi w niebieskich džinsach ubłoconych po kolana i czarną nieprzemakalną kurtkę ociekającą strugami wody. Był z gołą głową, więc mokre, czarne włosy przylepiły mu się do czaszki. Dopiero teraz zobaczył mnie i stanął jak wryty, trzymając przed sobą paczkę, jakby składał ją w ofierze. W jego ciemnych oczach zamigotało początkowo zaskoczenie, potem błysk świadczący o tym, że mnie poznał. W końcu twarz rozjaśniła mu się uśmiechem, kiedy zawołał: „O, Boże!”

To był ten młody człowiek, który sprzedał mi dwa krzeselka z wiśniowego drzewa.

Stałam z rozdziawionymi ustami i niejasnym poczuciem, że ktoś zrobił mi niesmaczny kawał. Nawet gdybym kiedykolwiek bardziej niż teraz potrzebowała obecności jakiejś życzliwej osoby, byłby to ostatni człowiek na kuli ziemskiej, którego chciałabym ponownie napotkać. A już ostatnią kroplą, która przelała ten kielich goryczy, było to, że musiał akurat zobaczyć mnie tak przemoczoną i zdesperowaną. On tymczasem uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Co za fantastyczny zbieg okoliczności! Cóż pani tu robi?

- Dopiero co wysiadłam z pociągu.
- Dokąd się pani wybiera? Musiałam mu odpowiedzieć.
- Do Porthkerris.
- Czy ktoś po panią przyjechał?

Już miałam ochotę skłamać i powiedzieć mu „tak”, aby tylko się go pozbyć. Nigdy jednak nie umiałam dobrze kłamać, toteż musiałby domyślić się prawdy. Powiedziałam więc „nie” i dodałam, aby to zabrzmiało wiarygodnie, że potrafię dać sobie radę sama.

- Właśnie chciałam zadzwonić po taksówkę.
- To by strasznie długo trwało. Akurat jadę do Porthkerris, podwiozę panią.
- Och, niech pan sobie nie robi kłopotu...
- To żaden kłopot, i tak tam jadę. Czy to cały pani bagaż?
- Tak, ale...
- Idziemy!

Wciąż się wahałam, ale on wyglądał na zdecydowanego otwierając drzwi i przytrzymując je ramieniem, aby mnie przepuścić. Toteż w końcu wysunęłam się za nim w burzliwą ciemność wieczoru. W przyćmionym świetle zobaczyłam zaparkowany samochód typu minivan na światłach postojowych. Młody mężczyzna zatrzasnął drzwi za sobą, podszedł do wozu, delikatnie ułożył z tyłu swoją paczkę, odebrał ode mnie plecak i położył go obok, przykrywając pobieżnie obie rzeczy plandeką. Stałam z boku i przyglądałam mu się, wtedy mnie ponaglił: „Proszę wsiadać, bo oboje przemokniemy do nitki”. Tak też postąpiłam, usadowiając się na siedzeniu obok kierowcy i ściskając torbę między kolanami. Prawie równocześnie on też wsiadł, mocno trzaskając drzwiami i natychmiast włączył silnik, jakby nie chciał tracić ani chwili czasu. Z głośnym warkotem wyjechaliśmy od stacji pod górę, aby po chwili skierować się już na główną szosę w stronę Porthkerris.

Mój nowy znajomy zagaił:

- Teraz proszę mi powiedzieć coś więcej. Myślałem, że pani mieszka w Londynie.
- W ogóle to mieszkam.
- A tu przyjechała pani na urlop?
- Coś w tym rodzaju.
- To brzmi tyleż dobrze, co niejasno. Czy ma tu pani jakichś znajomych, żeby się u nich zatrzymać?
- Tak... nie... nie wiem.
- Nie rozumiem, co to znaczy?
- To znaczy po prostu, że nie wiem – zabrzmiało to niegrzecznie, ale nie mogłam nic na to poradzić. Czulałam, że nie panuję nad tym, co mówię.
- Jednak jeszcze przed Porthkerris musi się pani zdecydować albo spędzi pani noc na plaży.
- Dziś... zatrzymam się w hotelu.
- Wspaniale. W którym? – Ponieważ napotkał tylko moje rozgoryczone spojrzenie,

dokończył dość rozsądnie: – Jeśli nie będę wiedział, który to ma być hotel, to dokąd mam panią zawieźć?

Ponieważ przycisnął mnie do muru, przyznałam się:

– Nie rezerwowałam miejsca w żadnym hotelu. Sądziłam, że wystarczy zrobić to po przyjeździe. Mam nadzieję, że tu jest jakiś hotel?

– Porthkerris żyje z hotelarstwa. W każdym domu są tu kwatery do wynajęcia. Z tym, że o tej porze roku większość z nich jest nieczynna.

A czy pan zna jakieś, które są czynne?

– Tak, ale to zależy, ile pani jest w stanie zapłacić.

Spojrzał kątem oka na moje połatane džinsy, zdeptane buciki i stary skórzany płaszcz obramowany futrem. Ubrałam się tak, aby było mi ciepło i wygodnie, ale w tej chwili to wszystko miało wygląd i zapach zmokłego psa.

– Mamy do wyboru dwie skrajności. Jedna z nich to hotel „Zamek” na wzgórzu, w którym trzeba przebierać się do kolacji w strój wieczorowy, a do tańca przygrywa trzyosobowa kapela. Druga możliwość to pani Kernów, która wynajmuje pokoje ze śniadaniem na Rybackim Zaułku pod numerem dwa. Osobiście polecam panią Kernów. Mieszkałam u niej przez trzy miesiące, zanim nie znalazłem sobie własnego kąta, i wiem, że ceny u niej są przystępne.

Przyciągnął tym moją uwagę.

– Własnego kąta, to znaczy, że pan tu mieszka?

– Tak, od jakichś sześciu miesięcy.

– A co robił pan w sklepie na New Kings Road, gdzie kupowałam krzesła?

– Po prostu przez dzień lub więcej pomagałem właścicielowi.

Dojeżdżaliśmy do skrzyżowania. Kiedy zwalniał, odwrócił się do mnie i zapytał:

– Odebrała już pani te krzesła?

– Jeszcze nie, ale zapłaciłam za nie, tak że będą czekały tam do mojego powrotu.

– To dobrze – podsumował młody człowiek.

Przez pewien czas jechaliśmy w milczeniu. Minęliśmy wieś, potem kawałek pustej okolicy wysoko nad poziomem morza. Dalej szosa znów wiodła w dół, a po jej obu stronach rosły drzewa o pniach i gałęziach powykręcanych przez wiatr. Za nimi, dużo poniżej nas, przebłyskiwały światła małego miasteczka.

– Czy to Porthkerris?

– Tak. I już za chwilę będzie pani musiała mi powiedzieć, czy decyduje się na „Zamek” czy na Rybacki Zaułek.

Przełknęłam ślinę. O „Zamku” nie mogło być mowy, ale zdawałam sobie sprawę, że wybierając Rybacki Zaułek biorę na siebie zobowiązanie wobec tego despotycznego osobnika. Jedynym powodem mojego przyjazdu do Porthkerris była chęć ujrzenia Grenville’a Baylissa, a miałam niemiłe przeczucie, że jeśli zaangażuję się w znajomość z tym facetem, on przyczepi się do mnie jak rzep.

– Nie, na pewno nie „Zamek”... – zaczęłam, próbując zasugerować, że może istnieje jeszcze inna, skromniejsza możliwość, ale on uciał krótko.

– To świetnie. Pani Kernów z Rybackiego Zaułka to jest właśnie to. Nie będzie pani żałować.

Moje pierwsze wrażenia na temat Porthkerris, wśród ciemności i siąpiącego deszczu, były, delikatnie mówiąc, mieszane. Przy takim niezdrowym powietrzu miasteczko było jak wymiecione z mieszkańców. Opustoszałe, mokre uliczki, odbijały światła latarni, rynsztokami płynęła woda.

Z dużą szybkością wjechaliśmy w zawiłą plataninę zaułków i alejek, to wyłaniając się na drodze okrążającej port, to wpadając znów w labirynt brukowanych uliczek z przypadkowo rozrzuconymi domkami. W końcu dostaliśmy się na wąską ulicę zabudowaną szarymi, szeregowymi domkami, których frontowe drzwi otwierały się wprost na chodnik. Wyglądały one nobliwie i przyzwoicie. Przez koronkowe firanki w oknach przeświecały figurki dziewczynek z psami lub duże zielone doniczki z roślinami. Nareszcie zwolniliśmy i samochód stanął.

– Jesteśmy na miejscu. – Mój towarzysz wyłączył silnik.

Wtedy można było usłyszeć szum wiatru i przebijający się przezeń huk morza. Potężne bałwany rozbijały się o wybrzeże, powracając z przeciągłym świstem.

– Przepraszam – dodał – ale nie znam pani nazwiska.

– Rebeka Bayliss. A pan?

– Joss Gardner... to zdrobnienie od Jocelyna, nie od Józefa.

Z tą pożyteczną informacją wysiadł z wozu i zadzwonił do drzwi. Czekał na odpowiedź, zabrał się do wyjmowania mojego plecaka spod plandeki. Gdy go już wyciągnął, drzwi uchyliły się i mój opiekun znalazł się w smudze światła.

– Ach, Joss!

– Dobry wieczór, pani Kernów.

– Co tu robisz o tej porze?

– Przywiozłem pani gościa. Powiedziałem jej, że pani ma najlepszy hotel w Porthkerris.

– O Boże, nie jestem przygotowana do przyjmowania gości o tej porze roku. Ale proszę, wejdźcie, nie stójcie na dworze w taką pogodę. Tom jest na posterunku straży przybrzeżnej, chyba mieli tam jakiś alarm, ale nie wiem dokładnie, nie słyszałam żadnych wystrzałów rakietowych...

Jakoś znaleźliśmy się w środku, ledwo mieszcząc się we trójkę w ciasnym przedpokoju.

– Chodźcie, usiądźcie przy kominku, tu jest ciepło... Może napijecie się herbaty?

Przeszliśmy za nią do małego, zagraconego, lecz przytulnego saloniku. Kobieta przyklękła, żeby rozpałcić przygasły ogień i dosypać węgla. Po raz pierwszy miałam wtedy sposobność jej się przyjrzeć. Zobaczyłam drobną starszą panią w okularach, w kapciach i fartuszkowi osłaniającym porządną brązową sukienkę.

– Naprawdę nie chodzi nam o herbatę – wyjaśnił mój towarzysz – tylko chcielibyśmy wiedzieć, czy Rebeka będzie mogła u pani przenocować, jedną noc lub więcej.

Starsza pani podniosła się od kominka.

– No, nie wiem... – zaczęła, mierząc mnie pełnym wątpliwości spojrzeniem.

Biorąc pod uwagę mój wygląd i zapach zmokłego psa, nie dziwiłam się zbytnio jej wątpliwościom. Chciałam coś powiedzieć, ale Joss mnie wyprzedził, nim zdążyłam otworzyć usta.

– Ona jest bardzo porządną osobką, która na pewno nie wyniesie pani łyżek z kredensu. Ręczę za nią.

– No... – zaczęła pani Kernów z uśmiechem, przy czym zauważyłam, że ma ładne, bładoniebieskie oczy. – Pokój jest pusty, więc mogłaby zostać. Ale nie mogę dziś podać jej kolacji, bo nie spodziewałam się nikogo i nie mam w domu nic oprócz kilku ciasteczek.

– W porządku – odparł Joss. – Już ją nakarmię.

Próbowałam zaprotestować, ale znów nie dopuścił mnie do głosu.

– Zostawiam ją tutaj, żeby się rozgościła i rozpakowała. Potem przyjadę po nią, tak około... – tu spojrział na zegarek – wpół do ósmej. W porządku?

Rzucił obojętne spojrzenie w moim kierunku.

– Pani jest aniołem, pani Kernów. Kocham panią jak własną matkę! – Objął ją ramieniem i ucałował.

Wyglądała, jakby była tym zachwycona, toteż Joss obdarzył mnie radosnym uśmiechem, rzucił: „No to na razie”, i wyszedł. Usłyszałyśmy z ulicy warkot jego samochodu.

– To uroczy chłopak – poinformowała mnie pani Kernów. – Mieszkał u mnie przez trzy miesiące albo i dłużej... Teraz weź torbę, kochanie, i chodź, pokażę ci pokój. Oczywiście jest tam zimno, ale zaraz przyniosę elektryczny piecyk. W bojlerze jest gorąca woda, więc możesz się wykąpać. W tych brudnych pociągach zawsze człowiek się uświni...

Pokój był tak samo mały jak wszystko inne w tym domu. Prawie całą jego powierzchnię zajmowało ogromne podwójne łóżko. Najważniejsze jednak, że było w nim czysto i ciepło. Pani Kernów pokazała mi, gdzie jest łazienka, a potem zeszła na dół i zostawiła mnie samą.

Uklękłam przy nisko umieszczonym okienku i odsunęłam firanki. Stare ramy okienne były zabezpieczone przed wiatrem gumowymi uszczelkami, a ciemne szyby ociekały strugami deszczu. Nie było tam nic do oglądania, jednak pozostawałam na tym miejscu, zastanawiając się, co też ja robię w tym domu. Próbowałam też rozgryźć problem, dlaczego nagle, powtórne wtargnięcie Jossa Gardnera w moje życie wzbudziło we mnie uczucie dziwnego niepokoju.

Teraz trzeba mi było uruchomić mechanizmy obronne. Musiałam odbudować swoją pewność siebie i szacunek dla siebie, gdyż rola zagubionej sierotki, którą ktoś nagle uratował, zupełnie mi nie odpowiadała. Dużym postępowaniem na drodze do odbudowy własnego pozytywnego wizerunku mogły być: gorąca kąpiel i zmiana odzieży. Uczesałam się, umalowałam oczy i spryskałam się resztką wytwornych perfum. Już wcześniej wyciągnęłam z mojego niezastąpionego plecaka sukienkę i rozwiesiłam, licząc na to, że zgniecenia same się rozprostują. Była to ciemna bawełniana sukienka z długim rękawem. Do niej wybrałam ciemne, bardzo cienkie pończochy i kupione kiedyś na Portobello pantofle na wysokim obcasie ozdobione staroświeckimi klamrami.

Kiedy zakładałam kolczyki z perełkami, poprzez wściekle wycie wiatru i grzechot deszczu o szyby dał się słyszeć warkot minibusu Jossa Gardnera. Słysząc było, jak opony podskakiwały na kocich łbach, kiedy wjeżdżał ulicą pod górę. Usłyszałam na zewnątrz pisk hamowania, a po chwili na dole jego głos zwrócony wpierw do pani Kernów, a potem do mnie.

Powoli włożyłam drugi kolczyk, wzięłam torebkę i skórzany płaszcz. Przedtem rozwiesiłam go w pobliżu elektrycznego grzejnika w nadziei, że wyschnie, ale nic z tych rzeczy. Ciepło nasiliło tylko intensywność jego zapachu przypominającego woń sierści spaniela, który właśnie wrócił ze spaceru po deszczu. Przy tym płaszcz był tak namoknięty, że zrobił się ciężki jak ołów, ale przewiesiłam go przez ramię i zesłam po schodach na dół. Joss był w przedpokoju. Spojrzał w górę i krzyknął:

– Cześć! Proszę, jaka przemiana! Czujemy się już lepiej?

– Tak.

– Daj, pomogę ci włożyć płaszcz.

Wziął go ode mnie i na chwilę zamienił się w ciężarowca, uginając kolana pod samą jego wagą.

– Nie możesz tego włożyć, przytłoczyłby cię do ziemi. Poza tym jest wciąż mokry.

– Nie mam nic innego.

Joss, ciągle z moim płaszczem na rękach, roześmiał się. Mój z trudem wytworzony dobry nastrój diabli wzięli. Chyba widać to było po mnie, gdyż Joss natychmiast przestał się śmiać i zawołał panią Kernów. Kiedy przybiegła, z wyrazem twarzy mogącym oznaczać zarówno smutek, jak i życzliwość, przekazał jej mój płaszcz z prośbą, by go porządnie wysuszyła. Potem zdjął swoją czarną kurtkę i z pewnym wdziękiem zarzucił ją na moje ramiona.

Pod spodem miał na sobie miękki szary sweter, a na szyi bawełniany szalik.

– No, teraz możemy iść – stwierdził i otworzył drzwi prosto w lejący deszcz.

– Przecież zmokniesz – zaprotestowałam, ale on całkiem bezceremonialnie uciał:

– Tylko szybko!

Odległość do samochodu przebiegliśmy tak szybko, że nie zdążyliśmy nawet zmoknąć. Zatrzaśnięte drzwi miały ochronić nas od deszczu, chociaż małe kałuże wody na siedzeniach i

pod nogami nasuwały podejrzenie, że ten wóz nie jest już tak szczelny jak kiedyś. Kiedy samochód ruszył, na zewnątrz tak lało, że miałam wrażenie, jakbyśmy płynęli motorówką.

– Dokąd jedziemy? – spytałam.

– „Pod Kotwicę”. To knajpa tuż za rogiem, niezbyt wykwinna, ale chyba ci to nie przeszkadza?

– Dlaczego miałoby przeszkadzać?

– Czyja wiem? Może na przykład wolałabyś pójść do „Zamku”?

– I tańczyć fokstrota przy akompaniamencie tercetu instrumentalnego?

– Nie umiem tańczyć fokstrota – wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nikt mnie nigdy nie uczył.

Przemknęliśmy wzdłuż Rybackiego Zaułka obok jednego lub dwóch narożników i przez kamienną bramę wyjechaliśmy na mały placyk. Jedną jego stronę stanowił niski, nieregularny budynek starej gospody. Zza małych okienek i drzwi wejściowych promieniowało ciepłe światło, a szyld wiszący nad wejściem kołysał się i skrzypiał na wietrze. Przed lokalem stało już cztery czy pięć samochodów, toteż Joss precyzyjnie zaparkował swój wóz między dwoma innymi. Wyłączył silnik, zakomenderował: „Raz, dwa, trzy, start!”, po czym przemknęliśmy biegiem od samochodu do ganku gospody.

Tam Joss otrząsnął krople deszczu z puszystego swetra, zdjął z moich ramion swoją kurtkę i otworzył drzwi, przepuszczając mnie przodem.

Sala była nisko sklepiona, ciepła i pachniało w niej tak jak zwykle w starych oberżach – piwem, dymem fajkowym i zbutwiałym drewnem. Przy barze stały wysokie taborety, a pod ścianami stoliki. W rogu sali dwóch starszych mężczyzn grało w bierki.

Barman podniósł głowę i przywitał gościa: „Cześć, Joss”. Ten powiesił kurtkę na wieszaku i podprowadził mnie na drugą stronę sali, aby mnie przedstawić.

– Tommy, to jest Rebeka. Rebeko, to jest Tommy Williams. Mieszka tu od dziecka i gdybyś chciała czegokolwiek się dowiedzieć na temat Porthkerris i ludzi stąd, po prostu zapytaj Tommy’ego.

Przywitaliśmy się. Tommy był siwy i miał pełno zmarszczek. Wyglądał, jakby w wolnych chwilach trudnił się rybołówstwem. Siedliśmy na wysokich barowych stołkach i Joss zamówił szkocką whisky z wodą sodową dla mnie, a ze zwykłą wodą dla siebie. Podczas kiedy Tommy mieszał drinki, rozpoczęli ze sobą zwykłą rozmowę, jaką toczą mężczyźni w barze.

– Jak ci leci? – To był głos Tommy’ego.

– Pomalutku.

– Kiedy otwierasz interes?

– Jak dobrze pójdzie, to może na Wielkanoc.

– Lokal już wykończony?

– Mniej więcej.

– Kto ci robił stolarkę?

– Sam sobie robiłem.

– To coś niecoś zaoszczędziłeś.

Błądziłam myślami. Zapaliłam papierosa i rozglądałam się wokoło. To, co tam widziałam, było przyjemne. Dwóch starszych panów grających w bierki; dwoje młodych ludzi w dzinsach i z długimi włosami, którzy pochyleni nad stołem i kuflami gorzkiego piwa w skupieniu dyskutowali. Ciekawe o czym – o egzystencjalizmie? Malarstwie realistycznym? O tym, skąd wziąć pieniądze na czynsz? Cokolwiek by to jednak było, musiało mieć dla obojga duże znaczenie.

Albo znów ta czwórka starszych państwa, dostatnio ubranych, przy czym mężczyźni z dyskretną niedbałością, a kobiety bardziej formalnie. Można było odgadnąć, że na stałe zatrzymali się w „Zamku”, a tylko z nudów i z powodu złej pogody postanowili zwiedzić różne malownicze zakątki miasta. Sprawiali wrażenie, jakby nie było im tu zbyt wygodnie i ledwo mogli się doczekać powrotu do aksamitnych obić w wytwornym hotelu na wzgórzach.

Wodziłam oczyma po sali, aż mój wzrok zatrzymał się na psie. Był to piękny duży seter irlandzki o błyszczącej sierści, z ogonem jak jedwabisty pióropusz koloru miedzi na tle szarych płytek posadzki. Siedział spokojnie, blisko swego pana, tylko od czasu do czasu lekko poruszał ogonem na znak aprobaty.

Zaintrygowana, przeniosłam wzrok na mężczyznę, który zdawał się być właścicielem tego fascynującego stworzenia. Stwierdziłam, że jest postacią równie interesującą jak jego pies. Siedział przy stole, podpierając się pięścią pod brodę, dzięki czemu widoczny był jego czysty, nieskazitelny profil, tak jakby specjalnie mi pozował. Miał kształtną głowę, a włosy o odcieniu sierści srebrnego lisa, typowe dla osób, które wcześniej zaczęły siwieć. Jedno oko, to widoczne z profilu, było głęboko osadzone i ciemno podkrążone, nos długi i orli, usta ładnie wykrojone, podbródek mocno zarysowany. Na podstawie długości jego nadgarstka, widocznego w rękawie kraciatej koszuli i szarej tweedowej marynarki, jak też sądząc z odległości, na jaką wyciągnął nogi pod stolikiem, można było przypuszczać, że jest wysoki; musiał mieć powyżej sześciu stóp.

Kiedy mu się przyglądałam, nagle roześmiał się z czegoś, co powiedział jego towarzysz. To zwróciło moją uwagę na tego drugiego i byłam zaszokowana, gdyż obaj mężczyźni jakoś nie pasowali do siebie. Jeden był szczupły i elegancki – drugi niski, tęgi i czerwony na twarzy. Na sobie miał opiętą granatową marynarkę, a kołnierzyk koszuli prawie go dusił. W barze nie było zbyt gorąco, a mimo to jego zaczerwienione czoło lśniło od potu. Zauważyłam, że miał ciemne włosy zaczesane na „pożyczkę”, zasłaniające w ten sposób łysinę.

Mężczyzna z psem nie palił, za to gruby nagle zdusił swojego papierosa w przepelnionej popielniczce, jakby akcentując to, czego chciał dowieść. Prawie natychmiast po tym sięgnął do kieszeni po srebrną papierośnicę i następnego papierosa.

Człowiek z psem najwidoczniej zdecydował, że już czas iść. Opuścił rękę, odsunął mankiet koszuli, aby spojrzeć na zegarek, i dokończył drinka. Grubas, widocznie pragnąc dostosować się do planów drugiego, pospiesznie zapalił papierosa i wychylił swoją whisky. Zaczęli wstawać od stołu, odsuwając krzesła z okropnym skrzypiącym odgłosem. Pies też wstał, zataczając ogonem

radosne kręgi.

Kiedy stali obok siebie, jeden niski i gruby, a drugi wysoki i chudy, wyglądali na jeszcze bardziej niedobraną parę. Chudy sięgnął po płaszcz przeciwdeszczowy przewieszony przez oparcie krzesła i zarzucił go sobie na ramiona jak pelerynę. Kierując się ku drzwiom, odwrócił się w naszą stronę. Przez moment byłam rozczarowana widokiem jego twarzy *en face*, gdyż nie dorównywała ona jego intrygującemu profilowi. Zaraz jednak o tym zapomniałam, gdyż ten człowiek nagle zauważył Jossa. Joss widocznie wyczuł jego obecność, bowiem przestał rozmawiać z Tommym Williamsem i odwrócił się, żeby zobaczyć, kto na niego patrzy. Przez chwilę obaj sprawiali wrażenie zbitych z tropu, lecz wysoki mężczyzna wnet się uśmiechnął. Ten uśmiech nakreślił cienkie linie wzdłuż jego szczupłych opalonych policzków i zmarszczył skórę wokół oczu. Taki wdzięk nie mógł nie wzbudzić ciepłych uczuć.

– Joss, kopę lat! – odezwał się, a jego głos był miły i przyjazny.

– Cześć! – odpowiedział Joss nie wstając z taboretu.

– Myślałem, że jesteś w Londynie.

– Już wróciłem.

Na chwilę odwróciło moją uwagę skrzywienie drzwi. To gruby pan postanowił dyskretnie wyjść. Doszłam do wniosku, że pewnie ma coś pilnego do załatwienia, i przestałam o tym myśleć.

– Powiem staruszkowi, że już jesteś.

– Dobrze, zrób to.

Spojrzenie głęboko osadzonych oczu skierowało się w moją stronę, potem znowu gdzieś dalej. Czekałam, aż zostanę przedstawiona, ale nic takiego nie nastąpiło. Nie wiem dlaczego, ale ten brak wychowania u Jossa podziałał na mnie jak policzek. W końcu wysoki mężczyzna powiedział: , – Dobra, jeszcze się zobaczymy – i poszedł w kierunku wyjścia.

– Oczywiście – potwierdził Joss.

– Dobranoc Tommy! – Nieznajomy pożegnał się z barmanem, otworzył drzwi i wypuścił przodem psa.

– Dobranoc, panie Bayliss – odrzekł barman. Poczułam, jak coś szarpnęło moją głowę w tamtą stronę, jakby ktoś pociągnął ją za sznurek. Tamten już wyszedł, tylko rozhuśtane drzwi jeszcze się kiwały. Bez namysłu odsunęłam swój taboret chcąc za nim iść, ale czyjaś ręka przytrzymała mnie za ramię. Kiedy się odwróciłam, stwierdziłam, że to Joss mnie trzyma. Przez chwilę mierzyliśmy się spojrzeniami, w końcu otrząsnęłam się. Z zewnątrz dobiegł dźwięk ruszającego samochodu. Teraz było już za późno.

– Kto to był? – zapytałam.

– Eliot Bayliss.

Eliot, syn mojego wuja Rogera i jego żony Mollie. Wnuk Grenville'a Baylissa. Mój krewny, kuzyn.

– To mój kuzyn.

– Nie wiedziałem.

– Znasz moje nazwisko. Dlaczego nie powiedziałeś mi o mnie? Dlaczego zatrzymałeś mnie, abym nie wybiegła za nim?

– Niedługo znów go zobaczysz. Dziś jest już za późno i zanadto psia pogoda na odnawianie więzi rodzinnych.

– Grenville Bayliss jest także moim dziadkiem.

– Przypuszczałem, że musi być między wami jakieś pokrewieństwo – skomentował Joss chłodno, po czym dodał: – Napijmy się jeszcze.

Teraz byłam już naprawdę zła.

– Nie chcę więcej pić!

– Chodźmy więc coś zjeść.

– Jeść też już mi się nie chce!

Wydawało mi się, że naprawdę minął mi apetyt. Tymczasem po prostu nie chciałam spędzić ani chwili dłużej w towarzystwie tego gburowatego i butnego osobnika. Obserwowałam go, jak kończy drinka i schodzi z taboretu, aż tu przemknęło mi przez myśl, że mógłby teraz złapać mnie za słowo, odwieźć na Rybacki Zaułek i zostawić tam na głodniaka. Na szczęście nie przejrzał mojego bluffu, tylko po prostu zapłacił za drinki i bez słowa skierował się w stronę drzwi na końcu baru, za którymi po schodach wchodziło się do małej restauracyjki. Poszłam za nim, gdyż nie bardzo miałam cokolwiek innego do roboty. Poza tym byłam głodna.

Większość stolików w restauracji była zajęta, ale kelnerka poznała Jossa, podeszła, aby się przywitać, i wskazała nam najlepszy stolik na sali, usytuowany we wnęce w wykuszu okiennym. Z okna widać było zlane deszczem dachy domów, a za nimi płynną ciemność portu rozmigotaną światłami latarni na molo i ruchomymi lampami rybackich łódek.

Siedzieliśmy naprzeciw siebie. Wciąż byłam rozżłoszczona i nie chciałam nawet patrzeć na swego towarzysza. Siedziałam, rysując palcem desenie na serwecie i słuchałam, jak zamawia posiłek. Najwidoczniej w tej sprawie też nie miałam nic do gadania. Słyszałam, jak kelnerka pyta: „Dla tej pani to samo?”, jakby nawet ją dziwiło jego zachowanie, i jak Joss odpowiada: „Tak, dla pani to samo”. Potem kelnerka odeszła i zostaliśmy sami. Po chwili podniosłam oczy. Jego ponure spojrzenie skrzyżowało się z moim. Trwała cisza, lecz miałam zabawne uczucie, że on czeka na moje przeprosiny.

Usłyszałam własny głos:

– Jeśli nie chcesz, żebym rozmawiała z Eliotem Baylissem, może porozmawiałbyś ze mną o nim?

– Co chciałabyś wiedzieć?

– Czy jest żonaty? – Było to pierwsze pytanie, jakie przyszło mi na myśl.

– Nie.

– Jest przystojny. – Joss zgodził się z tym. – Czy mieszka sam?

– Nie, z matką. Mają dom w High Cross, jakieś sześć mil stąd, ale około roku temu

przeprowadzili się do Boscarvy, aby nie zostawiać staruszka samego.

– Czy mój dziadek jest chory?

– Chyba nie wiesz zbyt dużo o swojej rodzinie, prawda?

– Nie – zabrzmiało to wyzywająco.

– Jakieś dziesięć lat temu Grenville Bayliss miał zawał. To było wtedy, kiedy przestał malować. Ale zawsze był silny jak byk, więc szybko wyzdrowiał. Nie chciał opuszczać Boscarvy, no i miał przy sobie to małżeństwo, które się nim opiekowało.

– Pettiferów? Joss uniósł brwi.

– Skąd wiesz o Pettiferach?

– Od mojej matki – przypomniałam sobie jej opowieść o dawnych herbatkach przy stole kuchennym.

– Nie przypuszczałam, że oni wciąż mogą tu być.

– Pani Pettifer umarła w zeszłym roku, więc Pettifer i twój dziadek zostali sami. Grenville Bayliss ma teraz osiemdziesiąt lat, a Pettifer nie może być wiele młodszy. Mollie chciała, żeby sprzedali Boscarwę i przeprowadzili się do High Cross, ale starszy pan był nieugięty, więc w końcu wprowadzili się do niego. Nie powiedziałbym, aby zrobili to z widocznym entuzjazmem...

– Odchylił się do tyłu, opierając swoje długie ręce na krawędzi stołu. – Czy twoja matka miała na imię Liza?

Przytaknęłam.

– Wiedziałem, że Grenville miał córkę, która też miała córkę, ale trochę mnie zdezorientowało, że nosisz nazwisko Bayliss.

– Mój ojciec opuścił moją matkę, zanim przyszłam na świat. Ona nigdy nie używała jego nazwiska.

– A gdzie jest teraz twoja matka?

– Umarła akurat kilka dni temu. Na Ibizie. Dopiero kilka dni temu... – powtórzyłam, bo nagle wydało mi się to wiekiem.

– Przepraszam.

Zrobiłam tylko jakiś nieokreślony gest, gdyż na taką sytuację nie było słów.

– Czy twój dziadek już wie o tym?

– Nie wiem.

– Czy przyjechałaś tu, aby mu o tym powiedzieć?

– Przypuszczam, że może będę musiała. Sama myśl o tym była raczej zniechęcająca.

– Czy on wie, że jesteś w Porthkerris? Potrzaśnięłam głową.

– On mnie nawet nie zna. To znaczy, nigdy się nie spotkaliśmy. Nigdy przedtem tu nie byłam – w końcu wydusiłam z siebie. – Nawet nie wiem, jak tam trafić.

– Tak czy inaczej – podsumował Joss – masz zamiar go zaszokować.

Przestraszyłam się.

– Czy on jest aż tak słaby?

– Przeciwnie, jest raczej nadzwyczaj silny. Jednak robi się coraz starszy.

– Moja matka twierdziła, że wzbudzał lęk. Czy jeszcze nadal wzbudza?

Joss zrobił groźną minę, wcale nie próbując mnie pocieszać.

– Jest wręcz przerażający – zażartował. Kelnerka przyniosła zupę. Była to zupa ogonowa, gęsta, brązowa i bardzo gorąca. Byłam tak głodna, że bez słowa opróżniłam talerz do dna. Kiedy już odkładałam łyżkę, spojrzałam w górę i stwierdziłam, że Joss śmieje się ze mnie.

– Jak na panienkę, która w ogóle nie chciała jeść, poszło ci całkiem dobrze.

Tym razem już nie wstawiałam, odsunęłam od siebie pusty talerz i oparłam łokcie na stole.

– Skąd masz tyle wiadomości o rodzinie Baylissów? – spytałam.

Joss nie pochłonął zupy tak szybko jak ja. Przeciwnie, smarował bułkę masłem tak wolno, że doprowadzał mnie do szału.

– Po prostu – odpowiedział – wykonuję w Boscarvie pewne prace.

– Co to są za prace?

– Odnawiam antyczne meble. Nie, nie gap się na mnie w taki nieciekawy sposób, to ci nie da.

– Odnawiasz antyczne meble? Chyba żartujesz.

– Bynajmniej. Grenville Bayliss ma pełen dom bardzo starych i cennych przedmiotów. W swoim czasie zrobił duże pieniądze i większość zainwestował w antyki. Teraz niektóre z nich są w trakcie renowacji. Nie dlatego, żeby nikt ich nigdy nie konserwował, ale jakiś czas temu założono centralne ogrzewanie, a to niszczy stare meble. Szuflady się paczą, fornir skręca się i pęka, w krzesłach odpadają nogi... Przypadkowo – dodał, odrywając się od wspomnień – to właśnie ja naprawiałem twoje krzeselko.

– Od jak dawna tym się zajmujesz?

– Zobaczmy. Ukończyłem szkołę, kiedy miałem siedemnaście lat, a teraz mam dwadzieścia cztery, więc wychodzi, że od około siedmiu lat.

– Musiałeś chyba się tego uczyć?

– Oczywiście. Przez cztery lata uczyłem się stolarki budowlanej i meblowej w szkole zawodowej w Londynie. A kiedy już to opanowałem, przez następne dwa lata terminowałem u starego majstra stolarskiego w Sussex. Mieszkałem u niego, wykonywałem najcięższe roboty w warsztacie i uczyłem się, czego tylko mogłem.

Wykonałam w myśli kilka obliczeń.

– To czyni tylko sześć lat. A wspomniałeś o siedmiu.

Roześmiał się.

– Jeden rok odliczyłem na podróże. Moi rodzice uważali, że staję się prowincjuszem, a kuzyn ojca hodował bydło w Górach Skalistych, na południowym zachodzie stanu Colorado. Przez około dziewięć miesięcy lub więcej pracowałem u niego na ranczo. – Zmarszczył brwi. – Z czego się śmiejesz?

Powiedziałam mu, z czego.

– Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam cię w sklepie, pomyślałam, że wyglądasz jak prawdziwy kowboj. I jakoś denerwowało mnie, że nim nie byłeś.

Uśmiechnął się.

– A wiesz, jak ty dla mnie wyglądałaś?

– Nie – odparłam chłodno.

– Jak prymuska z wzorowo prowadzonego sierocińca. A to z kolei mnie denerwowało.

To była taka mała wymiana ciosów, po której znów znaleźliśmy się po przeciwnych stronach barykady.

Patrzyłam z niesmakiem, jak z zadowoleniem kończył zupę. Kelnerka zabrała puste talerze i postawiła na stole karafkę czerwonego wina. Nie słyszałam, kiedy Joss zamawiał wino, ale teraz przyglądałam mu się, jak napełniał dwa kieliszki, i zwróciłam uwagę na jego długie palce o łopatkowatych zakończeniach. Mogłam wyobrazić je sobie przy pracy w drzewie lub nad starymi pięknymi wyrobami, jak nadają im kształt, mierzą czy polerują. Podniosłam kieliszek z winem, które pod światło przeświecało czerwono jak rubin.

– Czy tylko to robisz w Porthkerris? Odnawiasz meble Grenville’a Baylissa?

– Ależ skąd. Otwieram tu” sklep. Udało mi się wynająć lokal na terenie portu jakieś sześć miesięcy temu. Od tej pory już tu mieszkam. Próbuję doprowadzić to do porządku na tyle, by przed Wielkanocą, Zielonymi Świątkami czy kiedyś w lecie uruchomić interes.

– Czy to będzie sklep z antykami?

– Nie, raczej współczesny, z meblami, szkłem i tekstyliami. Z tym, że na zapleczu będę prowadził też konserwację antyków. Mam tam już warsztat. Mam też małe gniazdko na piętorku, gdzie teraz mieszkam, dzięki czemu mogłaś zająć mój pokój u pani Kernów. Może pewnego dnia, kiedy uznasz, że można mi ufać, wdrapiesz się po chwiejnych schodkach i będziesz mogła to zobaczyć.

Zignorowałam tę wycieczkę osobistą.

– Jeżeli pracujesz tutaj, to co robiłeś w tamtym sklepie w Londynie?

– U Tristrama? Już ci mówiłem, to mój znajomy. Wpadam do niego, ilekroć jestem w mieście.

Zasępiłam się. Za dużo tu było zbiegów okoliczności. Nasze drogi życiowe wydały się nimi tak opłatane jak paczka dobrze obwiązana sznurkiem. Przyglądałam mu się, jak kończył wino, i znów czułam ten sam niepokój, co wcześniej tego wieczoru. Wiedziałam, że powinnam zadać mu masę pytań, ale zanim zdążyłam pomyśleć, kelnerka pojawiła się ponownie przy naszym stole. Przyniosła befsztyki z jarzynami, frytkami i sałatą. Upiłam trochę wina i obserwowałam Jossa, a kiedy kelnerka odeszła, spytałam:

– Co robi teraz Eliot Bayliss?

– Eliot? Prowadzi autokomis w High Cross. Specjalizuje się w używanych samochodach wysokiej klasy, jak mercedesy czy alfa romeo. Jeżeli tylko masz odpowiednią książeczkę czekową, on jest w stanie dostarczyć ci wszystko.

- Chyba go nie lubisz.
- Nigdy nie powiedziałem, że nie.
- Ale jednak go nie lubisz.
- Będzie bliższe prawdy, jeśli powiem, że to on nie lubi mnie.
- Dlaczego?
- . Spojrzał w górę z rozbawieniem w oczach.
- Nie mam pojęcia. Jedz lepiej ten befszytk, póki nie wystygnie.

Odwiózł mnie do domu. Wciąż padało i naraz poczułam się śmiertelnie zmęczona. Pod drzwiami pani Kernów Joss zatrzymał samochód, pozostawiając włączony silnik. Podziękowałam mu, powiedział „dobranoc” i poszłam w stronę drzwi, ale podbiegł jeszcze do mnie. Odwróciłam się, aby zobaczyć, o co mu chodzi. Powiedział:

- Co do jutra. Wybierasz się do Boscarvy?
- Tak.
- Zawiozę cię.
- Mogę pojechać tam sama.
- Nie wiesz, gdzie to jest, a to jest kawał drogi pod górę. Podrzucę cię samochodem. Może być około jedenastej?

Doszłam do wniosku, że z równym powodzeniem mogłabym dyskutować z walcem parowym, a że byłam zmęczona, dla świętego spokoju odpowiedziałam:

- Dobrze.
- Otworzył drzwi i pchnął je tak, aby były szeroko otwarte.
- Dobranoc, Rebeko.
- Dobranoc.
- Do zobaczenia jutro.

W ciągu nocy wiatr nie ustał. Jednak po przebudzeniu zobaczyłam przez małe okienko mojego pokoju u pani Kernów kwadrat bladoniebieskiego nieba, po którym pędziły białe wydęte obłoki. W pokoju było bardzo zimno, lecz odważnie wstałam, ubrałam się i zesłam na dół w poszukiwaniu pani Kernów. Znalazłam ją na małym podwórku za domem, gdzie wieszała pranie na sznurze. Początkowo, zajęta walką z trzepoczącymi prześcieradłami i ręcznikami, nie zauważyła mnie. Moje pojawienie się między koszulą a skromną dzianą halką mocno ją zaskoczyło. Rozbawiona zaniosła się piskliwym śmiechem, jakbyśmy razem odgrywały jakąś scenkę.

– Aleś mnie zaskoczyła! Myślałam, że jeszcze śpisz. Było ci wygodnie? Ten przeklęty wiatr wciąż dmucha, ale chwała Bogu, że już nie pada. Zjesz śniadanie?

– Napiałabym się herbaty.

Pomogłam jej rozwiesić resztę bielizny, potem starsza pani wzięła pusty koszyk i przodem poszła do domu. Usiadłam przy kuchennym stole, a ona zapaliła gaz pod czajnikiem i zaczęła smażyć bekon.

– Zjedliście wczoraj dobrą kolację? Byliście „Pod Kotwicą”, prawda? Tommy Williams świetnie to prowadzi, czy lato, czy zima. Słyszałam, jak Joss cię odwoził. To uroczy chłopak. Tęskniłam za nim, kiedy się wyprowadził. Jeszcze i teraz czasem chodzę do niego, żeby mu posprzątać i zabrać brudną bieliznę do uprania. To przykre, że taki młody człowiek musi mieszkać sam i nie ma nikogo, kto by się o niego troszczył.

– Wydaje mi się, że Joss sam może zadbać o siebie.

– To nie jest w porządku, kiedy mężczyzna musi robić babską robotę. – Pani Kernów najwyraźniej nie była zwolenniczką równouprawnienia kobiet.

– Poza tym ma wystarczająco dużo roboty u pana Baylissa.

– Pani zna pana Baylissa?

– A któż go nie zna? Mieszka tu już od prawie pięćdziesięciu lat. To jeden z najstarszych mieszkańców naszego miasteczka. Zanim się rozchorował, był świetnym malarzem. Co roku urządzał wystawę swoich prac, na którą przyjeżdżali różni ludzie, nawet bardzo ważne osoby z Londynu. No, ostatnio to już go tak często nie widzimy. Już nie może tak chodzić pod górę i z góry jak kiedyś, a Pettiferowi trudno jest prowadzić taki wielki samochód przez te wąziutkie uliczki. W lecie jest tu taki ruch i tylu turystów, że człowiek nie może ruszyć się krokiem. Aż się od nich roi. Czasem wydaje ci się, że połowa ludności naszego kraju upchnęła się w tym miasteczku.

Zrzuciła usmażony bekon na ogrzany talerz i postawiła go przede mną.

– Jedz, zanim wystygnie.

– Pani Kernów, pan Bayliss jest moim dziadkiem – powiedziałam.

Spojrzała na mnie, wysoko unosząc brwi.

– Twoim dziadkiem? – spytała, a potem dodała:

– To czyją jesteś córką?

– Lizy.

– Dziecko Lizy! – przyciągnęła do siebie krzesło i powoli usiadła. Widać było, że jest wstrząśnięta. – Czy Joss wie o tym?

– Tak, powiedziałam mu o tym wczoraj. – Wydawało mi się to bez związku ze sprawą.

– Liza była śliczną dziewczynką! – Tu przyjrzała się mojej twarzy. – Jakbym ją widziała... tylko że ona miała ciemne włosy, a ty jasne. Było nam jej brak, kiedy wyjechała i już nie wróciła. Gdzie ona jest teraz?

Opowiedziałam jej, co się stało. Kiedy skończyłam, zapytała:

– A czy pan Bayliss wie, że tu jesteś?

– Nie.

– To musisz iść tam zaraz. Chciałabym być tam i zobaczyć wtedy jego twarz. Jak on uwielbiał twoją matkę...

W jej oku zabłysła łza. Toteż szybko, zanim obie pogrążyłybyśmy się w sentymentalnych rozważaniach, zmieniłam temat:

– Nie wiem, jak tam trafić...

Kiedy próbowała mi to wyjaśnić, zaplątała się całkiem, aż w końcu znalazła starą kopertę i ogryzkiem ołówka narysowała na niej rodzaj mapy. Pamiętałam, że Joss obiecał o jedenastej przyjechać po mnie swoim rozklekotanym mikrobusem, ale naraz wydało mi się lepszym pomysłem, aby pójść tam samej, i to już. Wczoraj wieczorem byłam zbyt potulna i uległa, a tak bezgranicznemu egoiście jak Joss nic się nie stanie, jeżeli przyjedzie po mnie i pocałuje klamkę. Ta myśl bardzo mnie podniosła na duchu, toteż poszłam na górę po płaszcz.

Na dworze od razu uderzył we mnie podmuch wiatru, który dał przez wąską uliczkę jak „cug” w przewodzie kominowym. Był to zimny wiatr o zapachu morza, ale gdy słońce rozbłysło zza pędzących chmur, naraz jego światło stało się oślepiająco jaskrawe. Nad moją głową przelatywały z piskiem mewy, których skrzydła na tle nieba przypominały białe żagle.

Szłam, a wkrótce zaczęłam się wspinać pod górę wąskimi, brukowanymi uliczkami wśród przypadkowo rozrzuconych domków. Czasem prowadziły do nich ciągi schodów, czasem strome podjazdy. Im wyżej, tym większa była siła wiatru. Miasteczko zostawało coraz niżej, a ja coraz lepiej widziałam morze, którego ciemnoniebieską taflę przecinały fioletowe i malachitowe pasma oraz białe grzywy fal. Szeroka przestrzeń oceanu rozciągała się aż do linii horyzontu, podczas gdy miasto i port wyglądały z góry jak zabawki.

Kiedy tak przyglądałam się temu łąpiąc oddech, stało się coś zabawnego. Z jakiejś przyczyny to nowe miejsce nie wydawało mi się wcale nowe, lecz dziwnie znajome. Czulałam się tu jak w domu, jakbym wróciła do miejsca, które przez całe życie dobrze znałam. I chociaż od czasu podjęcia decyzji o wyjeździe do Porthkerris prawie nie myślałam o matce, nagle poczułam jej obecność obok siebie. To ona razem ze mną wdrapywała się po tych stromych uliczkach na

swoich długich nogach, tak samo zgrzana z wysiłku i łapiąca oddech jak ja.

Złudzenie powtórnego przeżywania zjawisk widzianych po raz pierwszy przyniosło mi pewną ulgę, gdyż wydałam się sobie mniej samotna i bardziej odważna. Szłam dalej i byłam zadowolona, że nie czekałam na Jossa. Jego obecność tylko by mi przeszkadzała, choć za nic w świecie nie byłabym w stanie stwierdzić dlaczego. Przecież był ze mną szczery, odpowiadał na moje pytania i podawał bardzo wiarygodne powody wszystkich swoich posunięć.

Było jasne, że niezbyt lubili się z Eliotem Baylissem, co można było zrozumieć. Tych dwóch młodych ludzi nic nie łączyło. Eliot, choć nie dobrowolnie, mieszkał w Boscarvie. Był jednym z Baylissów i, póki co, tu był jego dom. Z kolei rodzaj pracy wykonywanej przez Jossa w tym domu dawał mu swobodę przychodzenia i wychodzenia o dowolnych porach. W związku z tym mógł znajdować się tam także w takich momentach, kiedy jego obecność nie była ani wygodna, ani mile widziana. Mogłam sobie wyobrazić, że był tam w swobodnych stosunkach ze wszystkimi, nieraz wchodząc komuś w drogę, a co gorsza, beztrąsko nie zdając sobie sprawy z kłopotów, jakie powodował. Ktoś taki jak Eliot mógł czuć się tym urażony, a Joss mógł tę urazę odwzajemniać.

Pochłonięta tymi myślami oraz wysiłkiem wspinaczki nie obserwowałam otoczenia. Tymczasem droga pod moimi stopami przestała się wznosić, toteż zatrzymałam się, aby się rozejrzeć i ustalić, gdzie jestem. Pewne było, że znajdowałam się na szczycie wzgórza. Za mną i pode mną leżało miasteczko; z przodu rozciągała się poszarpana linia wybrzeża. Graniczyły z nią tereny zielone nakrapiane farmami i polami, pocięte głębokimi dolinami, gęsto porośniętymi krzakami głogu i karłowatymi wierzby, z wąskimi strumykami spływającymi do morza.

Rozejrzałam się wokół siebie. Tu także były tereny rolnicze, czy raczej były tu może przed rokiem. Od tamtej pory gospodarstwo, które tu było, musiało zostać wykupione, wjechały spychacze, ogrodzenia zostały zdemolowane, żyzna ziemia przekopana i splantowana i powstawała tu nowa budowa. Wszystko było rozbabbrane, smutne i brzydkie. Warczały betoniarki, ciężarówka buksowała w błocie, wokół piętrzyły się sterty cegieł i elementów betonowych. Na samym przodzie, jak sztandar, pysznił się szyld obwieszający, kto jest odpowiedzialny za tę dewastację:

ERNEST PADLOW
SPRZEDAŻ WOLNO STOJĄCYCH DOMÓW
Wiadomość: Morski Zaulek, Porthkerris
Telefon: Porthkerris 873

Te domy z pewnością były wolno stojące, ale raczej teoretycznie. Odległość pomiędzy nimi nie była większa niż trzy stopy, a jedno okno wychodziło wprost na drugie.

Zrobiło mi się żal zniszczonych pól i utraconych możliwości. Podczas gdy w myślach przeprojektowywałam zupełnie inaczej całe to przedsięwzięcie, pod górę podjechał samochód i

zatrzymał się za mną. Był to stary granatowy jaguar, a człowiek, który wysiadł z niego i z łoskotem zatrzasnął drzwi, miał na sobie roboczy kitel i trzymał przed sobą plik spiętych papierów, które trzepotały na wietrze. Gdy obrócił się i zobaczył mnie, zawahał się tylko na chwilę i poszedł w moją stronę, próbując po drodze przygłodzić „pożyczkę” z włosów na łysinie.

– Dzień dobry! – uśmiechał się tak, jakbyśmy byli starymi znajomymi.

– Dzień dobry.

Już go kiedyś widziałam. Dokładnie wczoraj, „Pod Kotwicą”, jak rozmawiał z Eliotem Baylissem. Rzucił okiem na szyld.

– Czy ma pani zamiar kupić dom? – Nie.

– A powinna pani. Proszę dobrze się rozejrzeć. Zmarszczyłam brwi.

– Nie potrzebuję domu.

– To dobra inwestycja.

– Czy pan jest tu nadzorcą?

– Nie. – Jeszcze raz, z dumą, spojrzął na wznoszący się nad nami szyld. – Jestem Ernest Padlow.

– Ach, tak.

– To jest piękne miejsce – rozejrzał się z satysfakcją po zdewastowanym terenie. – Było na nie dużo chętnych, ale starsza pani, do której to należało, była wdową i udało mi się ją oczarować na tyle, aby sprzedała mi tę posiadłość.

Byłam zaskoczona. Kiedy to mówił, wyciągnął papierosa, ale tylko dla siebie, mnie nie poczęstował. Palce miał poplamione nikotyną i wydał mi się najbardziej antypatycznym osobnikiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Ponownie skierował swoją uwagę na mnie.

– Chyba jeszcze tu pani nie widziałem.

– Nie.

– Pani tu z wizytą?

– Coś w tym rodzaju.

– Poza sezonem jest lepiej, bo nie ma tłoku. Przeszłam do rzeczy.

– Szukam Boscarvy.

Na skutek zaskoczenia z jego rumianej twarzy zniknęła dobroduszość. Jego oczy stały się ostre jak rzeczny żwir, – Boscarva? Pani ma na myśli posiadłość starego Baylissa?

– Tak.

Przybrał teraz chytry wyraz twarzy.

– Chodzi o Eliota?

– Nie.

Czekał, aż rozwinę ten temat. Gdy jednak tego nie zrobiłam, spróbował obrócić wszystko w żart.

– No tak, lepiej nie mówić za dużo. Jeśli chce pani trafić do Boscarvy, proszę iść tą uliczką,

to jakieś pół mili. Dom stoi od strony morza, ma łupkowy dach, a wokół niego jest duży ogród. Na pewno pani go zauważy.

– Dziękuję – uśmiechnęłam się uprzejmie. – Do widzenia!

Odwrociłam się i poszłam, czując jego oczy na swoich plecach. Wtedy zawołał za mną, tak że spojrzałam za siebie. Był uśmiechnięty i znów bardzo przyjazny.

– Jeśliby pani chciała jednak kupić dom, proszę się szybko decydować. Idą jak ciepłe bułeczki.

– O, na pewno, ale na razie nie mam ochoty na coś takiego. Dziękuję bardzo.

Droga prowadziła w dół wzgórza, w stronę błękitnej misy morza. Teraz naprawdę byłam na wsi, wśród łąk, na których pasły się krowy rasy guernsey o łagodnych pyskach. W trawie rosły fiołki i pierwiosnki, a słońce nadawało tej trawie odcień szmaragdu. Doszłam do zakrętu i dostrzegłam białą bramę osadzoną w niskim kamiennym murku, podjazd kończący się poza zasięgiem wzroku oraz wysoki żywopłot z wiązów powykręcanych przez bezlitosny wiatr w nienaturalne kształty.

Jeszcze nie widziałam samego domu, a już kiedy stałam przy otwartej bramce i patrzyłam na podjazd, odwaga wyciekała ze mnie jak woda z wanny po wyjęciu korka. Nie byłam w stanie myśleć ani o tym, co mam zamiar zrobić, ani co mam zamiar powiedzieć, gdy już to zrobię.

Na szczęście całkiem nieoczekiwanie zdecydowano o tym za mnie. W dole, poza zasięgiem wzroku, usłyszałam warkot ruszającego samochodu, który szybko podjeżdżał w górę w moim kierunku. Kiedy zbliżył się, widać było, że jest to podłużny, aerodynamiczny samochód sportowy, nie najnowszy, lecz mający swój styl. Stanęłam z boku, aby mógł swobodnie przejechać między słupkami bramy ku wierzchołkowi wzgórza, z którego właśnie zeszedłam. Zdążyłam jednak dostrzec kierowcę i wielkiego rudego setera rozłożonego na tylnym siedzeniu z wyrazem takiej obłędnej radości, jaką przejawiałyby każdy pies wieszony na spacer otwartym samochodem.

Sądziłam, że nie zostałam zauważona, ale byłam w błędzie. Po chwili wóz zatrzymał się z piskiem hamulców, aż spod tylnych kół bryzgał deszcz małych kamyczków. Potem zakręcił i zawrócił z niewiele mniejszą prędkością do miejsca, gdzie stałam. Tam zahamował, silnik został wyłączony i Eliot Bayliss, zjedną ręką na kierownicy, przyglądał mi się z wnętrza samochodu. Był z odkrytą głową i miał na sobie krótki kożuszek, odpowiedni do prowadzenia samochodu. Wyraz twarzy miał na poły rozbawiony, na poły zaintrygowany.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry. – Czulałam się głupio w moim starym płaszczu, z kosmykami włosów rozwianych wokół twarzy. Próbowałam odgarnąć je do tyłu.

– Chyba pani zabłądziła.

– Nic podobnego.

Nadal przyglądał mi się ze ściągniętymi brwiami.

– Czy ja czasem wczoraj nie widziałem pani „Pod Kotwicą” w towarzystwie Jossa Gardnera?

– Tak.

– Pani może go szuka? Z tego, co wiem, jeszcze nie przyjechał. Jeśli w ogóle ma zamiar dziś przyjechać.

– Nie szukam go.

– A więc kogo pani szuka? – zapytał uprzejmie Eliot Bayliss.

– Chciałabym widzieć się ze starszym panem Baylissem.

– Trochę na to za wcześnie. Dziadek na ogół wstaje około południa.

– Och...

O tym nie pomyślałam. Na mojej twarzy musiało się odbić rozczarowanie, gdyż tym samym uprzejmym i przyjaznym tonem pytał dalej:

– Może mógłbym w czymś pomóc? Jestem Eliot Bayliss.

– Wiem... To znaczy... Joss mi wczoraj powiedział. Między jego brwiami pojawiła się mała zmarszczka.

Najwidoczniej był zaskoczony moją znajomością z Jossem.

– A dlaczego chce pani widzieć się z moim dziadkiem? – Nie usłyszawszy odpowiedzi, przechylił się przez siedzenie obok, otworzył drzwi wozu i chłodnym, rozkazującym tonem polecił: – Proszę wsiadać!

Wsiadłam, zamykając drzwi za sobą. Czułam jego spojrzenie na moim zdefasonowanym płaszczu i połatanych dżinsach. Pies zbliżył pysk i powąchał moje ucho. Nos miał zimny. Sięgnęłam ręką ponad swoim ramieniem, aby podrapać go w długie jedwabiste ucho.

– Jak on ma na imię? – spytałam.

– Rufus albo Rudy Rufus. Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Z tej sytuacji uratował mnie niespodziewany zbieg okoliczności. Drogą w naszym kierunku nadjechał inny samochód, ale to był furgon pocztowy. Zatrzymał się i listonosz otworzył okno, mówiąc do Eliota dobroncznym tonem:

– Jak mam wjechać i oddać listy, jeśli pan zaparkował na samym podjeździe?

– Przepraszam – odparł niespeszony Eliot. Wsiadł z samochodu i wziął od listonosza gazetę oraz naręczę poczty. – Ja to wezmę, zaoszczędzi pan sobie drogi.

– Cudownie! – odparł listonosz. – Żeby tak każdy odwalał robotę za mnie!

Z uśmiechem pomachał ręką i odjechał w swoją drogę, pewnie na jakąś oddaloną farmę. Eliot wsiadł z powrotem do wozu.

– No dobrze – powiedział z uśmiechem – i co teraz mam z panią zrobić?

Ledwie go słyszałam, gdyż sarta listów leżała na jego kolanach, a na samym wierzchu znajdowała się lotnicza koperta ze stemplem Ibizy, zaadresowana do Grenville'a Baylissa. Co do autora charakterystycznie zaostrego pisma nie można było mieć wątpliwości.

Samochód jest dobrym miejscem do zwierzeń. Na ogół nie ma w nim telefonu i nikt nie może nam niespodziewanie przeszkodzić. Zaczęłam więc:

– Ten list na samym wierzchu jest od człowieka nazwiskiem Otto Pedersen, który mieszka na

Ibizie.

Eliot, marszcząc brwi, wziął kopertę, odwrócił się i przeczytał nazwisko Ottona w miejscu dla nadawcy. Spojrzał na mnie:

– Skąd pani wiedziała?

– Znam i jego, i jego pismo. Napisał do... do pańskiego dziadka, aby zawiadomić go, że Liza nie żyje. Umarła jakiś tydzień temu. Żyła z tym Pedersenem na Ibizie.

– Liza? Czy pani ma na myśli Lizę Bayliss?

– Tak, siostrę Rogera, a pana ciotkę. To moja matka.

– Pani jest córką Lizy?

– Tak – odwróciłam się i spojrzałam mu prosto w twarz. – Jesteśmy kuzynami. Grenville Bayliss jest także moim dziadkiem.

Oczy Eliota miały dziwny szarzielony kolor, jak kamyki wymyte przez wodę rwącego potoku. Nie widać w nich było ani zdziwienia, ani radości, tylko przyglądały mi się obojętnie i bez wyrazu. W końcu wyrzucił z siebie:

– Niech mnie diabli!

Nie było to całkiem to, czego oczekiwałam. Siedzieliśmy w milczeniu, gdyż nic nie przychodziło mi na myśl. W końcu, jakby podejmując nagłą decyzję, Eliot przerzucił plik listów ze swoich kolan na moje, zapalił znów silnik i skręcił kierownicę tak, że znów znaleźliśmy się przodem do podjazdu.

– Co pan robi? – spytałam.

– A jak pani myśli? Oczywiście zabieram panią do domu.

Dom. Boscarva. Przebyliśmy zakręt podjazdu i dom czekał już na mnie. Nie był mały, ale i niezbyt duży, z szarego kamienia, obrośnięty dzikim winem. Szary łupkowy dach, półkolista kamienna weranda, której drzwi były otwarte, aby wpuścić słońce, a w środku czerwone kafelki i masa doniczek z różowymi i czerwonymi pelargoniami i fuksjami. Z otwartego okna na piętrze powiewała firanka, a z komina dobywał się pióropusz dymu. Kiedy wysiedliśmy z samochodu, słońce akurat wyszło zza chmury i w zasięgu skrzydeł domu, chroniących od północnego wiatru, zrobiło się naraz bardzo ciepło.

– Chodźmy – powiedział Eliot i poszedł pierwszy, z psem następującym mu na pięty.

Przeszliśmy przez werandę i ciemny, wyłożony płytami korytarz oświetlony dużymi oknami, a stamtąd na schody. Wyobrażałam sobie Boscarwę jako siedzibę przeszłości, smutku i nostalgii, wypełnioną chłodem starych wspomnień. Tu jednak nie było niczego w tym rodzaju, dom tętnił życiem i aktywnością. Na stole leżały gazety, para rękawic ogrodniczych, psia smycz. Zza drzwi słychać było odgłosy kuchenne i brzęk talerzy. Z góry dochodziło brzęczenie odkurzacza. W powietrzu pachniało mieszaniną wyszorowanego kamienia, starych pastowanych podłóg i całych lat palenia drewnem w kominku.

Eliot stanął u podnóża schodów i zawołał: „Mamo!” Ponieważ jednak nie było odpowiedzi, tylko nadal brzęczał odkurzaczy, powiedział: „Lepiej chodźmy tędy”. Przeszliśmy przez hall i

drzwi, które prowadziły do dużego, nisko sklepionego salonu utrzymanego w jasnych kolorach, przesyconego światłem i zapachem wiosennych kwiatów. W jednym jego końcu był kominek obramowany rzeźbioną sosną i holenderskimi kafelkami delft, w którym migotał świeżo rozpalony ogień. Trzy wysokie okna, przysłonięte bladożółtymi jedwabnymi storami, wychodziły na wyłożony płytami taras, za którego balustradą widać było niebieską linię morza.

Stałam pośrodku tego uroczego pokoju, gdy Eliot zamknął drzwi i oznajmił:

...No, jesteśmy na miejscu. Dlaczego się pani...

a właściwie... dlaczego się nie rozbierzesz?

Zrobiłam to, gdyż wewnątrz było bardzo ciepło. Położyłam płaszcz na krześle, na którym wyglądał jak zwłoki jakiegoś dużego stworzenia.

– Kiedy przyjechałaś? – spytał Eliot.

– Wczoraj wieczorem, pociągiem z Londynu.

– Mieszkasz stale w Londynie?

– Tak.

– I nigdy przedtem tu nie byłaś?

– Nawet nie wiedziałam o istnieniu Boscarvy ani o tym, że Grenville Bayliss jest moim dziadkiem. Moja matka nigdy mi o tym nie mówiła, aż do ostatniej nocy przed swoją śmiercią.

– A skąd w tym wszystkim wziął się Joss? Trudno to było wytłumaczyć.

– To był zupełny przypadek. Poznałam go w Londynie, a gdy wysiadałam z pociągu, on przypadkowo znalazł się na stacji.

– Gdzie się zatrzymałaś w Porthkerris?

– U pani Kernów na Rybackim Zaułku.

– A czy zdajesz sobie sprawę z tego, że Grenville jest starym, chorym człowiekiem?

– Tak.

– Myślę, że z tym listem od pana Pedersena trzeba uważać. Może moja matka byłaby najlepsza...

– Ależ oczywiście.

– Całe szczęście, żeś go w porę dostrzegła.

– Przypuszczałam, że on do was napisze. Bałam się tylko, że będę pierwszą osobą, która przyniesie wam wszystkim tę wiadomość.

– Teraz ktoś zrobi to za ciebie! – Eliot uśmiechnął się, przez co od razu wyglądał młodziej, mimo swoich dziwnych oczu i gęstych włosów barwy srebrnego lisa.

– Wiesz co? Zaczekaj tutaj, a ja poszukam mamy i spróbujemy włączyć ją do akcji. Napijiesz się tymczasem kawy lub czegoś innego?

– Jeśli nie sprawię kłopotu...

– Żaden kłopot. Powiem Pettiferowi. – Otworzył drzwi za sobą. – Czuj się jak u siebie w domu.

Zamknął cicho drzwi i wyszedł. Pettifer... „Pettifer także kiedyś służył w marynarce, a potem

usługiwał mojemu ojcu, był także kierowcą. A jego żona dla nas gotowała”. Tyle dowiedziałam się od matki. A znów Joss powiedział mi, że pani Pettifer umarła. Ale w tamtych, dawnych czasach zabierała Lizę i jej brata do kuchni i robiła im gorące grzanki z masłem. To ona osłaniała te dzieci przed ciemnością i chłodem, dzięki niej czuły się bezpieczne i kochane.

Póki byłam sama, zwiedzałam pokój, w którym kazano mi czekać. Była tam oszklona szafka z dziełami sztuki Wschodu, w tym także małymi przedmiotami z nefrytu. Zastanawiałam się, czy to te, o których wspominała matka. Rozglądałam się w nadziei, że zobaczę również weneckie lustro i biurko w stylu davenport, gdy wtem moją uwagę przykuł obraz wiszący nad gzymsem kominka. Kiedy zaczęłam mu się przyglądać, zapomniałam o wszystkim innym.

Był to portret młodej dziewczyny ubranej według mody panującej we wczesnych latach trzydziestych: szczupłej, o płaskim biuście, w białej sukni zwisającej luźno aż do bioder. Ciemne, krótko obcięte włosy czarująco niewinnie odsłaniały długą, smukłą szyję. Kobieta na obrazie siedziała na wysokim taborecie, trzymając w dłoniach tylko jedną różę na długiej łodydze. Nie widać jednak było jej twarzy, gdyż odwrócona tyłem do malarza, patrzyła przez jakieś niewidoczne okno, prosto w słońce. Całość była utrzymana w kolorach różowym i złotym, stwarzając wrażenie światła słonecznego przeświecającego przez cienki materiał białej sukienki. Było to zachwycające.

Drzwi za mną otworzyły się nagle, toteż odwróciłam się, przestraszona. Do salonu wszedł starszy mężczyzna, łysy, lekko przygarbiony, stąpając ostrożnie i uroczyście. Nosił binokle i koszulę w paski o staromodnym sztywnym kołnierzyku, a na niej niebiesko-biały fartuch, jakiego używają rzeźnicy.

– Czy tu jest ta młoda dama, która chciała napić się kawy? zapytał niskim, grobowym głosem, co w połączeniu z jego uroczyстым wyglądem nasuwało skojarzenia z przedsiębiorcą pogrzebowym.

– Owszem, chętnie, jeśli to nie sprawi kłopotu.

– Czy pani życzy sobie mleka i cukru?

– Dziękuję, nie słodzę. Prosiłabym o trochę mleka. Właśnie podziwiałam ten portret...

– O, tak, jest bardzo ładny. Nazywa się „Dama z różą”.

– Ale nie widać jej twarzy.

– Ano nie.

– Czy to malował mój... to znaczy, pan Bayliss?

– O, tak. Ten obraz wisiał nawet w Akademii Sztuk Pięknych, mógł być setki razy sprzedany, ale pan komandor nigdy by się z nim nie rozstał.

Mówiąc to, starsuszek skrupulatnie zdjął okulary i zaczął mi się intensywnie przyglądać. Oczy miał już wyblakłe ze starości. Kontynuował:

– Kiedy pani mówiła, przez chwilę przypominała mi kogoś. Tylko że pani jest młoda, a ona już by teraz była w średnim wieku. I jej włosy były czarne jak kruk. Moja stara tak zawsze mówiła: „Czarne jak skrzydło kruka”.

– Czy Eliot nie panu nie powiedział? – zapytałam.

– A czego takiego pan Eliot mi nie powiedział?

– Ta osoba, o której pan mówi, to była Liza, prawda? A ja jestem Rebeka, jej córka, – No tak. – Nieco się guzdrząc, włożył binokle znów na nos. Na jego ponurej twarzy mignął nikły przebłysk zadowolenia. – A więc miałem rację. W takich sprawach rzadko się mylę. – Wyciągnął do mnie spracowaną rękę. – To prawdziwa radość dla mnie poznać panienkę. Nigdy nie myślałem, że spotka mnie taka radość. A czy mamusia panienki też przyjechała?

Wolałabym, żeby Eliot bardziej ułatwił mi zadanie.

– Mama nie żyje. Umarła w zeszłym tygodniu, na Ibizie. Dlatego właśnie tu jestem.

– Umarła? – Oczywiście, starego zasnuły się mgłą.

– Bardzo mi przykro. Naprawdę bardzo mi przykro. Powinna była wrócić tu, do domu. Wszyscy chcieliśmy znów ją zobaczyć. – Wyciągnął dużą chustkę i wysiąkał nos. Potem dalej indagował: – A kto powie o tym panu komandorowi?

– Eliot poszedł po swoją matkę. Widzi pan, dziś przyszedł z Ibizy list do dziadka od człowieka, który... opiekował się mamą. Ale jeśli pan sądzi, że to nie jest dobry pomysł...

– To, co ja sądzę, nie ma żadnego znaczenia – odrzekł Pettifer. – A ktokolwiek powie o tym panu komandorowi, i tak nie złagodzi to jego bólu. Ale powiem panience jedno. Twój pobyt tutaj może bardzo dużo pomóc.

– Dziękuję panu!

Ponownie wytarł nos i schował chustkę.

– Pan Eliot i jego matka nie są tu u siebie. Ale były tylko dwie możliwości: albo pan komandor i ja przeprowadzimy się do High Cross, albo oni przeniosą się tutaj. A oni nie przyszliby tutaj na stałe, gdyby doktor się nie uparł. Mówiłem, że sami we dwóch też dalibyśmy sobie radę, przez tyle lat byliśmy razem... No, ale nie jesteśmy już młodzi, a jeszcze pan komandor przeszedł zawał...

– Tak, wiem.

– A kiedy moja umarła, nie było komu gotować. To znaczy, ja też potrafię to robić dosyć dobrze, ale sporo czasu zajmuje mi opieka nad panem komandorem, a nie zniósłbym, gdyby miał chodzić zaniedbany.

– Pewnie, że nie...

Przerwało mi trzaśnięcie drzwi. Śmiały, męski głos zawołał: „Pettifer!” Stary powiedział:

– Przepraszam panienkę na chwilę. – I wyszedł sprawdzić, kto go woła, zostawiając otwarte drzwi.

– Pettifer!

Usłyszałam jego głos pełen satysfakcji.

– Cześć, Joss!

– Czy ona tam jest? Kto ma tu być?

Rebeka.

Tak, jest w salonie. Właśnie idę przynieść jej filiżankę kawy.

To bądź tak dobry i zrób od razu dwie. Dla mnie ma być czarna i mocna!

Słysząc było w hallu jego zbliżające się kroki, a po chwili stanął już w drzwiach, długonogi, czarnowłosy i oczywiście wściekły.

– Co ty u diabła tu robisz? – gniewnie zażądał wyjaśnień.

Poczułam, że jeżą mi się włosy, jak u czujnego psa. Eliot w rozmowie ze mną użył zwrotu „dom”. Tu, w Boscarvie, był mój dom i Jossowi nic do tego, czy jestem tu, czy nie.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Kiedy przyjechałem po ciebie, pani Kernów powiedziała mi, że już wyszłaś.

– No to co?

– Powiedziałem ci, żebyś na mnie czekała.

– Postanowiłam jednak nie czekać.

Trochę pomruczał pod nosem, lecz w końcu sprawiał wrażenie pogodzonego z bezsprzecznymi faktami.

– Czy ktoś tu wie, że przyjechałaś?

– Spotkałam przy bramie Eliota i to on przywiózł mnie tutaj.

– Dokąd on teraz poszedł?

– Odszukać swoją matkę.

– A czy widziałaś jeszcze kogoś? Grenville’a?

– Nie.

– Czy ktoś mu już powiedział o twojej matce?

– Dziś z poranną pocztą przyszedł list od Ottona Pedersena. Nie wydaje mi się jednak, aby już go widział.

– Pettifer musi mu go zanieść i być przy tym, kiedy będzie go czytał.

– Pettifer chyba tak nie uważa.

– Ale ja tak uważam.

Nie miałam słów na jego bezczelne wścibstwo. Kiedy tak staliśmy, mierząc się wzrokiem, po obu stronach misy pełnej pachnących narcyzów, usłyszeliśmy głosy i kroki biegnące w naszą stronę po nie przykrytych chodnikiem schodach i przez hall. Jakiś kobiecy głos pytał:

– W salonie, Eliot?

Joss wymamrotał coś niewyraźnego i podszedł do kominka, przy którym stanął tyłem do mnie, patrząc w ogień. Po chwili w drzwiach stanęła Mollie, lekko się zawahała i podążyła w moim kierunku z otwartymi ramionami.

– Ach, Rebeko!

To miało być gorące powitanie. Idący za nią Eliot zamknął drzwi. Joss nawet się nie poruszył.

Wydedukowałam, że Mollie musi mieć teraz powyżej pięćdziesiątki, ale trudno było w to uwierzyć. Była przyjemnie pulchna, jasnoblond włosy miała wdzięcznie ufryzowane, oczy

niebieskie, cerę świeżą, leciutko nakrapianą piegami, dzięki którym wyglądała jeszcze młodziej. Ubrana była w niebieską spódnicę, takież rozpinany sweter i kremową jedwabną bluzkę. Nogi miała szczupłe i zgrabne, a ręce wypielęgowane, o bladoróżowych paznokciach, ozdobione złotymi pierścionkami i bransoletkami. Zadbana i uperfumowana, przypominała miłutkiego, pręgowanego kotka zwiniętego w kłębuszek na swojej poduszce.

– Obawiam się, że mój przyjazd wszystkich zaszokował... – zaczęłam.

– Nie zaszokował, tylko zaskoczył. I tak mi przykro w związku z twoją matką. Eliot powiedział mi o tym liście...

W tym momencie Joss odskoczył od kominka.

– Gdzie jest list? – zawołał.

Mollie skierowała spojrzenie na niego. Trudno było domyślić się, czy dopiero teraz go zauważyła, czy widziała go już przedtem, tylko postanowiła go ignorować.

– Ach, Joss! Nie sądziłam, że dziś przyjdiesz.

Dopiero co przyjechałam.

Zdaje się, że znasz Rebeke.

Tak, już się poznaliśmy – zawahał się przez chwilę, próbując się opanować. Potem z przeproszającym uśmiechem odwrócił się, opierając swoje szerokie bary o gzyms kominka, i zaczął się tłumaczyć: – Przepraszam, wiem, że to nie moja sprawa, ale ten list, który dziś przyszedł... Gdzie on jest?

– W mojej kieszeni – po raz pierwszy odezwał się Eliot. – A bo co?

– Po prostu wydaje mi się, że Pettifer powinien być tym, który zaserwuje starszemu panu tę wiadomość. Myślę, że Pettifer jest do tego jedyny.

Odpowiedziało mu milczenie. W końcu Mollie uwolniła się z moich ramion i zwróciła się do syna.

– On ma rację – przytaknęła. – Grenville jest najbardziej zżyty z Pettiferem.

– Jeśli o mnie idzie, nie mam nic przeciwko temu – zgodził się Eliot, patrząc na Jossa z chłodną niechęcią.

Nie potępiłam go za to, gdyż czułam to samo; byłam po stronie Eliota.

– Przepraszam – powtórzył Joss.

– Nie ma za co – Mollie starała się być uprzejma. – To bardzo ładnie z twojej strony, że się tak w to angażujesz.

– To naprawdę nie moja sprawa – jeszcze raz powiedział Joss. Eliot i jego matka cierpliwie czekali, aż zrozumiał, o co chodzi, oderwał się od gzymsu kominka i dokończył: – Przepraszam, pójde teraz trochę popracować.

– Czy zostaniesz na lunch?

– Nie, mam tylko dwie godziny czasu, potem muszę wracać do sklepu. Zjem kanapkę w barze. – Teraz uśmiechał się łagodnie, po jego poprzednim wybuchu nie zostało ani śladu. – Mimo to dziękuję.

I tak nas opuścił – skromny, sumiujący się, „znający swoje miejsce”. Znowu był tylko młodym rzemieślnikiem mającym pracę do wykonania.

– Musicie mu wybaczyć – powiedziała Mollie. – On nie należy do najbardziej taktownych.

Eliot parsknął śmiechem.

– To był eufemizm roku!

Mollie zwróciła się do mnie z wyjaśnieniami.

– On odnawia niektóre nasze meble, te starsze, które są już w bardzo złym stanie. To wręcz artysta w swoim fachu, lecz nigdy nie możemy przewidzieć, kiedy ma zamiar przyjść lub wyjść.

– Któregoś dnia – uzupełnił jej syn – wyprowadzi mnie z równowagi, a wtedy dostanie tak w ryja, że nos mu wyjdzie na drugą stronę karku! – Uśmiechnął się do mnie, rozkosznie mrużąc oczy, co miało tuszować napastliwość jego słów. – Ja też muszę jechać. Byłem już spóźniony, a teraz jestem cholernie spóźniony. Przepraszam, Rebeko.

– To ja przepraszam, bo chyba to moja wina. Ale byłeś dla mnie taki miły...

– Cieszę się, że w porę się zatrzymałem. Musiałem chyba mieć przecucie, że to coś ważnego. Jeszcze się zobaczymy.

– Ależ oczywiście – wtrąciła szybko Mollie. – Teraz, kiedy już nas odnalazła, nie może odejść.

– . No więc zostawiam was same i jadę załatwiać sprawy. – Skierował się w stronę drzwi, ale matka delikatnie go zatrzymała.

– Eliot! – odwrócił się. – A list?

– Tak, rzeczywiście. – Wyjął z kieszeni ten fatalny list, teraz już trochę pomięty, i oddał go Mollie. – Nie pozwól, żeby Pettifer zrobił z tego całą dramatyczną scenę. To taki sentymentalny staruszek!

– Postaram się – obiecała Mollie.

Eliot ponownie się uśmiechnął i pożegnał się z nami.

– Do zobaczenia przy kolacji!

Wyszedł, gwizdząc na psa. Usłyszałyśmy odgłos otwierania i zamykania frontowych drzwi tudzież ruszania samochodu. Mollie zwróciła się do mnie:

– Teraz chodź tu, usiądź przy kominku i opowiedz o tym wszystkim.

Opowiedziałam wszystko jeszcze raz, podobnie jak przedtem Jossowi i pani Kernów. Zawahałam się tylko wtedy, kiedy miałam mówić, że Liza żyła z Ottonem na „kocią łapę”. Wyszło tak, jakbym się tego wstydziła, co absolutnie nie było prawdą. Podczas gdy Mollie słuchała mojego opowiadania, ja zastanawiałam się, dlaczego moja matka tak bardzo jej nie lubiła. Przypuszczalnie była to jakaś przyrodzona antypatia. Jasne było, że nic nie mogło ich łączyć, a moja matka nie znosiła kobiet, które ją nudziły. Z mężczyznami była całkiem inna historia, gdyż panowie zawsze bywali zajmujący. Natomiast kobiety musiały mieć jakieś szczególne cechy, aby matka mogła tolerować ich towarzystwo. Toteż z pewnością nie było to wyłączną winą Mollie. Postanowiłam, że spróbuję się z nią zaprzyjaźnić, by choć w części

zrekompensować jej wyrok pochopnie wydany przez Lizę.

– Jak długo zamierzasz zostać w Porthkerris? Czy będziesz musiała już wracać do pracy?

– Nie, na razie dostałam coś w rodzaju bezterminowego urlopu.

– I zostaniesz tu z nami?

– No, mam już ten pokój u pani Kernów.

– Ale tu byłoby ci dużo lepiej. Jeden szkopał, że nie ma tu zbyt wiele miejsca. Musiałabyś spać na facjatce. Tam jest taki uroczy pokoik, jeśli tylko nie przeszkadza ci mansardowy sufit i uda ci się nie stukać w niego głową.

Chodzi o to, że nasze pokoje gościnne są już zajęte i jeszcze do tego moja siostrzenica Andrea przyjechała na kilka dni. Może się zaprzyjaźnicie. Jej na pewno będzie przyjemniej mieć towarzystwo kogoś młodego. Zaciekało mnie, gdzie teraz jest ta Andrea. Ile ona ma lat?

– Siedemnaście. To taki trudny wiek, dlatego jej matka wolała wysłać ją na jakiś czas z Londynu. Oczywiście tam ona ma dużo znajomych i zawsze się coś dzieje...

Mollie najwyraźniej miała trudności z doбором odpowiednich słów. – Andrea ma tu być jakiś tydzień lub dwa, żeby trochę zmienić środowisko, ale myślę, że ona tu raczej się nudzi.

Wyobraziłam sobie siebie w tym wieku będącą na miejscu Andrei w tym miłym i przytulnym domu, pod opieką Mollie i Pettifera. Tu, gdzie tuż za progiem były urwiste wybrzeża morskie, tereny wiejskie zachęcające do długich spacerów i tyle tajemniczych ścieżek czekających na odkrycie! Dla mnie byłby to raj i nie potrafiłabym się tu nudzić. Zastanawiałam się, czy znajdziemy z siostrzenicą Mollie wspólny język.

– Jak pewnie wywnioskowałaś – kontynuowała Mollie – Eliot i ja jesteśmy tutaj tylko dlatego, że pani Pettifer umarła, a ci dwaj starszuskowie nie dawali sobie rady sami. Przyjęliśmy do pomocy panią Thomas, która przychodzi codziennie rano, ale ja gotuję i staram się utrzymywać dom w jak największym porządku.

– Tu są cudowne kwiaty.

– Nie zniosłabym domu, w którym nie byłoby kwiatów.

– A co się dzieje z waszym domem?

– Stoi pusty, kochanie. Muszę kiedyś zabrać cię do High Cross, aby ci go pokazać. Zaraz po wojnie kupiłam dwie stare chałupy i zaadaptowałam je. Może nie powinnam tego mówić, ale to jest urocze. I jest to świetny punkt na garaż Eliota, bo mieszkając tutaj, musi być stale w ruchu.

– Chyba tak.

Znów usłyszałam kroki dochodzące z hallu. Po chwili otworzyły się drzwi i wsunął się Pettifer, ostrożnie trzymając tacę z całym kompletem do kawy, do którego należał także duży srebrny czajnik prychający parą z dzióbka.

– Dziękujemy, Pettifer... – Podsunął się naprzód, przygarbiony pod ciężarem tacy, a Mollie wstała, aby podłożyć pod nią taboret. – To wygląda wspaniale.

– Jedna kawa miała być dla Jossa.

– Jest zajęty na górze, musiał o tym zapomnieć. Nie szkodzi, wypiję ją za niego. Jeszcze

jedno, Pettifer...

– Wyprostował się powoli, jakby bolały go wszystkie stawy. Mollie zdjęła z parapetu kominka list z Ibizy, który na wszelki wypadek tam położyła. – Pomyśleliśmy wszyscy, że najlepiej będzie, jeśli to ty powiesz komandorowi, co stało się z jego córką, i dasz mu ten list. Sądziliśmy, że powinno to wyjść od ciebie. Czy nie masz nic przeciwko temu?

Pettifer wziął cienką, niebieską kopertę.

– Bynajmniej, proszę pani, chętnie to zrobię. Akurat właśnie szedłem na górę pomóc panu komandorowi wstać i ubrać się.

– To bardzo ładnie z twojej strony, Pettifer.

– Wszystko w porządku, proszę pani.

– Przy okazji powiedz mu, że Rebeka tu jest i trochę z nami zostanie. Trzeba będzie przygotować dla niej łóżko na facjacie. Myślę, że będzie jej tam wygodnie.

Przez twarz Pettifera przemknął znów nikły przeblysłk zadowolenia. Zastanawiałam się, czy on kiedykolwiek w ogóle się uśmiecha, czy też może jego twarz zastygła w tym ponurym wyrazie i uzewnętrznienie radości jest dla niej fizycznie niemożliwe?

– Cieszę się, że panienka zostaje – stwierdził.

– Pan komandor będzie zadowolony.

Kiedy wyszedł, powiedziałam do Mollie:

– Będziesz miała teraz masę roboty. Może powinnam sobie pójść i nie pętać ci się pod nogami?

– W każdym razie powinnaś zabrać swoje rzeczy od pani Kernów. Zastanawiam się, jak to zrobimy. Pettifer mógłby cię zawieźć, ale teraz będzie zajęty przy Grenville'u. Ja muszę uprzedzić panią Thomas, żeby przygotowała ci pokój, no i pomyśleć o lunchu. Więc co robimy?

Nie miałam pojęcia. W każdym razie nie zamierzałam taszczyć swoich rzeczy z miasta aż na szczyt tego wzgórza. Na szczęście Mollie sama odpowiedziała sobie na to pytanie.

– Już wiem, przecież jest Joss. Może cię tam zawieźć i przywieźć z powrotem swoim samochodem.

– Ale on przecież ma robotę!

– Nic się nie stanie, jeśli raz mu przeszkodzimy. Aż tak często się go nie prosi, by się gdzieś ruszył. Myślę, że nie będzie miał nic przeciwko temu. Chodźmy go poszukać.

Sądziłam, że zaprowadzi mnie do jakiejś zapomnianej oficyny lub szopy, gdzie Joss pracuje wśród wiórów i zapachu rozgrzanego kleju. Tymczasem ku mojemu zdziwieniu prowadziła mnie na górę. Zapomniałam na chwilę o Jossie, gdyż były to moje pierwsze wrażenia z Boscarvy, gdzie wychowała się moja matka, więc nie chciałam przepuścić żadnego szczegółu. Schody nie były niczym przykryte, ściany do połowy wyłożone boazerią, a wyżej ciemnymi tapetami. Wisiały na nich ciężkie obrazy olejne. Stanowiło to kontrast w porównaniu z przyjemnym damskim salonikiem, w jakim siedziałyśmy na dole.

Z podestu pierwszego piętra korytarze prowadziły w lewo i w prawo. Stała tam wysoka

komoda z polerowanego orzecha i półki wyładowane książkami. Szłyśmy dalej po schodach w górę. Wyżej schody były pomalowane na biało, leżał na nich czerwony chodnik. Korytarze znów rozgałęziały się w obie strony, lecz tym razem Mollie poszła w prawo. Na końcu korytarza znajdowały się otwarte drzwi, zza których słychać było głosy: męski i dziewczęcy.

Mollie lekko się zawahała, lecz zaraz potem przyspieszyła kroku. Szłam za nią, kiedy weszła w te drzwi. Znalazłyśmy się na poddaszu przerobionym na pracownię bądź salę bilardową za pomocą okna sufitowego. Pod jedną ze ścian stała masywna, obita skórą kanapa z dębowymi poręczami i nogami. Teraz jednak ten chłodny i przewiewny pokój służył jako warsztat. Joss tkwił tam obok połamanych krzesel, ram od obrazów, stołu z wykręconą nogą, skrawków skóry, narzędzi, gwoździ i prymitywnej maszyny gazowej, na której stał nieapetycznie wyglądający garnuszek z klejem. Ubrany w znoszony niebieski fartuch dopasowywał właśnie piękne szkarłatne obicie z safianu na siedzeniu krzesła. Przy tej pracy zabawiała go młoda osoba płci żeńskiej, która obojętnie obejrzała się, kto to przyszedł i zakłócił jej przyjemne *eteatete*.

Mollie ostro przemówiła do niej:

– Andrea! – A potem, już łagodniejszym tonem: – Nie miałam pojęcia, że tu jesteś.

– Siedzę tu już od wielu godzin.

– Jadłaś śniadanie?

– Nie miałam ochoty.

– Andrea, to jest Rebeka, Rebeka Bayliss.

– Ach, tak! – zwróciła oczy w moją stronę. – Joss opowiadał mi o tobie.

– Cześć! – powiedziałam.

Była bardzo młoda i chuda, z włosami „na topielicę” zwisającymi po obu stronach twarzy. Byłaby nawet ładna, gdyby nie oczy, jasne i wypukłe, którym nie pomagały nawet ordynarnie wytuszone rzęsy. Miała na sobie oczywiście dzinsy i bawełnianą koszulkę, niezbyt czystą i niepozostawiającą nawet cienia wątpliwości, że nic nie nosiła pod spodem. Na nogach miała drewniaki w zielone i fioletowe paski przypominające buty ortopedyczne. Na szyi, na rzemyku, nosiła masywny srebrny krzyż celtycki. To była ta Andrea, która tak nudziła się w Boscarvie. Nie ucieszyła mnie wiadomość, że rozmawiali z Jossem na mój temat. Byłam ciekawa, co też on mógł jej powiedzieć.

Dziewczyna nie poruszyła się z miejsca, tylko siedziała z nogami wyciągniętymi w stronę starego mahoniowego stołu.

Cześć! – odrzekła.

Rebeka na razie zostanie u nas – ogłosiła wszystkim Mollie.

Joss, z ustami pełnym gwoździków tapicerskich, spojrział z zainteresowaniem spod opadającego na czoło kosmyka czarnych włosów.

– A gdzie ona będzie spać? – spytała Andrea. Sądziłam, że nigdzie już nie ma miejsca.

– W tej sypialni na końcu korytarza – energicznie odpowiedziała jej ciotka. – Joss, czy mogłabym prosić cię o przysługę?

Wypluł gwoździki dyskretnie na dłoń i wstał, odgarniając włosy do tyłu.

– Mógłbyś teraz zawieźć Rebekę do pani Kernów, powiedzieć tej pani, że ona u nas zostaje, pomóc jej się spakować i przywieźć tu z powrotem? Czy to dla ciebie duży kłopot?

– Ależ skąd! – odpowiedział Joss, natomiast na twarzy Andrei malował się wyraz znudzonej rezygnacji.

– Wiem, że jesteś zajęty, ale bardzo byś nam pomógł...

– Nie ma sprawy! – odłożył młotek i zaczął rozwiązywać troki fartucha. Rzucił mi spojrzenie. – Przyzwyczailem się już do wożenia Rebeki.

Natomiast Andrea tylko parsknęła i nie wiadomo, czy miało to oznaczać zniecierpliwienie czy niesmak. Zerwała się na równe nogi i wyleciała z pokoju, dając nam do zrozumienia, że mamy szczęście, bo nie trzaśnie nam drzwiami w nos.

Tym sposobem znalazłam się znów w punkcie wyjścia, trzęsąc się w rozklekotanym mikrobusie Jossa. W milczeniu wyjechaliśmy z Boscarvy mijając przedsiębiorstwo budowlane pana Padlowa i zjeżdżając ze wzgórza w dół do miasta. Pierwszy odezwał się Joss:

– I jak, dopięłaś swego?

– Tak.

– ‘Jak ci się podoba twoja rodzina?’

– Jeszcze nie wszystkich widziałam, na przykład nie spotkałam się z Grenville’em.

– Polubisz go – w jego ustach zabrzmiało to z akcentem na ostatnim słowie: „Polubisz go”.

– Już lubię ich wszystkich.

– To i dobrze.

Spojrzałam na niego. Jak zwykle miał na sobie dżinsową kurtkę i granatową koszulę polo. Jego profil nie zdradzał żadnych emocji: Poczułam, że łatwo mogłabym oszaleć na jego punkcie.

– Opowiedz mi o tej Andrei – poprosiłam.

– A co byś chciała o niej wiedzieć?

– Nie wiem dokładnie. Po prostu chciałabym, żebyś mi o niej coś powiedział.

– Cóż, ma siedemnaście lat i wydaje się jej, że jest zakochana w jakimś swoim koledze ze szkoły plastycznej. Jej rodzice tego nie aprobują, toteż zesłali ją na wieś do cioci Mollie, gdzie nudzi się śmiertelnie.

– Zdaje się, że zostałeś jej powiernikiem?

– Az kim innym ona tu może pogadać?

– Dlaczego nie wraca do Londynu?

– Po prostu ma tylko siedemnaście lat i nie posiada własnych pieniędzy. Poza tym myślę, że nie ma odwagi sprzeciwić się rodzicom.

– I co ona tu robi całymi dniami?

– Trudno wyczuć, bo ja tu przez cały dzień nie siedzę. Pewnie śpi do południa, a potem na okrągło siedzi przed telewizorem. Boscarva jest domem ludzi starych. Trudno się dziwić, że jej się tu nudzi.

– Tylko ludzie nudni się nudzą – odpaliłam bez namysłu. Tę zasadę wbijała mi kiedyś do głowy pewna mądra i pełna dobrych chęci dyrektorka szkoły.

– To trąci paskudną hipokryzją – zauważył Joss.

– Nie miałam absolutnie takich intencji. Uśmiechnął się.

– A ty nigdy się nie nudziłaś?

– W towarzystwie mojej matki nie można było się nudzić.

– Czyli należała do osób z rodzaju: „Może cię przy niej rozboleć głowa, lecz z nią nienudna nigdy rozmowa”? ... – zanucił fragment piosenki.

– Właśnie coś w tym rodzaju.

– To musiało być wspaniałe. Akurat takie kobiety lubię.

– Tego samego zdania była większość mężczyzn, którzy ją otaczali.

Kiedy zajechaliśmy na Rybacki Zaulek, pani Kernów akurat nie było w domu, ale Joss miał klucz. Poszłam na górę spakować walizkę i plecak, gdy tymczasem Joss napisał kartkę do pani Kernów, wyjaśniając jej nową sytuację.

– Trzeba by chyba jej zapłacić – rozważałam, schodząc w dół i ciągnąc za sobą plecak.

– Załatwię to, gdy będę się z nią widział. Zostawiłem jej wiadomość.

– Przecież mogę sama zapłacić za siebie.

– Oczywiście, że możesz, lecz pozwól, bym ja to zrobił. – Wziął moją walizkę i poszedł przodem, aby otworzyć drzwi, co nie stwarzało warunków do dalszej dyskusji. I znów moje rzeczy znalazły się w tylnej części jego furgonetki, ponownie też skierowaliśmy się w stronę Boscarvy, tylko że tym razem Joss wiozł mnie okrężną drogą przez port.

– Chciałbym pokazać ci mój sklep... to znaczy miejsce, gdzie on ma być. W razie gdybym był ci potrzebny, będziesz wiedziała, gdzie mnie szukać.

– Dlaczego miałbyś mi być nagle potrzebny?

– Bo ja wiem? Możesz potrzebować dobrej rady albo pieniędzy, albo po prostu chcieć się pośmiać. To tu, nie możesz tego nie zauważyć.

Faktycznie, był to budynek wysoki a wąski, wciśnięty między dwa inne, niskie a szerokie. Miał trzy piętra, z oknem na każdym. Parter był wciąż w trakcie przebudowy, ze świeżą, nie malowaną stolarką i wielkimi kleksami wapna na szybie wystawowej. Kiedy z dudnieniem opon na kociach łbach przemknęliśmy koło tego lokalu, stwierdziłam:

– To świetny punkt, wszyscy turyści będą tu zostawiać swoje pieniądze.

– Na to właśnie liczę.

– Kiedy będę mogła zobaczyć to w środku?

– Powiedzmy w przyszłym tygodniu. Powinniśmy być wtedy z grubsza gotowi.

– A więc w przyszłym tygodniu.

– No to jesteśmy umówieni. – Joss skręcił obok kościoła. Zredukował biegi do „dwójki” i wdarliśmy się na wzgórze z takim hałasem jak motorower bez tłumika.

W Boscarvie Pettifer, słysząc odgłosy naszego przyjazdu, wybiegł nam naprzeciw w

momencie, kiedy Joss wyjmował moją walizkę z bagażowej części wozu.

– Joss, pan komandor zszedł na dół i jest w swoim gabinecie. Kazał przyprowadzić Rebeke, jak tylko będziecie z powrotem.

Joss spojrzał na niego.

– A jak on się czuje?

– Nieźle – kiwnął głową Pettifer.

– Czy był bardzo przybity wiadomością?

– Wszystko w porządku. Zostaw tę walizkę, zaniosę ją do pokoju panienki.

– Nic podobnego. – Tym razem byłam zadowolona z jego despotycznej natury. – Ja się tym zajmę. Gdzie ona ma spać?

– Na poddaszu, z przeciwnej strony niż sala bilardowa... ale pan komandor kazał, żeby ją natychmiast przyprowadzić.

– Wiem, że marynarskie zegarki zawsze spieszą się o pięć minut – uśmiechnął się Joss. – Jednak jest jeszcze trochę czasu, żeby pokazać dziewczynie jej pokój, więc bądź tak dobry i nie zawracaj głowy.

Pettifer nieśmiało protestował, a ja z Jossem weszłam już na drugie piętro, tam gdzie byłam dziś rano. Nie brzęczał już odkurzacz, natomiast pachniało pieczoną baraniną. To uprzytomniło mi, że jestem bardzo głodna, bo aż ślinka mi pociekła. Joss wyprzedzał mnie dzięki swoim długim nogom, lecz w końcu dobiegłam do mansardowego pokoiku, który miał być mój. Joss położył na podłodze moją walizkę i plecak, po czym otworzył lukarnę, aż owionął mnie podmuch chłodnego, słonego powietrza.

– Patrz, jaki stąd widok!

Stojąc za nim zobaczyłam morze, urwiste brzegi, pożółkłe przez zimę paprocie i pierwsze pędy ostrokrzewu. U stóp rozciągał się ogród Boscarvy, którego nie było widać z okien salonu, gdyż zasłaniała go kamienna balustrada. Ogród był rozplanowany tak, że tarasowo opadał ze stoku wzgórza, a na samym dole, wciśnięta w narożnik muru, stała mała, kamienna chałupka z łupkowym dachem. No, może nie chałupka, raczej stajnia albo coś w tym rodzaju, z przestronnym poddaszem.

– Co to za budynek? – spytałam.

– To pracownia, w której malował twój dziadek – wyjaśnił Joss.

– Nie wygląda to na pracownię.

– Z przeciwnej strony wygląda. Cała północna ściana jest przeszklona. Grenville sam to zaprojektował, a wykonał miejscowy kamieniarz.

– Chyba jest zamknięta.

– Tak, i to dobrze. Nie otwierano jej od czasu, kiedy dziadek dostał zawału i przestał malować.

Nagle przeszedł mnie dreszcz.

– Zimno ci? – spytał Joss.

– A bo ja wiem... – Odeszłam od okna, zdjęłam płaszcz i rzuciłam go na szczyt łóżka.

Pokój był pomalowany na biało, a dywan miał kolor ciemnoczerwony. Wewnątrz była szafa w ścianie, półki z książkami i umywalka. Kiedy myłam ręce, przeglądałam się w lustrze. Zobaczyłam w nim osobę nie tylko rozczochraną, lecz i zdenerwowaną. Zdałam sobie sprawę, jaką treść przeżywam przed pierwszym spotkaniem z Grenville'em i jakie to ważne, by zrobić na nim dobre wrażenie. Wytarłam ręce, rozpięłam plecak i wyciągnęłam szczotkę i grzebień.

– Joss, czy dziadek był dobrym malarzem? Mam na myśli, czy ty go uważasz za artystę?

– Owszem. Naturalnie należy do starej szkoły, ale jest genialnym kolorystą.

Zdjęłam gumkę z końca warkocza, puszczając włosy luźno. Podeszłam do lustra, by je wyszczotkować. W lustrze za moim odbiciem widać było również, że Joss obserwuje mnie przy tej czynności. Podczas gdy szczotkowałam, czesałam i powtórnie zaplatałam włosy, nie odezwał się ani słowem. Dopiero gdy zakładałam gumkę, przemówił:

– Co za wspaniały kolor, całkiem jak dojrzałe zboże.

Odłożyłam szczotkę i grzebień.

– Joss, nie możemy dać mu na siebie czekać.

– Czy chcesz, abym poszedł tam z tobą?

– O tak, proszę.

Dopiero potem uświadomiłam sobie, że po raz pierwszy poprosiłam go o pomoc.

Zeszłam za nim w dół, poprzez hall obok salonu, aż do drzwi na końcu korytarza. Joss otworzył je i zajrzał do środka, mówiąc: „Dzień dobry!”

– Kto tam? Joss? Wchodź! – Głos dochodzący z wewnątrz był wyższy, niż przypuszczałam, przez co przypominał głos człowieka o wiele młodszego.

– Przeprowadziłem ci kogoś...

Otworzył drzwi szerzej i przepuścił mnie przed sobą do środka. Ujrzałam niewielki pokój z balkonowymi drzwiami wychodzącymi na wyłożony płytami taras i wewnętrzny ogródek okolony żywopłotem.

W kominku płonął ogień. Ściany były wyłożone boazerią i zawieszono obrazami lub zastawiono książkami. Na parapecie kominka stał model staroświeckiego krążownika. Znajdowały się tam także zdjęcia w srebrnych ramkach, stół, na którym leżały gazety i czasopisma, oraz niebiesko-biała chińska waza pełna żonkili.

Kiedy weszłam, starszy pan dźwigał się właśnie, pomagając sobie laską, z obitego czerwoną skórą fotela ustawionego w ciepłe kominka. Zdziwiło mnie, że Joss nawet nie próbuje mu pomóc, i już zaczęłam: „Och, proszę się tak nie męczyć... „, gdy w tym momencie stanął już na nogi, wyprostowany, z niebieskimi oczami obserwującymi mnie spokojnie spod siwych krzaczastych brwi.

Złapałam się na tym, że spodziewałam się zobaczyć człowieka starego, niedołężnego, może nawet trzęsącego się. Tymczasem Grenville Bayliss przy swoich osiemdziesięciu latach był nadzwyczajny. Wysoki, trzymający się prosto, a przy tym zadbany, „odprasowany”, pachnący

wodą fryzjerską, co było zasługą wiernego ordynansa Pettifera. Miał na sobie granatową marynarkę o mundurowym kroju, szare, zaprasowane do kantu flanelowe spodnie i aksamitne bambosze z wyhaftowanymi złotą nicią swoimi inicjałami. Miał mocno opaloną cerę, nawet naga czaszka prześwitująca między przeredzonymi kosmykami siwych włosów była obciągnięta brązową skórą jak owoc kasztanowca. Wyobraziłam sobie, że pewnie spędza wiele czasu na słońcu w tym małym, wewnętrznym ogródku, czyta poranną gazetę lub pyka fajeczkę, obserwując mewy i białe obłoki szybujące po niebie.

Spojrzelśmy po sobie. Chciałam, aby on odezwał się pierwszy, ale tylko patrzył. Miałam nadzieję, że spodobało mu się to, co zobaczył, zwłaszcza że znalazłam czas na przyczesanie włosów. W końcu przemówił:

– Prawdę mówiąc, nigdy nie byłem w takiej sytuacji. Nie mam pewności, jak właściwie powinniśmy się przywitać.

– Mogłabym dziadzia pocałować – zaproponowałam.

– Czemu więc tego nie zrobisz?

Zbliżyłam się i zadarłam głowę, a on lekko się pochylił, aby moje wargi mogły dotknąć czystej, gładko wygolonej skóry na jego policzku.

– Czemu nie usiądziemy? – zakłopotał się dziadek. – Joss, chodź tu i siadaj z nami.

Joss wymówił się, twierdząc, że jeśli zaraz nie zacznie roboty, to przez cały dzień nic nie zrobi. Pozostał tylko na tak długo, aby pomóc starszemu panu usiąść na powrót w fotelu i nalać nam po szklance sherry z karafki stojącej na bocznym stoliku. Potem stwierdził: „Zostawiam was samych, macie dużo do pogadania”, pomachał nam ręką i wyslizgnął się, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Mam nadzieję, że znasz go dobrze – zaczął Grenville.

Przyciągnęłam do siebie stołeczek tak, aby móc siedzieć naprzeciw niego.

– Nie bardzo. Ale jest zawsze bardzo uprzejmy i taki... – próbowałam znaleźć odpowiednie słowo – uczynny. Mam na myśli, że zawsze jest na miejscu wtedy, kiedy jest potrzebny.

– A w przeciwnym wypadku nie?

Nie byłam pewna, czy mogłabym się w pełni zgodzić z tym stwierdzeniem.

– Jest też bardzo zręczny. Odnawia wszystkie moje meble.

– Tak, wiem o tym.

– Dobry fachowiec, prawdziwa „złota rączka”.

– Grenville odstawił szklankę i ponownie znalazłam się pod przeszywającym spojrzeniem jego niebieskich oczu.

– Twoja matka umarła?

– Tak.

– Dostałem list od tego jakiegoś Pedersena. Píše, że to była białaczka.

– Tak.

– Czy spotkałaś się z nim kiedykolwiek? Opowiedziałam mu o swoim wyjeździe na Ibizę i

nocy spędzonej w towarzystwie Ottona i mojej matki.

– Chyba to uczciwy człowiek i był dla niej dobry.

– O tak, był szalenie miły, a mamę wprost adorował.

– Dobrze, że choć skończyła w przyzwoitym towarzystwie. Większość z tych bubków, którzy się przy niej kręcili, to była hołota.

Uśmiechnęłam się, słysząc ten staroświecki zwrot. Pomyślałam o hodowcy owiec i o Amerykaninie w koszulkach od Braci Brooks. Byłam ciekawa, jakby im się spodobało określenie „hołota”. Przymuszczałnie nawet nie wiedzieliby, co to znaczy.

– Myślę, że faktycznie czasem dawała się zbyt ponieść uczuciom – powiedziałam ostrożnie.

Błysk humoru załśnił w jego oczach.

– Chyba przejęłaś jej stosunek do życia.

– Myślę, że tak, już od dawna.

– To była oszałamiająca kobieta, a jako mała dziewczynka była najbardziej czarującym dzieckiem, jakie można sobie wyobrazić. Często ją malowałem. Chyba jeszcze mam jedno lub dwa płótna przedstawiające Lizę jako dziecko. Każę Pettiferowi je odszukać, żebyś mogła zobaczyć. Ale kiedy dorosła, wszystko się zmieniło. Mój syn Roger zginął na wojnie, a Liza wiecznie darła koty z matką, rozbijała się tym swoim małym samochodem i nie wracała na noc do domu. W końcu zakochała się w tym jakimś aktorze i tak się to skończyło.

– Ona naprawdę go kochała.

– Kochała! – w jego głosie zabrzmiał niesmak. – To duża przesada. Do życia potrzeba dużo więcej niż tylko się zakochać.

– Tak, ale każdy musi sam do tego dojść. Wyglądał na rozbawionego.

– A ty już doszłaś?

– Jeszcze nie.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia jeden.

– No, jak na dwadzieścia jeden lat jesteś już mocno dojrzała. I podoba mi się kolor twoich włosów. Nie jesteś podobna do Lizy. Ani do twojego ojca. Chyba po prostu do siebie. – Sięgnął po swoją szklankę sherry, ostrożnie podniósł ją do ust, pociągnął łyk i odstawił szklankę na stolik obok fotela. Dopiero te powolne ruchy zdradzały jego wiek i słabość. Kontynuował: – Powinna była wrócić do Boscarvy. Zawsze bylibyśmy ją życzliwie przyjęli. A skoro już o tym mowa, to dlaczego ty nigdy tu nie przyjechałaś?

– Nigdy w życiu nie słyszałam o istnieniu Boscarvy ani o twoim. Dowiedziałam się o tym dopiero ostatniej nocy przed śmiercią mamy.

– Widocznie chciała wyrzucić tę przeszłość ze swojego życia. A kiedy jej matka umarła, napisałem jej o tym, ale nigdy nie otrzymałem odpowiedzi.

– W tamte święta byliśmy w Nowym Jorku. Mama dostała ten list dopiero po wielu

miesiącach, a wtedy wydawało się jej, że jest już za późno na odpowiedź. Zresztą ona nigdy nie lubiła pisać listów.

– Bronisz jej, a nie raziło cię nigdy, że trzymała cię z dala od tego domu. Mogła cię tu przywieźć i mógł to być twój dom.

– Najważniejsze było to, że była moją matką.

– Widzę, że próbujesz się ze mną spierać. Dobrze, bo tu już nikt się ze mną nie kłóci, nawet Pettifer, a to staje się nudne. – Znów znalazłam się pod spojrzeniem jego niebieskich oczu. – Czy widziałaś już Pettifera? Kopę lat temu służyliśmy razem w marynarce. A Mollie i Eliota też widziałaś?

– Tak.

– Oni w ogóle nie powinni byli tu się znaleźć, ale doktor się uparł. Mnie to wszystko jedno, ale przykreść dla biednego Pettifera. Jeszcze do tego jest tu siostrzenica Mollie, okropna dziewczucha z dyndającymi cyckami. Ją też widziałaś?

Udało mi się powstrzymać chichot.

– Tak, przez chwilę.

– To o chwilę za dużo. A co w ogóle sądzisz o Boscande?

– Pokochałam ją, gdy tylko ją zobaczyłam.

– Miasto coraz bardziej wdziera się na nasze wzgórze. Tam na szczycie była kiedyś farma należąca do starej pani Gregory. Ten przedsiębiorca budowlany przekonał ją, żeby mu ten grunt sprzedała. Zrównali pola z ziemią i stawiają tam domy, całkiem ni w pięć, ni w dziewięć.

– Wiem, już je widziałam.

Na szczęście dalej nie będą mogli się posunąć, bo ta farma z tyłu i pola po drugiej stronie drogi należą do mnie. Kupiłem je równocześnie z Boscarwą, jeszcze w 1922 roku, i nawet niedrogo mnie to kosztowało. Kawałek ziemi pod ręką zawsze daje poczucie bezpieczeństwa. Pamiętaj o tym.

– Będę miała to na uwadze. Zmarszczył czoło.

– Zaraz, jak ty masz na imię? Znowu zapomniałem.

– Rebeka.

– Aha, Rebeka. A jak chcesz zwracać się do mnie?

– Nie wiem. To zależy, jak dziadzio chce, żebym się do niego zwracała.

– Eliot mówi do mnie po prostu „Grenville”. Ty też możesz, mnie tak nazywać, to brzmi bardziej przyjaźnie.

– Nie ma sprawy.

Wypiliśmy nasze sherry i uśmiechaliśmy się, zadowoleni z siebie. I wtedy z tylnej części domu rozległ się dźwięk gongu. Grenville odstawił szklankę i z wyraźnym wysiłkiem dźwignął się na nogi. Otworzyłam mu drzwi i razem zesliśmy korytarzem do pokoju stołowego na rodzinny lunch.

Zmęczenie zmogło mnie dopiero pod koniec tego długiego, urozmaiconego dnia. Na nieszczęście wypadło to akurat w trakcie kolacji. Lunch był tu zwykłym domowym posiłkiem spożywanym przy okrągłym stole we wnęce okiennej dużego pokoju stołowego. Podawano go na serwecie w kratkę, przy użyciu codziennej porcelany i szkła. Natomiast kolacja była czymś zupełnie innym.

Długi, politurowany stół ustawiony centralnie był nakryty na pięć osób. Dla każdej przeznaczono oddzielną lnianą serwetkę oraz stare srebra i szkło, w którym odbijały się płomyki świec.

Zgodnie z istniejącym tu wieczornym rytuałem każdy powinien był przebrać się do tego posiłku. Mollie zeszła na dół w brokatowej szafirowej sukni domowej dobranej do koloru jej oczu. Grenville włożył wyblakłą, welwetową marynarkę, a Eliot jasny, flanelowy garnitur, w którym był równie elegancki jak chart. Nawet Andrea, przypuszczalnie po ciężkich bojach, zmieniła spodnie i nałożyła do nich bluzkę z angielskiego haftu, która sprawiała wrażenie wypranej bądź wyprasowanej, bądź jedno i drugie. Włosy związała aksamitką do tyłu, ale wyraz jej twarzy nie przestawał być na poły obrażony, na poły znudzony.

Nie przywykłam brać udziału w tak formalnych przyjęciach, ale na wszelki wypadek miałam ze sobą strój, który tu zakładałabym co wieczór, gdyż innego nie miałam. Była to tunika z miękkiego brązowego dżerseju ze srebrnym haftem na karczku i przy mankietach falujących rękawów. Do tego założyłam srebrne bransoletki i kolczyki w kształcie kół, które dostałam od matki na dwudzieste pierwsze urodziny. W takich przypadkach jak ten ich waga dawała mi poczucie komfortu psychicznego i pewności siebie, które były mi bardzo potrzebne.

Wcale nie miałam ochoty na kolację w otoczeniu mojej nowo odnalezionej rodziny. Nie miałam też ochoty brać udziału w rozmowie, uważnie słuchać, robić wrażenie osoby inteligentnej i pełnej wdzięku. Wolałabym raczej iść do łóżka i zjeść jakieś proste danie, jak choćby rosół czy gotowane jajko. Wolałabym zostać sama.

Tymczasem podano zupę, kaczkę i czerwone wino, zadysponowane przez Eliota. Kaczka była bardzo sycąca, a w pokoju było ciepło. W miarę trwania posiłku czułam się coraz dziwniej, jakby nieobecna duchem. Próbowałam skupić uwagę na płomykach świec stojących przede mną, ale im bardziej się w nie wpatrywałam, tym bardziej zlewały się lub było je widać podwójnie. Tak samo głosy osób rozmawiających wokół mnie stawały się niewyraźne i niezrozumiałe, jakby dochodziły z daleka. Odruchowo odepchnęłam od siebie talerz, który trącił kieliszek i rozbił go. Przeżrana patrzyłam biernie, jak czerwone wino rozlewało się między odłamkami szkła.

O tyle był to szczęśliwy zbieg okoliczności, że nagle wszyscy przerwali rozmowę i spojrzeli na mnie. Musiałam być bardzo blada, bo Eliot natychmiast zerwał się i podszedł do mnie.

- Czy dobrze się czujesz?
- Chyba nie. Przepraszam bardzo...

– O, Boże! – Mollie odsunęła od siebie serwetkę i odepchnęła w tył krzesło.

Zza stołu Andrea przyglądała się z chłodnym zainteresowaniem.

– Przepraszam najmocniej... zbiłam kieliszek...

– Mniejsza o kieliszek! – przemówił Grenville od szczytu stołu. – Widać, że dziewczyna jest przemęczona. Mollie, zabierz ją na górę i połóż do łóżka.

Próbowałam protestować, ale niezbyt stanowczo. Eliot odsunął swoje krzesło i pomógł mi wstać, podtrzymując mnie pod ramiona, Mollie pobiegła przodem otworzyć drzwi. Wtedy do pokoju dostało się chłodniejsze powietrze z hallu, co mnie trochę orzeźwiło. Może jednak nie pisane mi było zemdleć.

Mijając Grenville'a, po raz trzeci powtórzyłam: „Proszę o wybaczenie. Dobranoc!” Pochyliłam się, ucałowałam go i opuściłam pokój. Mollie zamknęła drzwi za nami i odprowadziła mnie na górę. Tam pomogła mi się rozebrać i położyć do łóżka. Jeszcze zanim zgasła światło – już spałam.

Przespałam tak czternaście godzin, aż do dziesiątej rano. Już od lat tak długo nie spałam. Za oknem niebo było niebieskie, a w białych ścianach mojego pokoju odbijało się światło chłodnego, północnego słońca. Wstałam, nałożyłam szlafrok i poszłam się wykapać. Gdy się już ubrałam, poczułam się świetnie, pomijając oczywiście uczucie wstydu wywołanego moim wczorajszym zachowaniem. Miałam nadzieję, że nikt nie pomyślał, że się upiłam.

Na dole zastałam Mollie w spiżarni podczas układania różowych i purpurowych róż bukietowych w dużej wazie w kwiaty.

– Jak ci się spało? – spytała z mety.

– Och, spałam jak zabita. Przepraszam za wczorajszy wieczór.

– Ależ kochanie, byłaś kompletnie wyczerpana. To moja wina, że nie zauważyłam tego wcześniej. Zjesz śniadanie?

– Napiłabym się kawy.

Zaprosiła mnie do kuchni i nastawiła kawę, gdy ja tymczasem robiłam grzanki.

– Gdzie reszta? – spytałam.

– Eliot jest w swoim autokomisie, a Pettifer pojechał do Fourbourne po jakieś zakupy dla Grenville'a.

– W czym mogłabym ci pomóc?

– Hm... – zastanowiła się. Tego ranka miała na sobie kaszmirowy sweter w kolorze karmelu i wąską tweedową spódnicę. Jak zawsze, była nienagannie umalowana, z każdym pasemkiem włosów na swoim miejscu. Wyglądała aż nienaturalnie schludnie. – Już wiem, możesz odebrać w Porthkerris ryby, które zamówiłam. Handlarz ryb dzwonił, że będzie miał trochę halibuta i chciałabym podać to na kolację. Mogę pożyczyć ci samochód. Umiesz prowadzić?

– Tak, ale wolałabym przejść się piechotą. Dziś jest tak ładnie, a ja lubię spacerować.

– Dobrze, jak chcesz. Możesz iść na skróty przez pola i wzdłuż wybrzeża. I wiesz co? –

Nagle wpadła na pomysł: – Może weź ze sobą Andreę, ona zna drogę i pokaże ci, gdzie jest sklep z rybami. Poza tym ona tu w ogóle nie zażywa ruchu, więc mały spacer dobrze jej zrobi.

W jej opinii Andrea przypominała coś w rodzaju leniwego psa. Nie byłam zachwycona perspektywą jej towarzystwa, ale współczułam Mollie, że ma na karku tę mało interesującą dziewczynę, toteż zgodziłam się na jej propozycję. Kiedy zjadłam śniadanie, poszłam szukać Andrei. Mollie ostatnio widziała ją na tarasie.

Zastałam ją tam, jak zawinięta w koc leżała na trzcinowym fotelu w plamie słonecznego światła, przypatrując się widokom z taką pogardą jak pasażer transatlantyku cierpiący na chorobę morską.

– Czy nie przeszłabyś się ze mną do Porthkerris? – zapytałam.

– A po co? – wytrzeszczyła na mnie swoje wyłupiaste oczy.

– Ponieważ Mollie prosiła, aby przynieść jej ryby, a ja nie wiem, gdzie jest sklep. Poza tym mamy piękny poranek i mogłybyśmy przejść się wzdłuż wybrzeża.

Chwilę rozważała moją propozycję, wreszcie odrzekła: „Zgoda”. Wypłatała się z koca i wstała. Miała na sobie te same brudne dżinsy co wczoraj i luźny, wyciągnięty, czarnobiały sweter opadający poniżej jej wąskich bioder. Poszłyśmy do kuchni po koszyk i ruszyłyśmy w drogę, przez taras i schodzący w dół ogród, w kierunku morza.

W dolnej części ogrodu kamienne schody prowadziły na drugą stronę muru, Andrea szła przede mną, lecz zatrzymała się, bo chciałam obejrzeć pracownię dziadka od drugiej strony. Tak jak mówił Joss, była zamknięta na głucho i robiła wrażenie opuszczonej. Przeszklona ściana północna była zasłonięta szczelnie zaciągniętymi storami, tak że nawet szczelina nie została dla jakiegoś wścibskiego przechodnia.

Andrea obserwowała mnie ze szczytu muru.

– On już nie maluje – zakomunikowała mi.

– Wiem o tym.

– Nie mam pojęcia dlaczego. Przecież nic mu nie jest.

Z powiewającymi włosami zeskoczyła z muru i znikła z pola widzenia. Rzuciłam ostatnie spojrzenie w stronę pracowni dziadka i zrobiłam to samo co ona, trafiając na wydeptaną ścieżkę wśród poletek o nieregularnym kształcie. W końcu, przedzierając się przez wysokie do pasa krzaki ostrokrzewu, przez przełaz wyszłyśmy na drogę prowadzącą wzdłuż wybrzeża.

Prawdopodobnie była to ulubiona trasa spacerowa turystów zwiedzających Porthkerris, gdyż były tu ładne punkty widokowe z ławeczkami i koszami na śmieci oraz tablice przestrzegające, aby nie podchodzić zbyt blisko do krawędzi klifu, które mogły się osypywać.

W pewnej chwili Andrea zbliżyła się do samej krawędzi i niebezpiecznie się przechyliła. Mewy krążyły i piszczwały nad jej głową, wiatr targał jej włosy i workowaty sweter, a daleko z dołu dochodziły odgłosy uderzających o skały fal. Rozpostarła szeroko ramiona i chwiała się tuż nad krawędzią, jakby miała zamiar z niej spaść. Kiedy jednak zauważyła, że nie interesują mnie jej ewentualne zamiary samobójcze, wróciła na ścieżkę i poszłyśmy dalej gęsiego. Andrea

prowadziła.

Droga nad brzegiem w tym miejscu skręcała i przed nami ukazało się miasto. Niskie, szare domki obsiadły wcięcie zatoki i wspinały się po stromym wzgórzu aż do położonego z tyłu wrzosowiska. Przeszliśmy przez furtkę. Dalej była już normalna droga i mogliśmy iść obok siebie. Andrea nagle stała się rozmowna.

– Twoja matka niedawno umarła, prawda?

– Tak.

Ciocia Mollie opowiadała, mi o niej. Mówiła, że ona była dziwką.

Z trudem udało mi się zachować powagę. I dobrze, bo gdyby mi się nie udało, oznaczałoby to błyskawiczne zwycięstwo Andrei.

– Myślę, że jej dobrze nie znała. Nie widziały się przez całe lata.

– A czy była dziwką?

– Nie.

– A ciotka mówi, że żyła z różnymi facetami. Zorientowałam się, że Andrea nie tyle chce mi dopiec, co jest autentycznie ciekawa, a także trochę mi zazdrości.

Odpowiedziałam:

– Była po prostu pełna życia, piękna i kochająca. Przyjęła do wiadomości tę wersję.

– Gdzie mieszkasz? – spytała.

– Mam małe mieszkanie w Londynie.

– Mieszkasz sama czy z kimś?

– Sama.

– A chodzisz czasem na imprezy?

– Owszem, jeśli ktoś mnie zaprosi i mam akurat na to ochotę.

– A czy gdzieś pracujesz?

– Tak, w księgarni.

– Boże, co za koszmar!

– Dlaczego, lubię tę pracę.

– A gdzie poznałaś Jossa?

Nareszcie dochodzimy do sedna sprawy – pomyślałam. Jednak jej twarz była pusta i nie wyrażała żadnych emocji.

– W Londynie, naprawiał moje krzesło.

– Czy go lubisz?

– Znam go za mało, aby mieć powody, by go nie lubić.

– Eliot go nienawidzi. I ciocia Mollie też.

– Dlaczego?

– Bo przeszkadza im, że ciągle kręci się po domu. Traktują go tak, jakby chcieli, żeby zwracał się do nich: „Jaśnie panie” i „Jaśnie pani”, czego on nie ma zamiaru robić. No i często rozmawia z Grenville’em i rozwesela go. Słyszałam kiedyś ich rozmowę.

Wyobraziłam sobie, jak podkłada się pod drzwi i podsłuchuje.

– To ładnie z jego strony, że rozwesela staruszka.

– Kiedyś strasznie się pokłócili z Eliotem. Chodziło o jakiś samochód, który Eliot sprzedał znajomemu Jossa. Joss powiedział, że ten wóz nie był wart nawet tego, aby po niego jechać, a Eliot wyzwał go od bezczelnych, wścibskich chamów.

– Czy tę awanturę też podsłuchałaś?

– Nie dało się tego uniknąć. Byłam akurat w ubikacji. Tam było otwarte okno, a oni stali na dole, na tej zwirowanej ścieżce przed frontowymi drzwiami.

– Od jak dawna jesteś w Boscarvie? – spytałam, chcąc dowiedzieć się, ile czasu zajęło jej wyciąganie wszystkich rodzinnych trupów z szafy.

– Dwa tygodnie. A dla mnie to jak pół roku.

– Myślałam, że przepadasz za chodzeniem tą drogą– Na miłość boską, chyba nie jestem dzieckiem! Co mam tu robić, bawić się wiaderkiem i łopatką w piasku na plaży?

– A w Londynie co robiłaś?

Ze złością kopnęła kamyk, wyładowując na nim swoją nienawiść do Kornwalii.

– Byłam w szkole plastycznej, ale moi rodzice n i e aprobowali – podkreśliła te słowa sztucznie przesłodzonym głosem – moich przyjaciół. Dlatego wysłali mnie tutaj.

– Ale przecież nie zostaniesz tu na zawsze. Co będziesz robiła, kiedy tam wrócisz?

– To będzie zależało od nich.

Zrobiło mi się trochę żal jej rodziców. Nawet jeśli byli to rodzice, którzy wychowali tak niemiłe dziecko. Mam na myśli, czy jest coś, co chciałabyś robić? Owszem, wyjechać i żyć na własny rachunek, robić to, co zechcę. Danus, ten wspaniały chłopak, z którym chodziłam, ma kolegę, który ma pracownię ceramiki na wyspie Skye. Chciał, abym przyjechała mu tam pomagać. Wiesz, tam jest taka jakby komuna, to byłoby cudowne, z dala od wszystkich... Ale moja kochana mamuśka musiała wtrącić swoje trzy grosze i popsuła wszystko.

– Gdzie ten Danus jest teraz?

– Pojechał na tę Skye.

– Czy napisał ci o tym?

Wstrząsnęła głową, bawiąc się swoimi włosami, aby uniknąć swojego wzroku.

– O, tak, nawet długie listy. Całe stosy listów. On wciąż chciałby, żebym tam przyjechała, i zrobię to, jak tylko skończę osiemnaście lat i nie będą mogli mnie zatrzymać.

– A czemu najpierw nie wrócisz do szkoły plastycznej, żeby zdobyć jakiś zawód? Dzięki temu zyskałabyś na czasie...

Odwróciła się do mnie.

– Wiesz co? Jesteś taka sama jak oni wszyscy. Ile ty w ogóle masz lat? Bo mówisz jak wapniak!

– Uważam, że głupio jest zmarnować swoje życie, zanim się jeszcze je zaczęło.

– To moje życie, nie twoje.

– Oczywiście, jak najbardziej.

Po tej dziwnej kłótni szliśmy do miasta w milczeniu. Pierwsza odezwała się Andrea: „Tu jest ten sklep rybny”, z towarzyszącym temu machnięciem ręki.

– Dziękuję! – Weszłam tam, aby odebrać halibuty.

Ona ostentacyjnie została na ulicy. Kiedy wyszłam, poszła dalej, lecz tylko do najbliższego kiosku z gazetami, gdzie kupiła sensacyjne pismo pod tytułem „Prawdziwy Seks”.

– Czy już wracamy? – spytałam. – Czy chcesz jeszcze coś kupić?

– Nie mogę nic kupować, bo nie mam pieniędzy. Może najwyżej kilka pensów... Zupełnie irracjonalnie zrobiło mi się jej żal.

– Jeśli chcesz, postawię ci kawę.

Spojrzała na mnie z nagłym zachwytem i już myślałam, że z radością przyjmie moją skromną propozycję. Zamiast tego jednak sama zaproponowała:

– Chodźmy do Jossa! Zaskoczyła mnie.

– Dlaczego akurat mamy iść do niego?

– Po prostu chcę. Często go odwiedzam, gdy jestem w mieście. Zawsze się cieszy, kiedy mnie widzi. Kazał mi przyrzec, że zawsze wpadnę do niego, kiedy tu będę.

– A skąd wiesz, że on jest u siebie?

– Jeżeli dziś nie ma go w Boscarvie, to musi być w swoim sklepie. Jeszcze tam nie byłaś? On ma na pięterku urządzone śliczne mieszkanie, całkiem jak z ilustrowanego tygodnika. Jest tam takie łóżko podobne do kanapy, z masą poduszek i innych takich rzeczy, na kominku płoną kłody. A w nocy – tu jej głos stał się rozmarzony – to wszystko jest zamknięte i bardzo tajemnicze, a jedynym światłem jest płomień z kominka...

O mało co nie rozdziawiłam gęby.

– To znaczy, że ty i Joss...

Wzruszyła ramionami, wstrząsając czupryną.

– No, raz czy dwa, kto wie... Nie wiem, po co ci to mówię. Mam nadzieję, że nikomu tego nie powiesz?

– A czy nikt... czy Mollie nie pyta cię o nic?

– W takich wypadkach mówię jej, że idę do kina. Ona raczej nie ma nic przeciwko chodzeniu do kina. Chodźmy do Jossa...

Nie, po usłyszeniu tej sensacji nic nie skłoniłoby mnie choćby do przejścia obok sklepu Jossa. Próbowalam ją spławić.

– Joss będzie teraz zajęty, a on nie lubi, aby mu przeszkadzano. Zresztą nie ma czasu, a ja wcale nie chcę tam iść.

Sama mówiłaś, że mamy czas na kawę, więc dlaczego nie dla Jossa?

– Andrea, powiedziałam ci, że nie chcę tam iść. Próbowala się uśmiechać.

– A myślałam, że lubisz Jossa.

– Nie o to chodzi. On na pewno nie chce, aby pętać mu się pod nogami, gdzie tylko się ruszy.

- Masz na myśli mnie?
- Mam na myśli nas obie. – Byłam już zdesperowana.
- On zawsze chętnie mnie widzi. Jestem pewna, że zawsze.
- Z całą pewnością – uspokoiłam ją. – Jednak wracajmy już do Boscarvy.

Przypomniałam sobie, że na samym początku niezbyt lubiłam Jossa. Pomimo jego wyraźnego zainteresowania mną i widocznej sympatii budził we mnie pewien niepokój, tak jakby ktoś skradał się za moimi plecami. Jeszcze wczoraj chciałam zapomnieć o tej dziwnej antypatii, a może nawet próbowałam go polubić, ale zwierzenia Andrei obudziły moją pierwotną nieufność. On był stanowczo za przystojny i za bardzo czarujący. Andrea mogła kłamać, ale nie była głupia. Zaszufładowała sobie całą rodzinę ze zbijającą z nóg dokładnością. Jeśli w tym, co mówiła na temat Jossa, było choć ziarno prawdy, nie chciałam mieć z tym nic wspólnego.

Gdybym go lepiej знаła i była z nim w bardziej przyjaznych stosunkach, wzięłabym go na bok i skonfrontowała z nim to, czego się dowiedziałam. Ale tak jak sprawy stały, nie miało to dla mnie znaczenia. Poza tym i bez tego miałam o czym myśleć.

Grenville nie zszedł dziś na lunch.

– Jest zmęczony – wyjaśniła Mollie. – Spędzi ten dzień w łóżku. Może zejdzie na kolację. Na razie Pettifer zanieś mu lunch na tacy.

Zasiadłyśmy więc do stołu we trzy. Mollie tym razem przebrała się w elegancką, wełnianą sukienkę ozdobioną podwójnym sznurem pereł. Powiedziała nam, że wybiera się na partyjkę brydza do znajomych w Fourbourne. Miała nadzieję, że sama znajdzie sobie zajęcie.

Uspokoiliłam ją, że oczywiście wszystko będzie w porządku. Uśmiechałyśmy się do siebie przez stół i zastanawiałam się, czy naprawdę powiedziała Andrei, że moja matka była dziwką, czy Andrea dospiewała to sobie na podstawie jej niejasnych, eufemistycznych wyjaśnień. Miałam nadzieję, że prawdziwy był ten drugi wariant. Wołałabym, aby Mollie nie dyskutowała z Andrea na temat mojej matki. W końcu ona już nie żyła, a kiedyś była czarująca, roześmiana i wesoła. Dlaczego nie miałoby się jej takiej pamiętać?

Kiedy już siadałyśmy do stołu, pogoda się pogorszyła. Wiatr zmienił kierunek na zachodni i ławica szarych chmur z wielką szybkością pędziła poprzez niebo, zasłaniając słońce. Zaczynało już padać i padało na dobre, kiedy Mollie wyjeżdżała swoim małym, samochodem na umówionego brydza. Obiecywała, że wróci około szóstej. Andrea albo zmęczona porannym wysiłkiem, albo raczej śmiertelnie znudzona moim towarzystwem, ulotniła się do swojej sypialni ze świeżo zakupionym pismem. Tym sposobem zostałam sama i zastanawiałam się, czym by tu się zająć. Ciszę tego deszczowego popołudnia przerywało tylko tykanie zegara dziadka i jakieś ciche odgłosy wskazujące na wytężoną pracę, a dochodzące od strony kuchni. Okazało się, że to Pettifer czyścił srebra.

Kiedy wsadziłam głowę w drzwi, spojrział w górę.

- O, witam, nie słyszałem, jak panienka weszła.
- Jak się czuje dziadzio?

– Myślę, że całkiem dobrze, tylko był trochę zmęczony po wczorajszych emocjach. Sądziliśmy, że jeden dzień w łóżku dobrze mu zrobi. Czy pani Rogerowa już wyjechała?

– Tak. – Wyciągnęłam sobie krzesło i usiadłam na wprost niego.

– Wydawało mi się, że słyszałam, jak wóz ruszał. Czy mogłabym ci w czymś pomóc?

Byłoby to bardzo ładnie ze strony panienki. Te łyżki wymagają porządnego przetarcia irchą. Nie wiem, skąd wzięły się na nich te plamy. A właściwie wiem. To robi wilgotne, morskie powietrze. Jedynym, czego srebro naprawdę nie znosi, jest właśnie takie powietrze.

Zaczęłam wycierać cienki i przetarty już czerpak łyżki. Pettifer przyglądał mi się sponad okularów.

– Zabawne, że po tylu latach panienka siedzi na tym miejscu. Twoja mamusia chyba pół życia spędziła w tej kuchni... Kiedy Roger wyjechał do szkoły z internatem, nie miała z kim zamienić słowa. Przychodziła więc tu do nas i spędzała czas z moją starą i ze mną. Moja uczyła ją piec „ciastka wrózek” i grać w wista we dwójkę. Świetnieśmy się bawili. A w taki dzień jak dziś robiła zwykle grzanki na starym ruszcie... Panienka zobaczy, teraz jest już nowy, ale ten stary miał w sobie coś przytulnego. Tak przyjemnie płonął ogień pod jego prętami i miał tak pięknie wyczyszczone mosiężne gałki...

– Pettifer, od jak dawna jesteś już w Boscarvie?

– Od kiedy pan komandor ją kupił, jeszcze w roku 1922. To był rok, w którym wystąpił z Marynarki Wojennej, aby poświęcić się malarstwu. Starszej pani Bayliss to się nie podobało. Przez pierwsze trzy miesiące lub dłużej nawet nie rozmawiali ze sobą.

– Dlaczego to jej aż tak przeszkadzało?

– Całe jej życie miało związek z marynarką. Jej ojciec był kapitanem okrętu „Imperious”, na którym pan komandor był porucznikiem. Wtedy właśnie się poznali. Ślub brali na Malcie. To był taki piękny, marynarski ślub, z przechodzeniem pod szpalerem z kordów i wszystkim, co do tego należało. Życie w cieniu Marynarki Wojennej miało dla pani Bayliss duże znaczenie. Kiedy pan komandor oświadczył, że ma zamiar wystąpić, porządnie się wtedy pokłócili, ale żona nie potrafiła skłonić go do zmiany zdania. Opuściliśmy więc Maltę na zawsze i kiedy pan komandor kupił ten dom, wszyscy się tu przenieśliśmy.

– I ty tu mieszkałeś od początku?

– Mniej więcej. Kiedy pan komandor wstąpił do Akademii Sztuk Pięknych, co łączyło się z pracą w Londynie, miał wtedy takie małe *piedaterre* koło kościoła św. Jakuba, i kiedy jeździł do Londynu, ja jeździłam tam z nim, aby dbać o niego. Moja żona zostawała wtedy tutaj z panią komandorową i Rogerem. Twojej mamusi jeszcze nie było na świecie.

– A kiedy już skończył tę szkołę?

– Wtedy sprowadził się tu już na stałe i zbudował tę pracownię. To był najlepszy okres jego twórczości. Powstało wtedy wiele pięknych obrazów, zwłaszcza pejzaży morskich, z których prawie czuć było chłód wiatru i smak soli na wargach.

– Czy w tym domu jest dużo jego obrazów?

– Nie tak znów dużo. Nad kominkiem w stołowym pokoju wisi jego „Łódź rybacka”, a w korytarzu na górze jeden lub dwa czarnobiałe rysunki. Ze trzy lub cztery są w jego gabinecie, a dwa w sypialni pani Rogerowej.

– A ten w saloniku?

– Racja, oczywiście jeszcze „Dama z różą”.

– Kim ona była?

Nie odpowiedział, może dlatego, że był tak zajęty srebrem. Tarł widelec, jakby chciał zetrzeć jego wzór do czysta.

– Kto to był? – powtórzyłam. – Ta dziewczyna z portretu?

– Ach, ona! – odpowiedział w końcu Pettifer. – To była Zofia.

Znów ta Zofia. Odkąd matka przelotnie o niej wspomniała, chciałam dowiedzieć się czegoś więcej. Teraz znów Pettifer przywołał z pamięci jej imię, jakby to było coś najbardziej naturalnego pod słońcem.

– To była dziewczyna, która służyła panu komandorowi jako modelka. Wydaje się, że pracowała dla niego, jeszcze kiedy studiował w Londynie. Czasem przyjeżdżała tu w lecie, wynajmowała sobie mieszkanie w Porthkerris i pozowała każdemu malarzowi, który mógł jej za to płacić.

Czy była bardzo piękna? Raczej nie w moim typie. W każdym razie była pełna życia, a jaka rozmowna! Była Irlandką, pochodziła z hrabstwa Cork.

– A co sądziła o niej moja babcia?

– One się nigdy nie spotykały. Babcie panienci łączyło z nią nie więcej niż z rzeźnikiem lub fryzjerką.

– Więc Zofia nigdy tu nie przychodziła?

– Dlaczego, nieraz tu bywała. Siedziała z panem komandorem w pracowni. Kiedy był zmęczony albo nie miał do niej więcej cierpliwości, ona wychodziła do ogrodu lub wołała przez tylne drzwi: „Czy można by dostać filiżankę herbaty?” Z myślą o niej moja stara zawsze trzymała czajnik na ogniu.

– Wróżyła także z filiżanek od herbaty?

– Kto panience o tym powiedział?

– Moja matka.

– Rzeczywiście, i przepowiadała nam cudowne rzeczy, które miały się zdarzyć. Jasne, że nic takiego się nie zdarzyło, ale już samo słuchanie tego było świetną zabawą. Żona bardzo przyjaźniła się z twoją mamusią, a Zofia często zabierała ją z sobą na plażę. Wtedy moja pakowała im wałówkę, żeby mogły zrobić sobie piknik. A w sztormową pogodę urządzały długie spacerunki aż na wrzosowiska.

– A co w tym czasie robiła moja babcia?

– Przez całe popołudnia grywała w brydża lub mahdżonga w ciasnym kręgu swoich przyjaciół. To była całkiem miła pani, ale nie interesowała się swoimi dziećmi. Może gdyby

więcej czasu poświęcała Lizie w dzieciństwie, prędeziej mogłyby się porozumieć, gdy dorosła.

I może wtedy twoja mamusia nie musiałaby tak uciekać z domu, raniąc serce nam wszystkim.

– Co się później stało z Zofią?

– Myślę, że wróciła do Londynu, wyszła za mąż i miała dziecko. W 1942 została zabita podczas niemieckiego nalotu. Dziecko było wtedy na wsi, a mąż za granicą, natomiast Zofia została w Londynie dlatego, że pracowała w szpitalu. Dopiero długo po jej śmierci dowiedzieliśmy się o tym. My z żoną poczuliśmy się wtedy tak, jakby światło uszło z naszego życia.

– A jak zareagował mój dziadek?

– No cóż, pewnie, że było mu przykro. Ale już od dawna jej nie widział, zresztą dla niego była tylko dziewczyną, którą kiedyś zatrudnił.

– Czy istnieją jeszcze inne jej portrety?

– Obrazy z nią wiszą w różnych galeriach sztuki rozsianych po całym kraju. Także w Porthkerris jest jeden, jeśli panienka chce go zobaczyć. A dwa są na górze w sypialni pani Rogerowej.

– Czy moglibyśmy teraz pójść je zobaczyć? – W moim głosie zabrzmiało tak gorące pragnienie, że Pettifer był wręcz zaskoczony, jakbym zaproponowała coś nieprzyzwoitego. – Myślę, że pani Bayliss nie miałaby nic przeciwko temu.

– Nie, nie wydaje mi się. Zresztą, dlaczego nie? Chodźmy.

Z wysiłkiem wstał i poszliśmy razem na górę przez korytarz na pierwszym piętrze do sypialni leżącej nad salonikiem. Sypialnia była duża i urządzona w bardzo kobiecym stylu, ze staroświeckimi, wiktoriańskimi meblami i blad różowo-kremowym dywanem. Mollie utrzymywała ją aż w przesadnym porządku. Między oknami wisiały obok siebie dwa małe olejne obrazki. Jeden przedstawiał kasztanowiec i leżącą w jego cieniu dziewczynę, a drugi tę samą dziewczynę rozwieszającą bieliznę w wietrzny dzień. Rozczarowałam się, bo postać dziewczyny była ledwie widoczna.

– Nadal nie wiem, jak ona wyglądała – poskarżyłam się.

Pettifer już chciał odpowiedzieć, gdy w głębi domu dał się słyszeć dźwięk dzwonka. Pettifer nadstawił uszu jak czujny pies.

– To pan komandor dzwoni, usłyszał nasze głosy przez ścianę. Przepraszam panienkę na chwilę.

Wyszłam za nim z pokoju Mollie i zamknęłam drzwi za sobą. Pettifer przeszedł kawałek korytarza i otworzył znajdujące się tam drzwi. Usłyszałam głos Grenville'a.

– Co wy tam szepczecie po cichu?

– Pokazywałem Rebecę te dwa obrazki w pokoju pani Rogerowej.

– To Rebeka też tam jest? Poproś ją tutaj.

Weszłam za Pettiferem. Grenville nie leżał już w łóżku, tylko siedział w głębokim fotelu,

opierając nogi na stołeczku. Był ubrany, tylko nogi miał przykryte kocem, a na kominku migotał ogień. Wszędzie panował wzorowy porządek i czuć było zapach wody fryzjerskiej, której starszy pan używał do pielęgnacji włosów.

– Myślałam, że leżysz w łóżku – powiedziałam.

– Pettifer pomógł mi wstać zaraz po lunchu, bo znudziło mnie leżenie. O czym żeście tam rozmawiali?

– Pettifer pokazał mi kilka twoich obrazów.

– Pewnie uważasz je za bardzo staromodne. A wiesz, że teraz młodzi malarze wracają znów do realizmu? Wiedziałem, że to wróci. Musisz wziąć sobie któryś z tych obrazów. W pracowni jest ich masa, nikt ich nigdy nie uporządkował. Odkąd dziesięć lat temu zamknąłem tamten budynek, nigdy potem już tam nie zaglądałem. Pettifer, gdzie jest klucz od pracowni?

– W bezpiecznym miejscu, panie komandorze.

– Możesz wziąć klucz od Pettifera, pójść tam i pogmerać, czy coś ci się nie nada. Masz to gdzie powiesić?

– Mam mieszkanie w Londynie. Przydałby się tam jakiś obraz.

– Siedząc tutaj, myślałem jeszcze o czymś. W tej szafce na dole są jakieś wyroby z nefrytu, które masę lat temu przywiozłem z Chin i dałem Lizie. Teraz należą do ciebie. Jest jeszcze lustro, które zostawiła jej babcia – gdzie ono jest, Pettifer?

– W pokoju śniadaniowym, panie komandorze.

– Trzeba więc będzie przynieść je na dół i wyczyścić. Chcesz je mieć, prawda?

– Tak, chciałabym. – Poczulałam dużą ulgę. Już się zastanawiałam, w jaki sposób poruszyć temat pamiątek po matce, a tu bez żadnej zachęty Grenville zrobił to za mnie. Po krótkim wahaniu postanowiłam więc kuć żelazo, póki gorące i przypomniałam o jeszcze jednej rzeczy. – I jeszcze było tu takie biurko z podnoszonym blatem...

– Co? – Grenville obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem. – Skąd o tym wiesz?

– Mama powiedziała mi o tych rzeczach z nefrytu, o lustrze, a także o tym biurku. – Patrzył na mnie takim wzrokiem, że pożałowałam, iż w ogóle coś powiedziałam.

– To znaczy, jeśli to nie sprawi kłopotu, jeśli nikt go nie potrzebuje...

– Pettifer, pamiętasz to biurko?

– Tak jest, panie komandorze. Było w tej drugiej sypialni na poddaszu, ale nie pamiętam, czy ostatnio je tam widziałem.

– Więc bądź tak dobry i któregoś dnia go poszukaj. A teraz dołóż jeszcze do ognia... – Pettifer posłuchał. Grenville, patrząc na niego, nagle coś sobie przypomniał.

– Gdzie są wszyscy? Dom jest pusty. Słysząc tylko szum deszczu.

– Pani Rogerowa pojechała na brydża. Myślę, że panna Andrea jest w swoim pokoju...

– A może byśmy napili się herbaty? – Grenville zrobił do mnie oko. – Napijesz się, prawda? Jakoś nie mieliśmy dotąd okazji lepiej się poznać. Albo ty mdlejesz przy kolacji, albo ja jestem za stary i za słaby, żeby wstać z łóżka. Dobrana z nas para, co?

– Chętnie napiję się z tobą herbaty.

– Niech Pettifer przyniesie ją tutaj.

– O, nie – poderwałam się. – Ja to zrobię. Pettifer cały dzień jest na nogach i wciąż biega po tych schodach z góry na dół. Dajmy mu trochę odpocząć.

– Dobrze. – Grenville wyglądał na ubawionego. Przynieś herbatę i duży półmisek grzanek z masłem.

Jeszcze wiele razy żałowałam, że w ogóle poruszyłam temat tego nieszczęsnego biurka. Prawda była taka, że nie można go było nigdzie znaleźć. Podczas gdy oboje z Grenville'em jedliśmy podwieczorek, Pettifer rozpoczął poszukiwania. Zanim przyszedł zabrać tacę przeczesał cały dom z góry na dół. Biurka nie było nigdzie.

Grenville nie bardzo mu wierzył.

– Pewnie go nie zauważyłeś. Twoje oczy są już równie stare jak moje.

– Jak mógłbym nie zauważyć biurka! – Pettifer poczuł się pokrzywdzony.

– Może – próbowałam ratować sytuację – ono zostało gdzieś oddane do naprawy? – Obaj panowie spojrzeli na mnie jak na głupka, więc szybko zamilkłam.

– A może jest w pracowni? – zaryzykował Pettifer.

– Do czego byłoby mi potrzebne biurko w pracowni? Przecież nie pisałem tam listów, tylko malowałem! Brakowałoby mi tam jeszcze tylko biurka! – Grenville był wyraźnie wzburzony.

Wstałam, żeby go jakoś załagodzić.

– Na pewno gdzieś się znajdzie – powiedziałam najbardziej uspokajającym tonem, na jaki tylko mogłam się zdobyć, po czym zebrałam brudne naczynia na tacę, aby znieść je do kuchni. Tam dołączył do mnie Pettifer, zmartwiony tym, co się stało.

– To niezdrowo dla pana komandora zanadto się podniecać... A mogę powiedzieć, panience, że on teraz uczepli się tego jak terrier szczura.

– To wszystko moja wina. Nie wiem, po co w ogóle o tym wspominałam...

– Ale ja to biurko rzeczywiście pamiętam. Nie mogę sobie tylko przypomnieć, kiedy ostatnio je widziałem. – Zaczęłam zmywać filiżanki i spodki, a Pettifer je wycierał. – I jeszcze jedno. Razem z tym biurkiem było takie krzesło w stylu chippendale. Nie pasowało do niego, ale zawsze stało przed nim. Miało siedzenie pokryte haftem, trochę wytartym, z ptakami, kwiatami i czymś tam jeszcze. I ono też zginęło... ale nie mam zamiaru mówić o tym panu komandorowi i panience też nie radzę.

Przyrzekłam, że nic o tym nie wspomnę.

– Zresztą – dodałam – tak czy siak, to nie ma dla mnie znaczenia.

– Ale ma dla pana komandora. Może i on był artystą, ale pamięć zawsze miał jak słoń, i to jest jedyna rzecz, której nie utracił. – Dodał jeszcze smutnym tonem: – Czasem wolałbym, żeby utracił.

Tego wieczoru, przed wyjściem na kolację, znów przebrałam się w brązową tunikę ze srebrnym haftem. W salonie był na razie tylko Eliot w nieodłącznym towarzystwie psa. Siedział

przy kominku, popijał drinka i czytał popołudniową gazetę. Rufus leżał wyciągnięty na dywaniku jak kawałek drogiego futra. W świetle lampy tworzyli zgraną parę, ale moje wejście zakłóciło tę sielankę. Eliot wstał, upuszczając gazetę na siedzenie krzesła.

– O, Rebeka, jak się masz?

– Dziękuję, w porządku.

– Wczoraj wieczorem już się bałam, że zachorowałam.

– Nie, byłam tylko zmęczona. Spałam potem do dziesiątej rano.

– Tak, mama mi mówiła. Napijesz się? Przytaknęłam, więc nalał mi sherry. Ja tymczasem przykucnęłam przy kominku i pieszczotliwie tarłowałam psa za jedwabiste uszy.

Kiedy Eliot przyniósł mi drinka, spytałam:

– Czy on wszędzie z tobą jeździ?

– Tak, towarzyszy mi w garażu, w biurze, na obiedzie, w barze, gdziekolwiek się ruszę. Jest to najbardziej znany pies w tej części świata.

Usiadłam na dywaniku, a Eliot znów opadł na krzesło i przysunął sobie drinka. Po chwili zaproponował:

– Jutro muszę skoczyć do Falmouth. Mam się tam widzieć z jednym gościem w sprawie samochodu. Może chciałabyś pojechać ze mną, żeby zwiedzić trochę okolicę. Co ty na to?

Byłam zaskoczona, że to zaproszenie sprawiło mi aż taką przyjemność.

– To byłoby wspaniałe! – wyznałam.

– Nie ma tam nic aż tak zajmującego, ale może wynajdziesz sobie jakieś zajęcie przez godzinę lub dwie, kiedy będę załatwiał sprawy. Potem wstąpimy do takiej małej knajpki, gdzie podają pyszne „owoce morza”. Lubisz ostrygi?

– Owszem.

– I dobrze, bo ja też. A wracać będziemy przez High Cross, wtedy zobaczysz, gdzie normalnie mieszkamy z mamą.

– Twoja mama opowiadała mi o tamtym domu. Brzmiało to sympatycznie.

– Na pewno jest tam przyjemniej niż w tym mauzoleum.

– Ależ, Eliot, to nie jest żadne mauzoleum!

– Nigdy nie przykładałem wielkiej wagi do wiktoriańskich zabytków...

Zanim zdążyłam ponownie zaprotestować, dołączył do nas Grenville. Czy raczej usłyszeliśmy jego wolne kroki w dół po schodach, odgłosy rozmowy z Pettiferem – jego wysoki głos i basowy pomruk Pettifera – w końcu stukot laski Grenville’a po parkiecie hallu. Eliot zrobił do mnie minę i podbiegł otworzyć drzwi. Grenville wkroczył do salonu jak dziób potężnego, niezniszczalnego statku.

– W porządku, Pettifer, już sobie poradzę! – Zerwałam się z dywanika, chcąc podsunąć naprzód fotel, na którym siedział wczoraj, ale to go tylko rozzłościło. Najwyraźniej nie był w dobrym humorze.

– Na miłość boską, dziewczyno, co ty wyrabiasz. Czy mam usiąść w samym ogniu?

Spaliłbym się tutaj!

Przesunęłam krzesło z powrotem i w końcu Grenville opadł na nie.

– Napijesz się czegoś? – spytał Eliot.

– Owszem, proszę o whisky. Eliot wyglądał na zaskoczonego.

– Whisky?

– Tak, whisky. Wiem, co powiedział ten głupi doktor, ale dziś mam ochotę na whisky.

Eliot już nic nie mówił, tylko skinął głową z milczącym przyzwoleniem i poszedł nalać dziadkowi drinka. Kiedy go przyniósł, Grenville pochylił się na krzesło i spytał:

– Eliot, czy nie widziałeś gdzieś tego biurka davenport?

W tym momencie miałam już duszę na ramieniu.

– Znowu zaczynasz?

– Jakie „zaczynasz”, jakie „znowu”? Musimy tę diabelną rzecz znaleźć. Powiedziałem już Pettiferowi, żeby szukał, dopóki nie znajdzie.

Eliot wrócił ze szklanką whisky. Przyciągnął bliżej stół i ustawił szklankę w zasięgu ręki Grenville’a.

– Jakie to miało być biurko? – spytał cierpliwie.

– Takie małe, z podnoszonym blatem, przedtem stało w którejś sypialni. Należało do Lizy, a teraz należy do Rebeki i ona chce je zabrać. Ma mieszkanie w Londynie i potrzebuje mebli. A Pettifer nie może go znaleźć, chociaż twierdzi, że przeczesał cały dom. Nie widziałeś go gdzieś?

– Nigdy go nie widziałem na oczy. Nawet nie wiem, jak takie biurko wygląda.

– To takie małe biureczko. Przy jednym boku ma szufladki. Blat ma pokryty wytłaczaną skórą. Teraz takie biurka są chyba rzadkością i mają dużą wartość.

– Pewnie Pettifer gdzieś je wsadził i zapomniał gdzie.

– Pettifer nigdy niczego nie zapomina.

– Może jeszcze pani Pettifer coś z tym zrobiła i zapomniała mu o tym powiedzieć?

Powiedziałem, że on nigdy niczego nie zapomina.

W tym momencie weszła Mollie, uśmiechając się z taką determinacją, jakby podsłuchiwała gniewne głosy dochodzące spoza drzwi i chciała załagodzić sytuację.

– Dobry wieczór wszystkim. Chyba się trochę spóźniłam. Miałam przecież zrobić coś pysznego z tego wybornego halibuta, którego Rebeka kupiła dziś rano. Eliot, kochanie. – Pocałowała go, najwidoczniej widząc go po raz pierwszy w dniu dzisiejszym. – I Grenville! – pochyliła się, aby i jego ucałować. – No, wyglądasz już na bardziej wypoczętego! – Zanim zdążył zaoponować, ponad jego głową uśmiechnęła się do mnie. – Jak minęło popołudnie?

– Dziękuję, bardzo dobrze. A jak ci szła karta?

– Nie najgorzej, wygrałam dwadzieścia pensów. Eliot, kochanie, tak bym się czegoś napiła. Andrea już idzie, ale jeszcze w tej chwili nie będzie... – Musiała jednak przerwać ten potok pustostlowia, gdyż Grenville przeszedł do ofensywy.

– Coś zgubiliśmy – oznajmił.

- Co takiego zgubiłeś? Znowu spinki do mankietów?
- Zginęło biurko w stylu davenport. Sytuacja stawała się komiczna.
- Jak to, zgubiłeś całe biurko?

Grenville postanowił skończyć tę grę. Gdy usłyszała, że to ja jestem przyczyną tego konfliktu, spojrzała na mnie z pewnym wyrzutem. Pewnie sądziła, że niewłaściwie rewanżuję się za jej uprzejmość i gościnność. Byłam skłonna przyznać jej rację.

– Ależ gdzieś ono musi być! – Mollie wzięła od Eliota szklanę, przyciągnęła do siebie taboret i usiadła, gotowa do przedyskutowania całej sprawy. – Pewnie dla bezpieczeństwa gdzieś się je schowało.

– Pettifer już go szukał.

– Może go po prostu nie zauważył. Z pewnością powinien już zmienić okulary. Może kiedyś gdzieś to biurko wsadził i zapomniał o nim.

– Pettifer o niczym nie zapomina! – Grenville walnął zaciśniętą pięścią o poręcz fotela.

– Tak naprawdę – wycedził chłodno Eliot – to Pettifer nieraz zapomina o wielu rzeczach.

Grenville wpił w niego wzrok.

– Co przez to rozumiesz?

– To żadna wycieczka osobista. Po prostu on się już starzeje.

– Czy to znaczy, że oskarżasz Pettifera?

– Nikogo nie oskarżam.

– Dopiero co powiedziałaś, że on jest tak stary, że nie wie, co robi. Jeżeli on jest aż tak stary, to co, do cholery, myślisz o mnie?

– Nigdy nie sugerowałam...

– Ale go oskarżasz! Eliot stracił cierpliwość.

– Gdybym chciał kogokolwiek oskarżać . – podniósł głos prawie do tak wysokiej tonacji jak głos Grenville'a – to zadałbym kilka pytań na temat twojego Jossa Gardnera!

Po tym „ostrym wejściu” zrobił pauzę, a po chwili, bardziej opanowanym głosem, kontynuował:

– Nikt tu nikogo nie oskarża o kradzież. Ale Joss jest tu przez cały czas, wciąż wchodzi i wychodzi z domu, przechodzi z pokoju do pokoju. Lepiej niż my wie, co gdzie stoi. A ponieważ jest fachowcem od tych rzeczy, wie też, ile co jest warte.

– Ale na co byłoby mu nasze biurko? – zapytała z rozpaczą Mollie.

– Nie zapominaj, że jest to wartościowe biurko. Grenville sam zaznaczył, że jest rzadkie i cenne. Może potrzebował pieniędzy. Widać po nim, że przydałoby mu się trochę gotówki. A że zna się na tym i jeździ ciągle do Londynu, wiedziałby, gdzie to sprzedać.

Urwał nagle, uświadomiwszy sobie, że powiedział za dużo. Skończył swoją whisky i bez słowa poszedł nalać sobie drugą.

Cisza stała się nieprzyjemna. Przerwała ją Mollie: Nie przypuszczam, aby Joss... To stek bzdur! – uciął ostro Grenville. Eliot z impetem odstawił butelkę whisky.

– A skąd ty to wiesz? Skąd w ogóle wiesz cokolwiek o Jossie Gardnerze* Zjawia się jak hipis, nie wiadomo skąd, twierdzi, że ma zamiar prowadzić sklep, a ty od razu otwierasz przed nim swój dom i dajesz mu zajęcie przy lepieniu wszystkich swoich mebli. A co ty, co my wszyscy w ogóle o nim wiemy?

– Wiem, że mogę mu ufać. A ja znam się na ludziach...

– Raz mogłeś się pomylić...

Grenville podniósł głos, przekrzykując Eliota:

– ... a tobie dobrze by zrobiło, gdybyś nauczył się lepiej dobierać sobie znajomych.

Eliotowi aż zwężyły się oczy. – Co to ma znaczyć?

– Tylko tyle, że jeśli chcesz wyjść na durnia, rób dalej interesy z tym małym krętaczem Ernestem Padło wem.

Gdybym w tym momencie mogła uciec, pewno bym to zrobiła. Niestety, byłam wciśnięta w kąt za krzesłem Grenville'a.

– A cóż takiego wiesz o Erneście Padlow?

– Wiem, że widziano cię, jak popijałeś z nim w barach.

Eliot rzucił mi spojrzenie spod oka i wymamrotał pod nosem:

– Ten łajdak Joss Gardner!

– Wcale nie powiedział mi tego Joss, tylko pan Hargreaves z banku. Wpadł tu kiedyś na szklaneczkę sherry. A znów pani Thomas, kiedy przyszła dziś rano napalić mi w kominku, mówiła, że widziała cię z Padlowem na tym koszmarnym zbiorowisku tandety, które on nazywa przedsiębiorstwem budowlanym.

– Plotki z magla!

– Od ludzi prawdomównych zawsze dowiem się prawdy, nieważne, skąd oni pochodzą. A jeśli myślisz, że sprzedam moją ziemię temu małemu podskakiewiczowi, to się bardzo mylisz.

– Ta ziemia nie zawsze będzie twoja.

– Taki jesteś pewien, że będzie twoja? Lepiej nie dziel skóry, póki niedźwiedź żyje. Tyle ci tylko powiem, drogi chłopcze, że nie jesteś moim jedynym wnukiem.

W tym dramatycznym momencie, niczym w dobrze wyreżyserowanej sztuce, w drzwiach stanęła Andrea i oznajmiła, że Pettifer prosił ją o przekazanie nam, że kolacja jest gotowa.

Tej nocy trudno mi było zasnąć. Rzuciałam się i przewracałam w pościeli, nalewalam sobie szklankę wody, przemierzałam pokój, wyglądałam przez okno, znowu wracałam do łóżka i próbowałam jakoś się ułożyć. Jednak gdy tylko zamykałam oczy, sceny z ostatniego wieczoru przesuwały się w mojej pamięci jak film, a głosy w uszach nie chciały ucichnąć.

„Nikt tu nikogo nie oskarża o kradzież... Co my wszyscy wiemy o Jossie?... Jeśli chcesz wyjść na dumia, rób dalej interesy z tym małym krętaczem Ernestem Padlowem... Jeśli myślisz, że sprzedam moją ziemię temu małemu podskakiewiczowi, to bardzo się mylisz... Ta ziemia nie będzie zawsze twoja... Drogi chłopcze, nie jesteś moim jedynym wnukiem”.

Kolacja minęła w ponurej atmosferze. Eliot i Grenville prawie się nie odzywali. Mollie usiłowała, dla załagodzenia sytuacji, prowadzić pustą rozmówkę o niczym, którą próbowałam podtrzymywać. Natomiast Andrea obserwowała nas z błyskiem triumfu w swoich okrągłych, rozbieganych oczach, a Pettifer dreptał tu i tam, zbierając talerze i roznosząc suflet cytrynowy z bitą śmietaną, na który raczej nie było chętnych.

Kiedy już było po wszystkim, stołownicy rozeszli się w różne strony. Grenville poszedł do swojej sypialni, Andrea do pokoju śniadaniowego, skąd za chwilę usłyszeliśmy głośny dźwięk telewizora. Eliot bez słowa nałożył płaszcz, gwizdnął na psa i wyszedł trzaskając drzwiami. Domyślałam się, że idzie się upić, i nawet specjalnie nie miałam mu tego za złe. W saloniku zostałyśmy tylko Mollie i ja, każda po innej stronie kominka. Mollie zabrała się do haftowania i miała zamiar spędzić tak w milczeniu resztę wieczoru, co było nie do zniesienia. Zaczęłam się więc od razu usprawiedliwiać, gdyż czułam, że jestem jej winna jakieś wyjaśnienia.

– Przepraszam za dzisiejszy wieczór. Nie powinnam była w ogóle wspominać o tym biurku.

Odburknęła nie patrząc na mnie:

– Tu się nic już nie da zrobić.

– To dlatego, że moja matka powiedziała mi o tym na łożu śmierci. Więc kiedy Grenville zaczął o tych nefrytach i lustrze... ale w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że wywołam taką „burzę w szklance wody”.

– Grenville jest zdziwaczalym starcem. Zawsze był uparty i nie chciał zrozumieć, że każdy medal ma dwie strony.

– Masz na myśli Jossa?

– Nie wiem, czym ten Joss tak go oczarował. To przerażające, tak jakby wywierał na niego jakiś wpływ. Eliot ani ja nigdy nie chcieliśmy, aby czuł się tu jak u siebie w domu, wchodził i wychodził, kiedy chce. Jeśli meble Grenville’a wymagały naprawy, mógł po nie przyjechać i zabrać je swoją furgonetką do warsztatu, jak zrobiłby każdy inny rzemieślnik. Próbowaliśmy wyperswadować to Grenville’owi, ale się uparł. Zresztą w końcu to jego dom, nie nasz.

– Kiedyś będzie należał do – Eliota. Obrzuciła mnie chłodnym spojrzeniem.

– Ciekawe, czy i po tym wieczorze?

– Och, Mollie, ja wcale nie chciałabym przejąć Boscarvy. Grenville nigdy by mi czegoś takiego nie zostawił. Myślę, że powiedział to, co mu ślina na język przyniosła, albo żeby mieć ostatnie słowo. Nie mówił tego serio.

– Ale zranił Eliota.

– Eliot to zrozumie. Starszym ludziom trzeba ustępować.

– Już jestem zmęczona ustępowaniem Grenville'owi – warknęła Mollie, ze złością odcinając srebrnymi nożyczkami pasmo włóczki. – Grenville zrujnował mi całe życie. On i Pettifer powinni byli przenieść się do High Cross, tak jak chcieliśmy. Tamten dom jest mniejszy, ale bardziej komfortowo urządzone, każdemu byłoby wygodniej. A Boscarwę trzeba było już dawno przepisać na Eliota. Teraz podatki od masy spadkowej są strasznie wygórowane i Eliot nie dałby rady tego wszystkiego utrzymać. To jakieś nierealistyczne myślenie.

– Wydaje mi się, że trudno być realistą, kiedy ma się osiemdziesiąt lat i przeżyło większość życia w jednym miejscu.

Mollie puściła to zdanie mimo uszu.

– A jeszcze do tego ziemia i farma... Eliot robi, co może, ale Grenville tego nie zauważa. Nigdy nie wykazał najmniejszego zainteresowania tym, co Eliot robił; nigdy go w żaden sposób nie zachęcił. Ten garaż na High Cross Eliot prowadzi całkowicie na swój rachunek. Na początku prosił dziadka o pomoc, ale Grenville stwierdził, że nie chce mieć nic wspólnego z używanymi samochodami. Pokłócili się wtedy i w końcu Eliot zaciągnął pożyczkę, a od tej pory nie zwrócił się do dziadka nawet o grosz. Chyba zasłużył za to na uznanie.

Była aż blada ze złości. Podobna była do małej tygrysicy broniącej swoich młodych. Przypomniałam sobie, co sądziła moja matka o tym, z jaką zaborczością Mollie przywiązała Eliota do swojej spódnicy. Może żadne z nich do dziś z tego nie wyrosło.

Aby zmienić temat, powiedziałam jej o propozycji, którą zrobił mi Eliot.

– Obiecał, że w drodze powrotnej pokaże mi High Cross.

Jednak uwagę Mollie udało się odwrócić tylko chwilowo.

– Oczywiście, że musisz tam wejść i zobaczyć dom. Eliot ma klucz. Prawie co tydzień jadę tam, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, ale przygnębia mnie, że muszę opuszczać mój kochany, mały domek i wracać do tego ponurego miejsca... – Tu zaśmiała się z samej siebie. – Zadręczam się tym, prawda? Ale muszę spróbować wziąć się w garść. Naprawdę będę zadowolona dopiero wtedy, kiedy to wszystko się skończy.

„Kiedy to wszystko się skończy”, miało chyba oznaczać: „Kiedy Grenville umrze”. Nie chciałam jednak myśleć o jego śmierci, tak samo jak nie chciałam myśleć o Jossie w parze z tą nieapetyczną Andreą ani o tym, jak to Joss rzekomo miał zająć się biurkiem davenport i krzesłem chippendale, czyli załadować je na tył swojej furgonetki i sprzedać pierwszemu handlarzowi, który oferowałby mu dobrą cenę.

„Co ty, co my wszyscy wiemy o Jossie?”

Jeśli idzie o mnie, to wołałabym nie wiedzieć nic. Przewracałam się na łóżku, tłukłam się o

poduszki i traciłam już nadzieję, że kiedykolwiek zasnę.

Przez całą noc padało, ale rano było już ładnie, niebo miało odcień wymytego błękitu, a wszystko w chłodnym, wiosennym słońcu było mokre, błyszczące i przezroczyste. Wychyliłam się z okna i wdychałam słodką, mszystą wilgoć. Powierzchnia morza była błękitna i gładka jak sztuka jedwabiu. Mewy leniwie unosiły się nad krawędzią klifu. Z portu wypłynęła łódź rybacka, zmierzając w kierunku oddalonych łowisk. Wokół panowała taka cisza, że nawet z tej odległości słychać było warkot jej motoru.

Poczułam się lepiej na duchu. Dzień wczorajszy minął, a dziś może będzie lepiej. Byłam zadowolona, że choć na trochę wyrwę się z tego domu, dzięki czemu będę z dala od wyrzutów Mollie i denerwującej mnie obecności Andrei. Wzięłam kąpiel, ubrałam się i zeszałam na dół Eliot siedział już w stołowym pokoju i jadł jajka na bekonie. Z wdzięcznością stwierdziłam, że był w dobrym humorze.

Spojrzał w górę znad porannej gazety.

– Ciekaw byłem – zauważył – czy będę musiał iść na górę cię zbudzić. Myślałem, że może zapomniałaś o naszej umowie.

– Ja o niczym nie zapominam.

– Jesteśmy dziś pierwsi na dole. Przy dobrych układach może wyjedziemy stąd, zanim reszta zejdzie – uśmiechnął się z odcieniem skruchy jak skarcony chłopczyk. – Ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłbym w tak pięknym dniu jak dziś, byłyby oskarżenia.

– To była moja wina, niepotrzebnie wspomniałam o tym głupim biurku. Wczoraj wieczorem przeprosiłam za to twoją mamę.

– To wszystko minie – pocieszył mnie Eliot.

– Małe różnice poglądów zawsze dobrze robią. – Słuchając go nalałam sobie kawy. – Przykro mi tylko, że i ciebie w to wmieszano.

Wyjechaliśmy zaraz po śniadaniu. Jazda jego samochodem, z Rufusem wyciągniętym na przednim siedzeniu, dawała uczucie ulgi, gdyż była to jakby ucieczka. Samochód z rykiem silnika rozpedził się pod górę z dala od Boscarvy, w mokrej szosie odbijało się niebo, a w powietrzu unosił się zapach pierwiosnków. W miarę jak wjeżdżaliśmy coraz wyżej we wrzosowiska, rozciągał się przed nami coraz ciekawszy widok. Mijaliśmy pagórki, na których stały odwieczne kopce graniczne lub głązy narzutowe. Małe, zapomniane przez Boga i ludzi wioski tkwiły wciśnięte między doliny niewielkich rzeczulek lub kępy starych wiązków i dębów. Łączyły je ze sobą wąskie, łukowate mostki.

Miałam jednak świadomość, że nie będziemy mogli w pełni cieszyć się pięknem dnia ani być na zupełnym luzie, dopóki się do końca nie pogodzimy.

– Wiem, że to wszystko rozejdzie się po kościach – przytaknęłam mu. – Pewnie to nie było hic ważnego, ale musimy jeszcze porozmawiać o wczorajszym wieczorze.

Uśmiechnął się do mnie, patrząc gdzieś w bok.

– A co mamy sobie do powiedzenia na ten temat?

– Choćby to, co Grenville powiedział o jakichś swoich innych wnukach. Myślę, że nie mówił tego serio.

– Może i nie. Może tylko chciał poszczuć nas na siebie nawzajem jak psy.

– Na pewno nawet za tysiąc lat nie zapisałby mi Boscarvy. Przecież nawet mnie nie zna. Dopiero pojawiłam się w jego życiu.

– Rebeko, nie poświęcaj temu ani jednej myśli. Ja też nie mam takiego zamiaru.

– Ale kiedy w końcu to któregoś dnia będzie twoje, powinieneś już chyba zacząć myśleć, co z tym zrobisz.

– Masz na myśli te wszystkie plotki starych ludzi na temat Ernesta Padjowa? Jeśli nie dyrektor banku, to pani Thomas, a jeśli nie ona, to Pettifer...

Z trudem nadałam swemu głosowi obojętne brzmienie.

– Masz zamiar sprzedać ziemię?

– Jeśli to zrobię, przypuszczalnie będzie mnie stać na utrzymanie Boscarvy. Wtedy będę mógł usamodzielnic się finansowo.

– Ale... – starałam się taktownie dobierać słowa – czy te małe, szeregowe domki pana Padlowa nie popsują wszystkiego?

Eliot roześmiał się.

– Jesteś w zupełnym błędzie. To nie miałyby być przedsiębiorstwo budowlane tego rodzaju, jak to na wzgórzu. Wyobrażamy sobie to jako firmę oferującą luksusowy towar, działki o powierzchni dwóch akrów, o ściśle określonych wymogach co do ceny i stylu budowanych domów. Żadnego wycinania drzew, żadnego niszczenia środowiska. Miałyby to być luksusowe domy dla ludzi bogatych, zresztą nie byłoby ich dużo. Czy to brzmi aż tak źle?

– Czy mówiłeś o tym Grenville'owi?

– Nie dopuścił mnie do głosu. Pewnie by nawet nie słuchał. Jego to po prostu nie interesuje.

– Ale gdybyś mu wyjaśnił...

– Całe życie próbuję mu coś wyjaśniać i nigdy mi się to nie udaje. Czy chciałabyś porozmawiać jeszcze o czymś podobnym?

Zastanowiłam się. Na pewno nie chciałam rozmawiać na temat Jossa, więc odpowiedziałam:

– Nie.

Czy moglibyśmy więc zapomnieć o wczorajszym wieczorze i cieszyć się sobą?

Chyba był to dobry pomysł. Uśmiechnęliśmy się do siebie.

– Dobrze! – powiedziałam w końcu. Przejechaliśmy most i zbliżaliśmy się do stromego wjazdu na wzgórze. Eliot fachowo zredukował bieg, posługując się staromodną dźwignią zmiany biegów. Samochód z warkotem silnika wdarł się pod górę, przy czym jego długa, elegancka maska zdawała się celować w niebo.

Dojechaliśmy do Falmouth około dziesiątej rano. Podczas gdy Eliot załatwiał swoje sprawy, ja miałam wolny czas na zwiedzanie miasteczka. Miało ono wystawę południową, było osłonięte od wiatrów północnych, a w ogródkach już kwitły kamelie i pachnące krzewy wawrzynku.

Dzięki temu miasteczko przypominało port nad Morzem Śródziemnym. Wrażenie to potęgował jeszcze błękit tafli morza w tym pierwszym, ciepłym, wiosennym dniu i smukłe maszty jachtów zakotwiczonych w basenie portowym.

Z jakiegoś powodu nabrałam ochoty na zakupy. Dla Mollie kupiłam bukietik frezji, jeszcze w paczkach, z lodyżkami zapakowanymi w wilgotny mech, żeby za szybko nie zwiędły. Grenville'owi kupiłam pudełko cygar, Pettiferowi butelkę owocowego sherry, a Andrei płytę. Na jej okładce umieszczone było zdjęcie zespołu, którego członkowie wyglądali na transwestytów i mieli powieki ozdobione cekinami. Wydawało mi się, że trafiłam w jej gust. Natomiast co do Eliota, zauważyłam, że jego pasek od zegarka jest już przetarty, toteż kupiłam mu nowy, drogi, z ciemnej skóry krokodyla, w sam raz dla niego. Sobie kupiłam tubkę pasty do zębów, gdyż akurat mi się skończyła. A dla Jossa?... Joss nic nie dostał.

Eliot zastał mnie tam, gdzie się umówiliśmy, w hallu dużego hotelu w centrum miasta. Szybko wyjechaliśmy z miasteczka. Minęliśmy Truro i przez labirynt leśnych ścieżek i strumyków wjechaliśmy do wioski o nazwie St. Endon. Było tam pełno białych domków, palm i ukwieconych ogrodów. Droga wiła się w stronę małej zatoczki, a na samym dole, tuż nad wodą, znajdowała się mała restauracyjka położona tak, że wysoka fala musiałaby uderzać o ścianę pod samym tarasem. Na jego krawędzi siedziały rybitwy o oczach żywych i przyjaznych, inne niż dzikie i żarłoczne mewy z Boscarvy.

Usiedliśmy w słońcu, popijając sherry. Wtedy wręczyłam Eliotowi prezent. Zademonstrował aż przesadny zachwyty, wyrzucając stary pasek i natychmiast nakładając ten nowy, z błyszczącej skóry, dopasowując skuwki ostrzem scyzoryka.

– Skąd ci przyszło do głowy, żeby mi zrobić taki prezent?

– Po prostu zauważyłam, że twój pasek był już przetarty, i bałam się, żebyś nie zgubił zegarka.

Odchylił się na oparcie krzesła, obserwując mnie przez stół. Było tak ciepło, że zdjęłam sweter i podwinęłam rękawy koszulowej bluzki. Zapytał:

– Czy kupiłaś prezenty dla wszystkich?

– Tak – odpowiedziałam nieco zakłopotana.

– Myślałem, że masz ze sobą dużo paczek. Czy zawsze lubisz kupować ludziom prezenty?

– To bardzo miło mieć komu je kupować.

– Czy w Londynie jest ktoś taki?

– Raczej nie.

– Nie ma nikogo szczególnego?

– Nie ma i nie było.

– Nie wierzę.

– Kiedy to prawda. – Nie miałam pojęcia, po co mu się tak zwieram. Może rozluźniło mnie ciepło tego dnia, aż zaskakujące swoim dobroczynnym działaniem.

Może to był wpływ sherry, a może skłoniła mnie do tego rodząca się zażyłość ludzi, którzy

wspólnie przeżyli burzę taką jak wczorajsza kłótnia. Jakakolwiek byłaby tego przyczyna, tego dnia łatwo mi się rozmawiało z Eliotem.

– Dlaczego tak jest? – spytał.

Nie wiem. Przypuszczam, że może to mieć coś wspólnego z warunkami, w jakich wyrosłam. Moja matka żyła coraz to z innym mężczyzną, a ja wzrastałam przy nich. A życie w bezpośredniej ich bliskości było najlepszym sposobem na wyzbycie się romantycznych złudzeń.

Uśmieśliśmy się z tego.

– To może mieć swoje dobre i złe strony – podsumował Eliot. – W każdym razie nie możesz zamykać się w sobie, bo nikt nigdy do ciebie się nie zbliży.

– Nie narzekam.

– Chcesz wracać do Londynu?

– Owszem.

– Już wkrótce?

– Chyba tak.

– Czemu nie zostaniesz jeszcze trochę?

– Nie chciałabym nadużywać waszej gościnności.

– Nie robisz tego, a ja przecież ledwo mogłem z tobą porozmawiać. Zresztą jak możesz wracać do Londynu i zostawić to wszystko?... – Wskazał gestem niebo, słońce, taflę wody i oznaki rychłego nadejścia wiosny.

– Nie tyle mogę, co muszę. Mam pracę, która na mnie czeka, mieszkanie, które trzeba odmalować, i życie, które trzeba zacząć od początku.

– Czy to wszystko nie mogłoby poczekać?

– Nie w nieskończoność.

– To nie jest powód do odjazdu. – Nie odpowiedziałam. – Chyba że – kontynuował – zniechęciło cię to, co zaszło wczoraj wieczorem.

Z uśmiechem potrząsnęłam głową, gdyż przecież obiecaliśmy sobie nie wspominać już o tym. Pochylił się nad stołem, podpierając się rękoma.

– Jeśli naprawdę chcesz pracować, znajdziesz pracę i u nas. Jeśli chciałabyś mieć samodzielne mieszkanie, tu też możesz je wynająć.

– Ale dlaczego miałabym tu zostać? – Takie namowy tylko mi pochlebiały.

– Ponieważ byłoby to dobre dla Grenville’a, dla Mollie i dla mnie. Ponieważ sądzę, że wszyscy pragniemy, abyś została. A zwłaszcza ja.

– Ależ, Eliot...

– To prawda. Jest w tobie jakaś wewnętrzna pogoda, nie wiem, czy wiesz o tym. Zauważyłem to już pierwszego wieczoru, kiedy zobaczyłem cię, nie wiedząc, kim jesteś. Podoba mi się kształt twojego nosa, dźwięk twojego śmiechu. W jednej minucie, rozczochrana i w dzinsach, wyglądasz jak uroczy oberwaniec. Po chwili, z warkoczem przez ramię i w takim uroczyście stroju, jak wczoraj wieczorem, wyglądasz jak księżniczka z bajki. Mam uczucie,

jakbym co dzień odkrywał w tobie coś nowego. Dlatego nie chciałbym, żebyś wyjeżdżała. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Przylapałam się na tym, że nie próbuję znaleźć odpowiedzi na tę długą przemowę. Byłam nią zarazem wzruszona i zakłopotana. W każdym razie przyjemnie jest być lubianą i podziwianą, a jeszcze przyjemniej słyszeć o tym.

Eliot, obserwując mnie z za stołu, zaczął się śmiać.

– Z twojej twarzy można wszystko wyczytać. Rumienisz się i nie wiesz, gdzie schować oczy. Skończ już tego drinka i chodźmy do środka na ostrygi. Przrzekam, że już ci nie powiem ani jednego komplementu.

Lunch jedliśmy w niedużej, niskiej sali jadalnej, przy stole, który tak się kiwał na nierównej podłodze, że aż Eliot musiał podłożyć kawałek papieru pod jedną z nóg. Na przystawkę podano ostrygi, potem befszytk i świeżą, zieloną sałatę, a do tego butelkę wina. Aby napić się kawy, ponownie wyszliśmy na słońce. Siedzieliśmy na skraju tarasu, obserwując dwóch bosych i opalonych chłopców, którzy zepchnęli łódkę na wodę i zeglowali po błękitnych wodach zatoki. Patrzyliśmy na pasiasty żagiel wydymany niewidzialnym powiewem w miarę jak łódka, przechylając się, odpływała w stronę lesistego przylądka. Eliot obiecał, że jeśli zostanę w Kornwalii, wypożyczy taką łódkę i będzie mnie uczył żeglarstwa; mielibyśmy wypływać z Porthkerris na połów makreli, a w lecie pokazałby mi różne malownicze zatoczki i inne miejsca niedostępne dla turystów.

Nadszedł w końcu czas odjazdu, gdyż popołudnie ciągnęło się już niemiłosiernie. Byłam śpiąca i przesycona wrażeniami, gdy powoli, przez zapomniane wioski i samo centrum tych okolic, Eliot wiozł mnie do High Cross. Kiedy przybyliśmy na miejsce, zorientowałam się, że jest to sam koniec półwyspu, skutkiem czego wieś północną stroną wychodziła na Atlantyk, a południową na kanał La Manche. Było to tak, jakbym znajdowała się na wyspie, owiana przez wiatry i otoczona morzem.

Autokomis Eliota znajdował się w centrum głównej wioskowej ulicy, trochę cofnięty w stosunku do drogi. Z przodu miał brukowany podjazd ozdobiony misami pełnymi kwiatów. W przeszklonym salonie wystawowym stały wyszykowane, błyszczące samochody. Wszystko wyglądało na nowe, drogie i utrzymane w nienagannym stanie. Kiedy przez podjazd szliśmy do autosalonu, zastanawiałam się, ile gotówki Eliot utopił w to przedsięwzięcie i dlaczego założył tak wyspecjalizowaną firmę z dala od głównych szlaków komunikacyjnych.

Eliot rozsunął połówkę przeszklonych drzwi i weszliśmy do środka, bezszelestnie stąpając po gumowych płytach podłogi. Nie wytrzymałam i spytałam:

– Dlaczego zdecydowałaś się otworzyć swój salon właśnie tutaj? Czy nie lepiej byłoby w Fourbourne, Falmouth albo Penzance?

– Chwył psychologiczny, kochanie. Jeśli wyrobisz sobie dobrą markę, ludzie przyjdą nawet z końca świata, aby kupić twój towar. – Z rozbijającą szczerością dodał: – Poza tym miałem już ten grunt, czy raczej miała go moja matka, i to zachęciło mnie do założenia tutaj firmy.

– Czy wszystkie wozy są na sprzedaż?

– Tak. Nastawiamy się raczej na modele kontynentalne i sportowe. W zeszłym tygodniu mieliśmy tutaj ferrari, ale sprzedaliśmy go dwa dni temu. Był po wypadku, ale pracuje u mnie młody mechanik, który doprowadził go do takiego stanu, że był jak nowy.

Położyłam rękę na błyszczącej, żółtej masce jakiegoś wozu.

– A co to jest?

– Lancia zagato. A tu jest alfa romeo spyder. Wspaniały wóz.

– A to jensen interceptor – wymieniłam markę, którą potrafiłam rozpoznać.

– Chodź zobaczyć warsztat.

Poszłam za nim przez następne przesuwane drzwi na zaplecze autosalonu. To, co zobaczyłam, bardziej mi się kojarzyło z pojęciem garażu. W pomieszczeniu znajdowała się masa rozebranych silników, puszek z olejem, kabli zwisających z sufitu, gołych żarówek, stołów roboczych, starych opon i wózków narzędziowych.

W środku tego wszystkiego stał jakiś młody człowiek pochylony nad szkieletem samochodu z rozebrany silnikiem. Miał na twarzy maskę do spawania, w której wyglądał jak potwór, i operował syczącym, błękitnym płomieniem spawarki. Hałas spawania zagłuszała muzyka z dziwnie małego radia tranzystorowego ustawionego na belce nad stanowiskiem pracy.

Można się było tylko domyślać, że zauważył nas wchodzących lub nie. W każdym razie dopiero kiedy Eliot zgasił radio, osobnik wyłączył spawarkę i rozprostował plecy. Kiedy zdjął maskę, zobaczyłam szczupłego, ciemnowłosego młodego człowieka pobrudzonego olejem, który się dawno nie golił, z długimi włosami i ostrym, żywym spojrzeniem.

– Cześć, Morris – powiedział Eliot.

– Cześć.

– To Rebeka Bayliss, która gości w Boscarvie.

Morris, sięgając po papierosa, spojrzał w moją stronę i kiwnął mi głową. Z uprzejmości powiedziałam: „Cześć”, ale nie otrzymałam odpowiedzi. Zapalił papierosa, po czym wsadził wymyślną zapalniczkę z powrotem do kieszeni zatłuszczonego kombinezonu.

– Myślałem, że będziesz dziś rano – powiedział do Eliota.

– Przecież ci mówiłem, że wyjeżdżam do Falmouth.

– Iz jakim skutkiem?

– Bentley, rocznik 1933.

– W jakim stanie?

– Wygląda dobrze, trochę wdała się rdza.

– Zedrę stary lakier. Któregoś dnia był tu jeden facet i chciał kupić coś takiego.

– Wiem, dlatego to kupiłem. Jutro lub pojutrze pojedziemy go przywieźć.

Zapadła cisza. Morris ponownie włączył tranzystor, może nawet głośniejszy niż przedtem. Spoglądałam na konstrukcję, nad którą pracował, i spytałam Eliota, jaka to pierwotnie była marka wozu.

– Jaguar XJ6 rocznik 1971 pojemność skokowa 4, 2 litra, jeśli chcesz wiedzieć. Kiedy Morris skończy robotę, znów będzie to samo. Ten też jest po wypadku.

Morris wrócił i wszedł pomiędzy nas.

– Co właściwie jest do roboty przy tym wozie? – spytałam go.

– Wyklepać podwozie, ustawić zbieżność kół.

– A co z okładzinami hamulców? – chciał wiedzieć Eliot.

– Można by założyć nowe, ale założyłem stare, abyśmy byli kryci ze względu na gwarancję. Aha, i jeszcze pan Kemback dzwonił z Birmingham...

Zaczęli rozmawiać o firmie. Ogłuszona muzyką rockową, wycofałam się stamtąd i przez salon wystawowy wyszłam na podjazd, gdzie Rufus czekał z cierpliwym dostojeństwem za kierownicą samochodu Eliota. Siadłam obok niego, dopóki nie wrócił Eliot.

– Przepraszam cię, Rebeko, ale musiałem załatwić pewną sprawę. Morris jest dobrym mechanikiem, ale wścieka się, jeżeli wymagam od niego także przyjmowania telefonów.

– Kto to jest ten Kemback? Jeszcze jeden klient?

– Nie całkiem. To facet, który był tu w zeszłym roku na wakacjach. Prowadzi motel i garaż tuż przy szosie M6. Ma tam całą kolekcję starych samochodów i chciałby otworzyć takie małe muzeum jako działalność uboczną oprócz smażenia jajek na bekonie. I chyba chciałby, abym mu to poprowadził.

– Masz na myśli przeniesienie się do Birmingham?

– Chyba to nie brzmi zbyt zachęcająco? Ale coś w tym jest. Chodźmy teraz, pokażę ci dom mojej mamy.

Poszliśmy tam piechotą, gdyż był to tylko kawałek drogi ulicą, a potem krótkim zaułkiem. Za podwójną białą bramą ścieżka prowadziła do niskiego, białego domu przerobionego z dwóch starych, wiejskich chałup o grubych ścianach z kamienia. Eliot wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył drzwi. W środku było chłodno, lecz nie czuć było stęchlizny ani wilgoci. Wnętrze było umeblowane jak luksusowe mieszkanie w Londynie. Na podłodze leżały jasne, puszyste dywany, na ścianach jasne tapety, a kanapy obite były brokatem w kolorze grzybów. Znajdowało się tam też wiele lusterek i kryształowych żyrandoli zwisających z nisko belkowanych sufitów.

Był to właśnie taki dom, jaki sobie wyobrażałam, ale czegoś mi w nim brakowało. Kuchnia wyglądała jak z reklamy, w stołowym pokoju stały mahoniowe meble na wysoki połysk, na piętrze były cztery sypialnie, trzy łazienki, garderoba i olbrzymia bieliźniarka mocno pachnąca mydłem.

Na zapleczu domu znajdowało się małe patio, a dalej ogród opadający w dół aż do żywopłotu. Patrząc na patio, wyobrażałam sobie Mollie, jak przyjmuje tu gości na wiklinowych meblach ustawionych na wybrukowanym dziedzińcu i rozwozi cocktaile Martini wytwornym, przeszklonym wózkiem.

– To idealny dom – stwierdziłam i właśnie to miałam na myśli. Niemniej jednak nie potrafiłabym go pokochać tak, jak już kochałam Boscarwę. Może dlatego, że był aż tak idealny.

Staliśmy naprzeciw siebie w eleganckim salonie i patrzyliśmy sobie w oczy. Ten wspólnie spędzony dzień zdawał się już zbliżać ku końcowi. Chyba Eliot też to czuł i chciał jak najbardziej odwlec ten moment, gdyż zaproponował:

– Mógłbym nastawić czajnik i zrobić ci herbaty, z tym że nie ma tu ani kropli mleka.

– Myślę, że powinniśmy już jechać do domu. Ziewnęłam tak potężnie, aż mnie to zaskoczyło, a Eliot się roześmiał. Wziął mnie za ramiona i stwierdził:

– Jesteś śpiąca.

– Chyba za dużo dziś miałam świeżego powietrza – próbowałam wyjaśnić. – I za dużo wina.

Odchyliłam głowę do tyłu, aby móc mu spojrzeć w twarz, gdyż staliśmy bardzo blisko siebie. Czułam uchwyt jego palców zaciskających się wokół moich ramion. Teraz już się nie śmiał, natomiast wyraz jego głęboko osadzonych oczu był tak miły jak nigdy przedtem.

– To był wspaniały dzień... – zaczęłam i nic więcej nie mogłam już powiedzieć, gdyż zamknął mi usta pocałunkiem.

Kiedy się w końcu odsunął, byłam tak wstrząśnięta, że nie mogłam zrobić nic innego, jak tylko opaść miękko na jego piersi, bliska płaczu, z głupim uczuciem, że tracę panowanie nad sytuacją. Mój policzek był przy jego płaszczu, a jego ramiona obejmowały mnie tak ciasno, że mogłam czuć, jak uderzenia bębna, bicie jego serca.

Usłyszałam jego głos nad moją głową.

– Nie możesz wracać do Londynu. Nie możesz już nigdy stąd odjechać.

Okazało się, że zakupy, które zrobiłam w Falmouth, to był bardzo dobry pomysł. Jakbym przewidziała, że będzie to świetny temat do nieobowiązującej, grzecznościowej konwersacji, która była nam wszystkim potrzebna, aby załagodzić napiętą atmosferę powstałą wskutek tamtego przykrego wieczoru. Mollie była zachwycona frezjami, gdyż w Boscarvie ich uprawa się nie udawała z powodu zbyt silnych i chłodnych wiatrów. Pochwaliła mnie też za ich artystyczne ułożenie i postawiła je na honorowym miejscu, na parapecie kominka w salonie. Pokój wypełnił się ich romantycznym zapachem, a kremowe, różowe i liliowe barwy kwiatów przyciągały wzrok w kierunku portretu Zofii. Można by nawet powiedzieć, że kolory te świetnie uzupełniały się z tonacją skóry modelki i mieniącą się bielą jej sukienki.

– Jakie to piękne – I – powiedziała Mollie, stojąc z tyłu. Nie byłam pewna, czy miała na myśli kwiaty czy portret. – I jakie to miłe z twojej strony, żeś je przyniosła. Czy Eliot pokazał ci nasz dom? Chyba teraz rozumiesz, co czuję, będąc zmuszona mieszkać w tym miejscu. – Mrużąc oczy, obrzuciła mnie troskliwym spojrzeniem. – Myślę, że ten dzień dobrze ci zrobił. Złapałście chyba trochę słońca, bo masz ładne kolorki. Widać, że tutejsze powietrze ci służy.

Pettifer z godnością przyjął ofiarowane mu sherry, ale czułam, że zrobiłam mu tym przyjemność. Grenville odczuł szczególnie złośliwe zadowolenie, gdyż lekarz odradzał mu palenie i Pettifer schował jego stały zapas cygar, z którego, jak przypuszczałam, skąpo mu je wydzielał. Toteż Grenville natychmiast zapalił jedno, rozsiadł się w fotelu i z satysfakcją wydmuchiwał dym z miną człowieka, który nie przejmuje się światem. Nawet Andrei udało mi się dogodzić.

– Ach, „Pełzacze”! Skąd wiedziałas, że to mój ulubiony zespół? Żeby choć był tu adapter, ale oni nie mają, a swój zostawiłam w Londynie. Kurczę, czy oni nie są super? – Zeszła z obłoków na ziemię, kiedy spojrzała na metkę z ceną. – Ale to cię musiało trochę kosztować!

Wyszło tak, jakby moje podarunki ułatwiły zawarcie cichego paktu o nieagresji. Nikt nie wspominał już ani o tamtym fatalnym wieczorze, ani o biurku davenport, o Erneście Padlow czy możliwości sprzedaży farmy w Boscarvie. Nikt też nie wspominał o Jossie. Po kolacji Eliot rozłożył stół, a Mollie wyjęła pudełko z różanego drzewa, w którym był zestaw do gry w mahdżonga. Graliśmy w to do późnej nocy. Andrea usiadła obok Mollie, aby nauczyć się zasad.

Przyszło mi na myśl, że gdyby wszedł tu niespodziewanie ktoś obcy, byłby zachwycony tą idyllą rodzinną. Siedzieliśmy zamknięci w kręgu światła lampy jak muchy uwięzione w bursztynie. Oto wybitny malarz, opromieniony dostojnością swojego wieku, w otoczeniu rodziny: ładnej synowej i przystojnego wnuka; nawet Andrea wykazywała nieco uwagi i zainteresowania dla zawłości gry. Grałam w mahdżonga z matką jeszcze jako dziecko, czasem we czwórkę z dwojgiem jej przyjaciół. Ulgę przynosiło mi wspomnienie dotyku tych kościanych i bambusowych płytek i dźwięku, który wydawały, kiedy mieszałyśmy je na środku stołu, a który przypominał szelest kamyków poruszanych przez morski przypyływ.

Na początku każdej tury budowaliśmy cztery ścianki, każda wysokości dwóch płytek, i stykaliśmy je ze sobą, tworząc kwadrat. Grenville, który nauczył się tej gry jako młody podporucznik w Hongkongu, powiedział nam, że w myśl dawnego przesądu, związanego z tą grą, miało to „trzymać z daleka złe duchy”. Pomyślałam sobie, jakie by to było proste, gdyby w ten sposób można było unieszkodliwić i trzymać na dystans wszelkie strachy, wątpliwości i „trupy w szafie”.

Ulotki i plakaty reklamujące Porthkerris przedstawiały to miejsce na tle błękitnego nieba i morza, z białymi domkami w promieniach słońca i palmą na pierwszym planie, co nasuwało skojarzenia z krajobrazem śródziemnomorskim. Wyobraźnia podsuwała dalsze obrazy, jak jedzenie homara prosto z wody na świeżym powietrzu, brodatych malarzy w fartuchach poplamionych farbami i wysmaganych wiatrem rybaków malowniczych jak piraci, siedzących na pachołkach cumowych, pykających fajki i rozmawiających o ostatnim połowie.

Natomiast w lutym, podczas silnego, północno-wschodniego wiatru, Porthkerris nie miało nic wspólnego z tym obrazem raj.

Morze, niebo i samo miasteczko były jednakowo szare, a w labiryncie wąskich uliczek hulał ostry wiatr. Był to akurat czas przyływu. Wysokie fale rozbijały się o falochron i obryzgiwały ulice, rozpylając sól na oknach domów i wypełniając rynsztoki żółtą pianą przypominającą brudne mydliny.

Miasto robiło wrażenie obłąkanego. Jego mieszkańcy, robiąc zakupy, przemykali szybko po ulicach zapięci pod szyję, pozawijani w co się dało, z twarzami schowanymi w kaptury lub w wysoko podniesione kołnierze palt. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety wyglądali podobnie, wszyscy opatuleni i w gumiakach.

Niebo było tego samego koloru co wiatr. W powietrzu fruwały resztki towarów, zwiędłe liście, gałązki, ścinki papieru, a nawet dachówki zerwane z dachów. Klienci przychodzący do sklepów zapominali, po co tam przyszli, i wdawali się w rozmowę na temat pogody, wiatru i szkód przezeń wyrządzonych.

Znów wybrałam się po zakupy dla Mollie, opierając się wiatrowi, w pożyczonym płaszczu przeciwdeszczowym i gumiakach. Wolałam iść piechotą, gdyż tak czułam się bezpieczniej niż w leciutkim samochodzie Mollie. Teraz już lepiej znałam miasto, więc nie potrzebowałam Andrei jako przewodnika. Zresztą Andrea jeszcze spała, kiedy wychodziłam z Boscarvy, i o to akurat nie można było mieć do niej pretensji. Dzień nie był zachęcający i trudno było uwierzyć, że jeszcze wczoraj siedziałam na dworze w samej bluzce i wygrzewałam się w słońcu, jakby to już był maj.

Zrobiłam wszystkie zakupy i wyszłam od piekarza, kiedy zegar na wieży starego normańskiego kościołka wybił jedenastą. Normalnie w takich warunkach atmosferycznych czym prędzej zawróciłabym do Boscarvy, ale dzisiaj miałam inne plany. Patrząc pod nogi i trzymając ciężki koszyk przewieszony przez ramię poszłam w stronę portu.

Wiedziałam, że galeria sztuki mieści się w dawnej kaplicy baptystów, gdzieś w plątaninie

uliczek w północnej części miasta. Myślałam, że wystarczy po prostu pójść tam i poszukać, ale gdy dotarłam do portu, walcząc z porywami wiatru i bryzgami wody, zauważyłam tam dawny domek rybacki przerobiony na biuro Informacji Turystycznej. Doszłam do wniosku, że zaoszczędzę czasu i wysiłku, jeśli „zasięgnę języka”.

W biurze siedziała zobojętniała na wszystko dziewczyna skulona nad piecykiem olejowym, a mimo to trzęsąca się z zimna, jakby była jedynym rozbitkiem ocalałym z wyprawy arktycznej. Kiedy weszłam, nawet się nie poruszyła, tylko spytała: „Słucham?”, spoglądając przez okulary źle dobrane do kształtu jej twarzy. Było mi jej trochę żal.

– Szukam galerii sztuki.

– A której?

– Nie wiedziałam, że jest ich tu więcej niż jedna. Drzwi za mną otworzyły się, a potem zamknęły, co oznaczało, że dołączył do nas ktoś trzeci. Dziewczyna patrzyła przez moje ramię i za jej wypukłymi szklami zamigotał przeblysł pewnego zainteresowania.

– Jest tu Galeria Miejska i Galeria Malarstwa Współczesnego – wyjaśniła tonem dużo bardziej ożywionym.

– Nie bardzo wiem, którą wybrać.

– Może – zabrzmiał głos za mną – mógłbym tu w czymś pomóc?

Kiedy się obróciłam, za mną stał Joss, w gumowych butach, ociekającej wodą czarnej kurtce i rybackim kapeluszu wciśniętym głęboko na głowę. Twarz miał mokrą od deszczu, ręce w kieszeniach kurtki, a w jego ciemnych oczach lśniła wesołość. Jedna połowa mojej jaźni od razu zauważyła, skąd wzięło się nagle ożywienie ospałej dziewczyny za ladą. Druga zaś połowa była oszołomiona jego nadzwyczajną zdolnością pojawiania się tam, gdzie był najmniej oczekiwany.

Ponieważ pamiętałam wynurzenia Andrei, jak też sprawę biurka i krzesła, powiedziałam tylko chłodno:

– Cześć, Joss!

– Widziałem, jak tu wchodziłaś. Co planujesz robić?

– Pani szuka galerii sztuki – wtrąciła się dziewczyna.

Joss czekał, aż rozwinę ten temat. Ponieważ nie miałam wyboru, kontynuowałam:

– Myślałam, że może są tam jakieś obrazy Grenville’a...

– I dobrze myślałaś, bo trzy tam są. Zaprowadzę cię.

– Nie potrzebujesz mnie prowadzić. Wystarczy, jeśli się dowiem, jak tam trafić.

– Ale ja chciałbym cię tam zabrać. – Zdjął ciężki koszyk z mojego ramienia, uśmiechnął się do dziewczyny z biura i otworzył drzwi.

Do środka wdarł się poryw wiatru i masa powietrza przesyconego morską pianą, wskutek czego plik ulotek informacyjnych sfrunął z lady i rozsypał się po podłodze. Przyspieszyłam kroku, aby nie dopuścić do powstania większych szkód, a wtedy drzwi same się za nami zatrzasnęły. Joss, jakby to było coś najnaturalniejszego w świecie, wziął mnie za rękę i spróbowaliśmy iść środkiem brukowanej jezdni. Joss starał się prowadzić luźną rozmowę nie

zważając na to, że wiatr wyrywał mu dosłownie słowa z ust, lecz nawet trzymając się za ręce trudno było posuwać się do przodu.

Po co, na Boga, zesłaś w taką psią pogodę do miasta?

– Po to, co trzymasz w ręku. To zakupy dla Mollie.

– Nie mogłaś wziąć samochodu?

– Bałam się, że zdmuchnie mnie z szosy.

– A ja – stwierdził – kocham takie dni jak dziś.

– Wyglądał, jakby rzeczywiście kochał być smagany wiatrem, mokry, a równocześnie tryskający życiem.

– Jak minął dzień wczorajszy?

– A co wiesz na ten temat?

– Byłem w Boscarvie i Andrea powiedziała mi, że pojechałaś z Eliotem do Falmouth. W tym miasteczku nic się nie da ukryć. Jeśli nie Andrea, powiedziałaby mi o tym Pettifer albo pani Thomas, albo pani Kernów, albo Panna Bystrooka z Informacji Turystycznej. To dodatkowa atrakcja życia w Porthkerris, że wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

– Zaczynam zdawać sobie z tego sprawę.

Odwróciliśmy się od portu i zaczęliśmy iść brukowaną, stromą drogą pod górę. Po obu stronach domki stały coraz bliżej siebie, przez jezdnię przebiegł kot i wskoczył do piwnicy przez wybitą szybę w oknie. Jakaś kobieta w kapeluszu kształtu rondelka i niebieskim fartuchu szorowała schody przed domem. Na nasz widok pozdrowiła Jossa słowami: „Siemasz, kochasiu”. Na skutek połączonego działania gorącej wody i zimnego wiatru palce jej rąk przypominały różowe serdelki.

Ulica kończyła się niewielkim placykiem, którego nigdy przedtem nie widziałam. Jedną jego stronę zajmował duży budynek przypominający oborę, z łukowatymi oknami osadzonymi wysoko w murze. Drzwi były opatrzone tabliczką „Galeria Sztuki w Porthkerris”. Joss puścił moje ramię, pchnął drzwi i zatrzymał się, by mnie przepuścić. Wewnątrz było nieprzyjemnie zimno, przewiewnie i pusto. Białe ściany były obwieszane obrazami różnych stylów i rozmiarów. Na środku pomieszczenia postawiono dwie duże abstrakcyjne rzeźby, które w tym miejscu wyglądały jak skały odsłonięte przez odpływ. Przy drzwiach stał stolik, na którym leżały stopy katalogów, folderów i egzemplarzy pisma „Studio”. Mimo tak zgrabnie zaaranżowanej ekspozycji w powietrzu wisiał beznadziejny nastrój minionych niedziel.

Joss postawił na podłodze mój koszyk i zdjął rybacki kapelusz, otrząsając go z deszczu, jak pies otrząsa zmoczoną sierść.

– Co więc chciałabyś zobaczyć? – spytał.

– Portrety Zofii.

Rzucił mi *ostre* spojrzenie, odwracając gwałtownie głowę. Natychmiast jednak uśmiechnął się i ponownie nałożył kapelusz, tym razem nasuwając go na oczy jak żołnierz gwardii pałacowej.

– Kto ci powiedział o Zofii?

Ze słodziutkim uśmiechem teraz odpłacałam mu pięknym za nadobne.

– Może pani Thomas, może pani Kernów, a może Panna Bystrooka z Informacji Turystycznej...

– Z taką bezczelnością daleko nie zajedziesz.

– Pettifer powiedział mi, że tu jest jej portret.

– Tak, to tam.

Poszłam za nim na drugą stronę sali. W jej pustce głośnym echem odbijały się kroki naszych stóp w gumiakach.

– O, tu – zatrzymałam się i spojrzałam w górę. To była ona, siedząca w promieniach światła lampy, z jakąś robótką w ręku.

Przez dłuższy czas wpatrywałam się w nią, aż w końcu wydałam z siebie głębokie westchnienie zawodu. Joss spoglądał na mnie spod śmiesznego czubka swego kapelusza.

– Co miało znaczyć to westchnienie?

– Wciąż nie mogę zobaczyć jej twarzy i nie wiem, jak wyglądała. Dlaczego on nigdy nie malował jej twarzy?

– Owszem, malował, i to często.

– Ale ja tego jeszcze nie widziałam. Na każdym obrazie jest albo tył jej głowy, albo ręce, albo też jest tak mała na tle całego obrazu, jakby była plamką bez twarzy.

– Czy to ma znaczenie, jak ona wyglądała?

– Pewnie nie ma, ale po prostu chciałabym wiedzieć.

– Po pierwsze, jak w ogóle dowiedziałas się o jej istnieniu?

– Powiedziała mi o niej matka. Potem także Pettifer. No i widziałam jej portret, który wisi w salonie w Boscarvie. Wygląda na nim tak czarująco i kobieco, że musiała być bardzo piękna. Co prawda Pettifer twierdzi, że nie była wcale piękna, najwyżej atrakcyjna i pełna wdzięku.

Jeszcze raz spojrzeliśmy na portret. Widać na nim było jej ręce i refleksy światła lampy na ciemnych włosach.

– Pettifer mówi, że jej portrety wiszą w różnych galeriach w całym kraju. Będę chyba musiała jeździć od Manchesteru do Birmingham, Nottingham czy Glasgow, dopóki nie znajdę choć jednego, na którym będzie więcej niż tył jej głowy.

– A jeśli znajdziesz, to co wtedy zrobisz?

– Nic. Po prostu wreszcie się dowiem, jak ona wyglądała.

Nie kryjąc rozczarowania, odwróciłam się i zaczęłam iść w stronę drzwi, gdzie czekał mój pełny koszyk. Joss był jednak szybszy, nachylił się i podniósł go.

– Muszę już wracać – powiedziałam.

– Jest dopiero – spojrzał na zegarek – wpół do dwunastej. Jeszcze nie widziałas mojego sklepu. Chodź go zobaczyć, napijemy się kawy i odwiozę cię do domu. Nie możesz przecież z tym ciężarem iść piechotą pod tę górę.

– Mogę, czemu nie.

– Ale ja ci na to nie pozwolę. – Otworzył drzwi. – Chodźmy...

Ponieważ nie mogłam wracać bez koszyka, a on nie miał zamiaru go puścić, nie miałam wyboru i poszłam z nim. Ręce wsadziłam w kieszenie płaszcza, aby nie mógł znów wziąć mnie za rękę. Joss nie wydawał się bynajmniej speszony moją celową niegrzecznością, która już sama przez się mogła wyprowadzić z równowagi. Jednak kiedy wróciliśmy do portu i wpadliśmy znów w szpony wichru, nagle omal nie straciłam równowagi. Joss roześmiał się, wyciągnął moją rękę z kieszeni i ujął w swoją. I jak nie miałam być rozbrojona tym opiekuńczym i pobłażliwym gestem?

Gdy tylko w polu widzenia pojawił się sklep Jossa, w tym charakterystycznym wysokim i wąskim budynku wciśniętym między dwa niskie i szerokie, od razu zauważyłam zmiany, jakie tam zaszły. Framugi okienne były już pomalowane, szyby wystawowe umyte, a nad drzwiami wejściowymi widniała tabliczka z napisem: JOSS GARDNER.

– No i jak to wygląda? – spytał, pęczniąc z dumy.

– Imponująco! – musiałam przyznać.

Wyjął z kieszeni klucz, otworzył drzwi i weszliśmy do środka. Przy ścianach i na posadzce stały paki z towarem. Półki sięgające do sufitu były różnej szerokości. Na środku lokalu stała konstrukcja przypominająca dziecięcą drabinkę do wspinania. Na niej były już ustawione różnego rodzaju artykuły, od nowoczesnego duńskiego szkła i porcelany, poprzez różnokolorowe naczynia kuchenne aż do pasiastych indyjskich kilimów. Ściany były pomalowane na białą, stolarka pozostawiona w naturalnym kolorze drewna, co w połączeniu z szarą posadzką stanowiło efektowne tło dla sprzedawanych tu artykułów. Schody w tylnej części sklepu prowadziły na górne piętro. Pod nimi znajdowały się drzwi, które były uchylone i prowadziły w dół, do czegoś, co wydawało się ciemną piwnicą. Ale to Joss wskazywał drogę.

– Chodźmy na górę!

Poszłam więc za nim, ale po drodze spytałam:

– A co jest za tamtymi drzwiami?

– Mój warsztat, ale teraz jest tam straszny bałagan. Pokażę ci go kiedy indziej.

Doszliśmy do pierwszego piętra, gdzie ledwo można było się poruszyć wśród koszyków i innych wyrobów z wikliny.

– Tego jeszcze nie uporządkowałem, ale jak widzisz, możesz tu kupować koszyki: na drzewo opałowe, na spinacze do bielizny, zakupy, niemowlęta, pranie czy co byś tam jeszcze do nich chciała włożyć.

Nigdzie tu nie było zbyt dużo miejsca. Cały ten wąski dom był właściwie nieco poszerzoną klatką schodową z podestem na każdym piętrze.

– Jeszcze trochę w górę. Jak tam twoje nogi? A teraz wkraczamy do kwatery głównej właściciela tego obiektu.

Minęłam małą łazienkę wciśniętą w zakręt schodów. Ledwie nadążając za długimi krokami

Jossa, przypomniałam sobie, z jakim rozmarzeniem Andrea opisywała to mieszkanie. W duchu żywiłam nadzieję, że okaże się ono zupełnie inne niż w tym opisie. Wtedy wiedziałabym, że był to tylko wytwór jej wyobraźni: „... całkiem jak z ilustrowanego tygodnika. Jest tam takie łóżko podobne do kanapy, z masą poduszek i innych rzeczy, na kominku płoną kłody...”

I w rzeczy samej, tak właśnie to wyglądało. Kiedy weszłam na ostatnie schodki, moje nadzieje szybko się ulotniły. Faktycznie miało to wygląd czegoś zamkniętego i tajemniczego, z mansardowym sufitem schodzącym do samej podłogi i z lukarną w głębi wykuszu, pod którą stało krzeselko. Za ladą podobną do barowej znajdowała się mała kuchenka. Na podłodze leżał stary turecki dywan, a pod ścianą stała otomana przykryta czerwoną narzutą. Zgodnie ze słowami Andrei, była cała zarzucona poduszkami.

Joss postawił na podłodze mój koszyk i rozebrał się z mokrych okryć, wieszając je na staroświeckim wiklinowym wieszaku na kapelusze.

– Zdejmij te mokre rzeczy, zanim się śmiertelnie przeziębisz – zwrócił się do mnie. – Rozpalę w kominku.

– Ja tu nie zostanę, Joss...

– To nie przeszkadza, abym rozpałił w kominku. Zdejmij, proszę, ten płaszcz.

To też w końcu zrobiłam, rozpinając go zgrabiętymi palcami. Zdjęłam też mokry wełniany kapelusz i strząsnęłam warkocz na ramię. Kiedy wieszałam swoje rzeczy tam, gdzie Joss, on już zajął się kominkiem, łamiąc gałązki, zgniatając papier w kulę, zgarniając na kupkę popiół po poprzednim paleniu i zapalając to wszystko długim knotem. Kiedy zaczęło się już tlić, powyjmował z koszyka kilka polan, naniesionych przez przypyływ i ociekających smołą, i ułożył je w stosik wokół płomieni. Bierwiona zasyczały, zapryskały i szybko się zajęły. W świetle płomieni cały pokój odżył. Joss wstał i obrócił się do mnie twarzą:

– A teraz, czego się napijesz? Kawa, herbata, czekolada czy koniak z wodą sodową?

– Może być kawa.

– Dwie kawy już idą!

Znikł za ladą kuchenną, nalał wody do czajnika i zapalił gaz. Podczas gdy wyjmował tacę i filiżanki, podeszłam do mansardowego okna, przyklęłam na krzeselku i poprzez szalejącą burzę wyglądałam na leżącą w dole ulicę. Fale rozbijające się o falochron obryzgiwały ją mgiełką wody. Łodzie w porcie wyskakiwały w górę jak zwariowane korki, a duże mewy polatywały nad ich masztami, przeraźliwie piszcząc na wietrze. Joss zajęty przygotowaniem kawy wykonywał ekonomiczne ruchy z jednego końca kuchenki w drugi, zręczny i zarozumiały jak żeglarz dążący prosto do celu. Póki był zajęty, sprawiał wrażenie nieszkodliwego, ale w opowieściach Andrei denerwujące było głównie to, że wydawały się zawierać ziarno prawdy.

Znałam Jossa dopiero od kilku dni, a już widziałam go chyba w każdym możliwym nastroju. Wiedziałam, że może być zarówno czarujący, jak uparty, zły lub po prostu niegrzeczny. Nietrudno było wyobrazić go sobie jako bezkompromisowego i namiętnego kochanka, jednak wręcz niesmaczne było wyobrażenie jego z Andream.

Nagle spojrzał w górę i jego wzrok napotkał mój. Zrobiło mi się głupio, gdyż przyłapał mnie z moimi myślami. Dla odwrócenia uwagi szybko powiedziałam:

– Przy ładnej pogodzie musi być stąd piękny widok.

– Tak, stąd aż do latarni morskiej.

– W lecie czujesz się tu chyba jak za granicą.

– W lecie jest tu jak na stacji Piccadilly w godzinach szczytu. Ale to trwa tylko dwa miesiące.

Wyszedł zza lady kuchennej, niosąc tacę z parującymi filiżankami, cukierniczką i dzbanuszkami na mleko. Kawa apetycznie pachniała. Joss popchnął nogą do przodu długą ławę, postawił tacę na jednym jej końcu, a sam usiadł na drugim. Tym sposobem mogliśmy siedzieć naprzeciw siebie.

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o dniu wczorajszym – zaczął. – Gdzie jeszcze byliście poza Falmouth?

Opowiedziałam mu o St. Endon i małej knajpce nad zatoką.

– Aha, słyszałem o tym lokalu, ale sam nigdy tam nie byłem. Zjedliście dobry lunch?

– Owszem. A było tak ciepło, że siedzieliśmy na dworze, w słońcu.

– No tak, to południowe wybrzeże. A co było potem?

– Już nic. Pojechaliśmy do domu. Podał mi filiżankę i spodeczek.

– A czy Eliot zabrał cię do High Cross?

– Tak.

– A widziałaś autosalon?

– Tak, i dom Mollie też.

– I co sądzisz o tych eleganckich, rajcownych wózkach?

– Właśnie to, że są eleganckie i rajcowne.

– A widziałaś któregoś z tych typków, którzy tam pracują?

Jego głos był tak pozornie obojętny, aż zaczęło to być podejrzane.

– Którego na przykład?

– Morrisa Tatcombe'a.

– Joss, zaprosiłeś mnie nie na kawę, tylko na przesłuchanie. Chcesz wszystko ze mnie wyciągnąć.

– Już nie będę, przyrzekam. Po prostu jestem ciekawy, czy Morris pracuje u Eliota.

– A co wiesz o tym Morrisie?

– Tylko tyle, że to łobuz.

– Ale jest dobrym mechanikiem.

– To akurat tak. Wszyscy wiedzą, że to jego jedyna cecha pozytywna. Poza tym jest nieuczciwy i zdemoralizowany do szpiku kości.

– Jeżeli jest nieuczciwy, to czemu nie siedzi za kratkami?

– Już siedział. Dopiero co wyszedł.

To mnie zdezorientowało, lecz odważnie brnęłam dalej, robiąc wrażenie bardziej pewnej siebie, niż rzeczywiście byłam.

– A na jakiej podstawie sądzisz, że jest zdemoralizowany?

– Ponieważ któregoś wieczoru wdał się ze mną w kłótnię w barze. Wyszliśmy na dwór i dałem mu w ryja. I całe szczęście, że zrobiłem to pierwszy, gdyż miał już w rękę nóż.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz?

– Ponieważ zapytałaś. Kto nie chce wiedzieć pewnych rzeczy, nie powinien o nie pytać.

– I co mam teraz z tym zrobić?

– Absolutnie nic. Przepraszam, że poruszyłem tę sprawę. Po prostu słyszałem, że Eliot zatrudnił go u siebie, i miałem nadzieję, że to nieprawda.

– Chyba nie lubisz Eliota.

– Ani go lubię, ani nie lubię. Nie mamy ze sobą nic wspólnego. Powiem ci tylko, że on dobiera sobie nieodpowiednich przyjaciół.

Masz na myśli Ernesta Padlowa? Joss obrzucił mnie spojrzeniem, w którym niechęć mieszała się z zachwytem.

– Powiem ci, że nie tracisz czasu. Wiesz już chyba wszystko o wszystkich.

– Wiem o Ernście Padlow, ponieważ widziałam go z Eliotem w tamten pierwszy wieczór, kiedy byliśmy na kolacji „Pod Kotwicą”.

– A właśnie. To już drugie śmierdzące jajo. Gdyby Ernest miał wolną rękę, splantowałby całe Porthkerris i zamienił na parkingi, ani jeden dom nie zostałby na swoim miejscu. A my wszyscy musielibyśmy przenieść się na górę i mieszkać w tych jego śmiesznych budach, które za dziesięć lat będą już przeciekać, osiadać i pękać!

Nie skomentowałam tego wybuchu. Piłam kawę i myślałam, jak miło byłoby rozmawiać nie będąc raptem wciągana w długotrwałe spory, z którymi nie miałam nic wspólnego. Byłam już zmęczona wysłuchiwaniami, jak każdy, którego chciałam polubić, obracał w perzynę reputację wszystkich pozostałych.

Skończyłam kawę^ odstawiłam filiżankę i stwierdziłam:

– Muszę już wracać.

Joss z widocznym wysiłkiem wykrztusił:

– Przepraszam.

– Za co?

– Za to, że straciłem panowanie nad sobą.

– Wiesz, że Eliot jest moim kuzynem?

– Wiem. – Obracał w dłoniach filiżankę, nie patrząc mi w oczy. – Ale, całkiem niezamierzenie, też zostałem uwikłany w sprawy Boscaryy.

– Bylebyś tylko nie wyładowywał swoich uprzedzeń na mnie.

Jego oczy napotkały moje.

– Nie miałem pretensji do ciebie.

- Wiem – wstałam. – Muszę już wracać – powtórzyłam.
- Odwiozę cię do domu.
- Wcale nie musisz...

Nie zwracał uwagi na mój protest, tylko po prostu zdjął mój płaszcz z wieszaka i pomógł mi go nałożyć. Naciągnęłam na uszy mokry wełniany kapelusz i podniosłam swój ciężki koszyk.

W tym momencie zadzwonił telefon.

Joss, już w kurtce, poszedł go odebrać, a ja zaczęłam schodzić w dół. Jeszcze usłyszałam, jak przed podniesieniem słuchawki rzucił mi: „Rebeko, to tylko chwileczka”, a już do słuchawki mówił: „Słucham? Tak, Joss Gardner przy telefonie...”

Zeszłam na parter i do sklepu. Na dworze wciąż padało. Z góry słychać było, że Joss pochłonięty jest rozmową telefoniczną. Trochę znudzona czekaniem na niego, a trochę z ciekawości, pchnęłam uchylone drzwi od warsztatu, zapaliłam światło i zeszłam w dół po czterech kamiennych schodkach.

Był tam bałagan, jak w każdym warsztacie; stoły robocze, wióry, ścinki, różne narzędzia i imadła. Było tam też nieco stłoczonych starych mebli, tak zakurzonych i rozklekotanych, że trudno było stwierdzić, czy przedstawiają jakąś wartość. Komoda nie miała uchwyty przy szufladach, a szafce nocnej brakowało nogi...

Ale w najdalszym zakątku warsztatu, w cieniu, było jeszcze coś. Stało tam biurko davenport w świetnym stanie, a przy nim krzesło w stylu chińskiego chippendale, z siedzeniem pokrytym gobelinowym haftem w kwiaty.

Zrobiło mi się niedobrze, jakbym dostała kopniaka w żołądek. Odwróciłam się i popędziłam po schodkach w górę, wyłączając po drodze światło i zamykając drzwi.

Przeszłam przez sklep i wyszłam na dwór, w tę okropną wichurę paskudnego lutowego dnia.

„To mój warsztat. Jest tam straszny bałagan, pokażę ci go kiedy indziej”.

Szłam, a potem zaczęłam biec pod górę w kierunku kościoła, w gęstwinę małych uliczek, tam gdzie nigdy by mnie nie odnalazł. Biegłam wciąż w górę, obciążona koszykiem, który ciążył mi jak ołów. Serce waliło mi w piersiach, w ustach czułam smak krwi.

Eliot miał rację. Dla Jossa była to łatwa sposobność, więc ją po prostu wykorzystał. To było moje biurko, ale on zabrał je z domu Grenville’a, nadużywając zaufania i grzeczności starego człowieka.

Mogłam sobie wyobrazić, że łatwo by mi przyszło w tej chwili zabić Jossa. Mówiłam do siebie, że nie zamienię z nim już nigdy ani słowa, nawet się do niego nie zbliżę. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak wściekła; na niego, ale jeszcze bardziej na siebie. Na siebie za to, że dałam się tak łatwo zwieść jego zewnętrznemu wdziękowi; za to, że się aż tak pomyliłam. Nigdy jeszcze nie byłam aż tak zła.

Potykaç się, wchodziłam pod górę.

Tylko jeżeli byłam aż tak zła, to dlaczego płakałam?

Droga w górę do Boscarvy była długa i męcząca, tym bardziej że nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się wytrzymać w stanie silnego napięcia emocjonalnego dłużej niż dziesięć minut. Stopniowo, borykając się z fatalną pogodą, uspokoiłam się, otarłam łzy rękawiczką i wzięłam się w garść. Z sytuacji nie do zniesienia prawie zawsze jest jedno wyjście. Zdecydowałam się na nie, jeszcze zanim w końcu dotarłam do Boscarvy. Tym wyjściem był powrót do Londynu.

Postawiłam koszyk z zakupami na stole w kuchni i poszłam na górę do swojego pokoju. Tam zdjęłam wszystkie mokre rzeczy, zmieniłam obuwie, umyłam ręce, na nowo zaplotłam włosy i już spokojnie poszłam szukać Grenville'a. Zastałam go w gabinecie, jak siedział przy kominku i czytał poranną gazetę.

Opuścił ją na kolana i sponad niej patrzył, jak wchodziłam.

– O, Rebeka!

– Witam, jak się czujemy w taki wściekły poranek? – zaszcebiotałam celowo radosnym tonem jak jakaś zwariowana pielęgniarka.

– Och, boli mnie chyba wszystko i wszędzie. Taki wiatr wykańcza człowieka, nawet gdy nie wychodzi na dwór. Gdzie byłaś?

– W Porthkerris. Robiłam zakupy dla Mollie.

– Którą już mamy godzinę?

– Wpół do pierwszej.

– No to napijmy się sherry.

– A wolno ci pić?

– Mam to gdzieś, czy mi wolno czy nie. Wiesz, gdzie jest karafka.

Nalałam dwie szklanki, przyniosłam i ostrożnie ustawiłam na stoliku przy jego fotelu. Przysunęłam sobie taboret i usiadłam naprzeciw niego.

– Grenville – zaczęłam. – Muszę wracać do Londynu.

– Co?

– Muszę wracać do Londynu. – Jego niebieskie oczy zwęziły się, a potężna szczęka wysunęła się naprzód. Czym prędzej więc uczyniłam kozłem ofiarnym mojego szefa Stephena Forbesa. – Nie mogę opuszczać pracy na tak długo. Nie ma mnie tam już prawie dwa tygodnie. Stephen Forbes, u którego pracuję, był tak dobry, że dał mi urlop, ale nie mogę nadużywać jego uprzejmości i dobrego serca. Akurat zorientowałam się, że to już piątek, więc jeżeli przyjadę na weekend do Londynu, będę mogła w poniedziałek rano być w pracy.

– Ale przecież dopiero co przyjechałaś! – Grenville był najwyraźniej zgorzony.

– Jestem tu już od trzech dni. A gość i ryba po trzech dniach śmierdzą.

– Ty nie jesteś dla nas zwykłym gościem, ale córką Lizy.

– Tak, ale mam zobowiązania. Lubię swoją pracę i nie chciałabym jej stracić. – Uśmiechnęłam się, pragnąc zmienić temat. – Teraz, gdy już znam drogę do Boscarvy, kiedy tylko

znajdę trochę wolnego czasu, będę mogła znów przyjechać i pobyc trochę z tobą.

Nie odpowiedział od razu, tylko siedział, nagle postarzały, ze złością wpatrując się w płomienie. W końcu odburknął ponuro:

– Wtedy może mnie już tu nie być.

– Ależ na pewno będziesz!

Grenville westchnął, powoli pociągnął łyk sherry, odstawił szklanekę i z widoczną rezygnacją odwrócił się do mnie.

– Kiedy masz zamiar jechać?

Zaskoczyło mnie, lecz równocześnie ulżyło, że tak łatwo to zaakceptował.

– Może jutro wieczorem. Zarezerwuję sobie miejsce w wagonie sypialnym. Wtedy będę miała całą niedzielę na urządzenie się w mieszkaniu.

– Nie powinnaś mieszkać sama w Londynie. Nie jesteś stworzona do samotnego życia, tylko do męża, domu i dzieci. Gdybym był o dwadzieścia lat młodszy i mógł jeszcze malować, przedstawiałbym cię zawsze na łące lub w ogrodzie, po kolana w trawie z jaskrami i otoczoną dziećmi.

– Może kiedyś tak się stanie. Wtedy dam ci znać. Na jego twarzy odbiło się cierpienie. Nie patrząc mi w oczy powiedział:

– Chciałbym, żebyś została.

Bardzo pragnęłam powiedzieć mu, że też bym chciała, ale jest masa powodów, dla których nie mogę.

– Ja tu jeszcze wrócę – przyrzekłam.

Uczynił widoczny i rozzwierający serce wysiłek, aby zapanować nad sobą. Chrząknął dla oczyszczenia gardła, usadowił się lepiej w fotelu.

– Te twoje nefryty każę Pettiferowi zapakować w pudełko, żebyś mogła je zabrać. A lustro... czy nie jest za duże, abyś mogła je wieźć pociągiem? Powinnaś mieć samochód, wtedy nie byłoby problemów. Masz może jakiś?

– Nie, ale to nie ma znaczenia.

– No i myślę, że to biurko...

– Mniejsza o biurko! – Przerwałam mu z takim impetem, że spojrzał na mnie zaskoczony, nie spodziewając się widać tak złych manier. – Przepraszam – dodałam szybko – ale to naprawdę nie ma znaczenia. Nie zniosłabym, żeby znów wszyscy mieli się klócić z tego powodu. Proszę, zrób to dla mnie i nie wspominaj o tym więcej, nawet nie myśl o tym!

Zamyślił się i obrzucił mnie długim, nieprzerwanym spojrzeniem, że aż musiałam spuścić oczy.

– Uważasz – spytał w końcu – że nie jestem w porządku wobec Eliota?

– Ja tylko myślę, że może nigdy ze sobą nie rozmawiacie ani nie zwierzacie się sobie.

– On byłby zupełnie inny, gdyby Roger nie zginął. Chłopiec potrzebował ojcowskiej ręki.

– A ty nie mogłeś zastąpić mu ojca?

– Mollie nie dawała mi zbliżyć się do niego. A on nigdy nie potrafił zająć się czymś na dłużej. Zmieniał zajęcia jak rękawiczki, aż w końcu jakieś trzy lata temu uchwycił się tego garażu.

– To chyba sukces?

– Używane samochody, też coś! – W jego głosie zabrzmiała nieuzasadniona pogarda. – Powinien był wstąpić do marynarki!

– A jeżeli mu to po prostu nie odpowiadało?

– Na pewno wstąpiłby, gdyby matka mu tego nie odradziła. Ona chciałaby go wiecznie trzymać przy swojej spódnicy.

– No wiesz, Grenville, myślę, że jesteś strasznie staroświecki i niesprawiedliwy.

– Czy pytałem cię o zdanie? – Od razu zrobił się weselszy. Dobra kłótnia działała na Grenville'a jak środek pobudzający.

– Nie obchodzi mnie, czy pytałeś. Powiedziałaś ci, co o tym myślę.

Roześmiał się i lekko uszczypnął mnie w policzek.

– Jakże chciałbym jeszcze móc malować! – westchnął. – Czy nadal chciałabyś zabrać któryś z moich obrazów do Londynu?

Już zaczynałam się bać, że zapomniał o tym.

– Och, bardziej niż cokolwiek innego!

– Możesz wziąć od Pettifera klucz od pracowni. Powiedz mu, że pozwoliłem ci go wziąć. Poszperaj tam sobie, może coś dla siebie znajdziesz.

– Nie pójdziesz tam ze mną?

Ponownie skurcz cierpienia przemknął mu po twarzy.

– Nie! – odburknął opryskliwie i odwrócił się po swoją szklankę sherry. Usiadł, obracając szklankę w rękę i wpatrując się w powierzchnię bursztynowego napoju. – Nie – powtórzył. – Nie pójdę tam z tobą!

Podczas lunchu Pettifer podzielił się z innymi wiadomością o moich planach. Andrea aż zsiniała z zazdrości, że ja wracam do Londynu, a ona musi siedzieć w tej strasznej, nudnej Kornwalii. Natomiast inni, co mnie ucieszyło, byli raczej zmartwieni.

– Czy naprawdę musisz? – to był głos Mollie.

– Tak, naprawdę. Mam dużo pracy i nie mogę jej na tak długo opuszczać.

– Ale nam tu było z tobą tak miło! – Mollie potrafiła być urocza, jeśli tylko nie była agresywna ani zaborcza w stosunku do Eliota, a rozżalona na Grenville'a. Znów przypominała milutkiego, małego kotka, ale teraz wiedziałam, że w jej aksamitnych łapkach kryją się ostre pazury i jest gotowa użyć ich bez skrępowań.

– Mnie też było bardzo przyjemnie...

Pettifer był bardziej bezpośredni. Kiedy po lunchu poszłam do kuchni pomóc mu przy zmywaniu, bez ogródek wygarnął mi, co o tym myśli.

– Nie rozumiem, jak panienka może chcieć teraz odjeżdżać, kiedy już się tu trochę zadomowiła i pan komandor zaczął ją lepiej poznawać? Nie przypuszczałem, że panienka będzie taka...

– Ależ ja tu wrócę, powiedziałam przecież!

– Pan komandor ma już osiemdziesiąt lat i nie będzie żył wiecznie. Jakby panienka się poczuła, gdyby przyjechała tu znowu, a on już by wachał kwiatki od spodu?

– Och, Pettifer, nie mów tak!

– Dobrze panience mówić „Nie mów tak”. A co ja mogę innego zrobić?

– Muszę wracać, bo mam pracę.

– Dla mnie to egoizm.

– Jesteś niesprawiedliwy, Pettifer.

– Przez te wszystkie lata nie widział ani razu własnej córki. Teraz panienka się zjawia i po trzech dniach chce już zniknąć. Czy tak postępuje dobra wnuczka?

Nie odpowiedziałam, bo nie było o czym mówić. Nie cierpiałam czuć się winną ani być o coś oskarżaną. W milczeniu kończyliśmy zmywanie. Kiedy talerze były już czyste i Pettifer wycierał suszarkę mokrą ścierką, spróbowałam wyciągnąć rękę do zgody.

– Naprawdę bardzo mi przykro. Mało tego, że muszę wyjeżdżać, to jeszcze przez siebie czuję się jak ostatnia świnia. I naprawdę jeszcze tu wrócę. Może w lecie on będzie w dobrej formie. Wtedy będzie ciepło i zawieziesz nas gdzieś samochodem...

Mój głos zawisł w próżni. Pettifer starannie powiesił ścierkę na krawędzi zlewu. Mruknął niechętnie:

– Pan komandor mówił, żebym dał panience klucz od pracowni. Nie wiem, co tam można znaleźć, chyba masę kurzu i pajaków.

– Dziadek powiedział, że mogę tam pójść i wybrać sobie jakiś jego obraz.

Powoli wytarł swoje zniszczone, sękatę ręce.

– Muszę znaleźć ten klucz. Dla bezpieczeństwa wołałem go dobrze schować, żeby nie dostał się w niepowołane ręce. W pracowni jest dużo wartościowych rzeczy.

– Mogę tam pójść kiedykolwiek. – Nie byłam w stanie znieść jego widocznej dezaprobaty. – Och, Pettifer, nie gniewaj się na mnie!

W końcu zmiękł.

– Wcale się nie gniewam. Może to ja jestem egoistą. Może to ja nie chciałbym, żeby panienka stąd wyjechała?

Nagle ujrzałam go w innym wcieleniu, nie jako tego niezastąpionego Pettifera, wokół którego kręcił się cały dom, lecz po prostu jako starego człowieka, prawie tak starego jak mój dziadek i chyba równie samotnego. Poczułam dławiący ucisk w gardle i przez moment myślałam, że wybuchnę płaczem, co zdarzyłoby się już po raz drugi w dniu dzisiejszym. Ale wtedy Pettifer wystąpił z ostrzeżeniem: „Tylko niech panienka nie wybierze sobie jakiejś gołej baby, bo to nieprzyzwoite”. To rozładowało napięcie i znowu przyjaźnie uśmiechaliśmy się do siebie.

Tego popołudnia pożyczyłam od Mollie samochód i pojechałam pięć mil na stację kolejową, gdzie kupiłam sobie bilet powrotny do Londynu i miejsce w wagonie sypialnym na nocny pociąg w sobotę. Gwałtowność wiatru nieco się zmniejszyła, lecz pogoda wciąż była sztormowa. Wszędzie widoczne były szkody spowodowane przez burzę; przygięte drzewa, potłuczone inspekty, połamane gałęzie i zrównane z ziemią nasadzenia wczesnych roślin cebulkowych.

Kiedy wróciłam do Boscarvy, zastałam Mollie w ogrodzie, ciepło opatuloną od wiatru (w taką pogodę nawet Mollie nie mogła wyglądać elegancko). Próbowła podwiązywać i ratować co wrażliwsze krzewy rosnące wokół domu. Kiedy dostrzegła samochód, zdecydowała, że na dziś dosyć. Toteż gdy odstawiłam wóz i szłam w kierunku domu, wyszła mi naprzeciw, ściągając rękawice i wpychając kosmyk włosów pod chustkę na głowie.

– Nie mogę już dłużej wytrzymać – oznajmiła. – Ten piekielny wiatr odbiera mi siły. Ale musiałam coś zrobić z tym ślicznym małym wawrzyńkiem, bo porwałoby go na strzępy. A wszystkie kamelie są jak ugotowane, zrobiły się całkiem brązowe. Chodźmy do środka, napijemy się herbaty.

Podczas gdy poszła się przebrać, postawiłam czajnik na gaz i ustawiłam filiżanki na tacy.

– Gdzie jest reszta? – spytałam, kiedy wróciła, jak zawsze nienagannie elegancka, z perłami na szyi i dobranymi do nich kolczykami.

– Grenville uciął sobie drzemkę, a Andrea jest na górze w swoim pokoju... – westchnęła. – Mogę powiedzieć, że ta dziewczyna jest szalenie trudna do prowadzenia. Żeby choć mogła zająć się czymś, zamiast tylko w ten męczący sposób snuć się po kątach! Obawiam się, że pobyt tutaj nic jej nie pomoże. Prawdę mówiąc, od początku tak mi się wydawało, ale moja biedna siostra była tak zrozpaczona... – Rozejrzała się po swojej komfortowo urządzonej kuchni. – Tu jest tak przytulnie. Zjedźmy tutaj podwieczorek! W salonie jest straszny przeciąg, kiedy wieje wiatr od morza, ciężko jest już od wpół do piątej zaciągać zasłony.

Mollie miała rację, w kuchni było znacznie przytulniej. Znalazła serwetę i nakryła do podwieczorku, stawiając na stole ciastka, herbatniki, cukierniczkę i dzbanuszek do mleka. Najwidoczniej nawet przy podwieczorku w kuchni dbała o szczegóły. Wyciągnęła jeszcze dwa fotele na kółkach i już sięgała po czajniczek, gdy w drzwiach stanęła Andrea.

– Andrea, kochanie, przyszedł w samą porę. Dziś jemy podwieczorek w kuchni. Napijesz się herbaty?

– Przepraszam, ale nie mam czasu.

Ta niespodziewanie uprzejma odpowiedź wystrzyła uwagę Mollie.

– Wychodzisz gdzieś? – spytała.

– Tak – odpowiedziała Andrea. – Idę do kina.

Spojrzałyśmy na nią ze zdumieniem, bowiem zdarzyła się rzecz niemożliwa: Andrea nagle postanowiła popracować trochę nad swoim wyglądem! Umyła włosy i związała je z tyłu. Znalazła czystą bluzkę, a nawet, co stwierdziłam z zachwytem, założyła pod nią stanik. Jak zawsze, nosiła na szyi swój celtycki krzyż na rzemyku, ale czarne dzinsy miała odprasowane, a

niezgrabne buty wyczyszczone. Przez ramię przewiesiła płaszcz od deszczu i skórzaną torebkę z frędzlami. Nigdy jeszcze nie widziałam jej tak dobrze wyglądającej. Najważniejsze jednak było, że wyraz jej twarzy nie był nadąsany ani nieżyczliwy, lecz... poważny. Czy w ogóle było możliwe, aby Andrea wyglądała skromnie i poważnie?

– Czy ciocia nie ma nic przeciwko temu? – kontynuowała Andrea.

– Ależ skąd. Na jaki film się wybierasz?

– W kinie „Plaża” grają „Marię królową Szkocji”.

– Idziesz tam sama?

– Nie, z Jossem. Zadzwoił, kiedy ciocia pracowała w ogrodzie. Potem zaprasza mnie na kolację.

– No dobrze – słabym głosem wyszeptała Mollie. Ponieważ czuła, że oczekuje się od niej bardziej wyczerpującego komentarza, dokończyła: – A jak chcesz się tam dostać?

– Na dół zejść piechotą, a z powrotem liczę na to, że Joss mnie odwiezie.

– Masz jakieś pieniądze?

– Mam pięćdziesiąt pensów. To wystarczy.

– No to... – Mollie skapitulowała ostatecznie – baw się dobrze!

– Dziękuję! – Obdarzyła nas obie uśmiechem.

– Do widzenia!

Drzwi zakołysały się za nią.

– Do widzenia! – odrzyknęła Mollie i spojrzała na mnie. – Coś nadzwyczajnego! – skomentowała.

Skupiłam się nad swoją filiżanką herbaty.

– Co jest takie nadzwyczajne? – spytałam z pozorną obojętnością.

– Andrea i... Joss? To znaczy, on zawsze był dla niej miły, ale żeby... umawiać się z nią?

– Nie ma w tym nic dziwnego. Kiedy się umyje i zada sobie trud, żeby się uśmiechnąć, jest całkiem sympatyczna. A do Jossa pewnie uśmiecha się przez cały czas.

– Myślisz, że dobrze zrobiłam, pozwalając jej iść? Jestem w końcu za nią odpowiedzialna...

– Naprawdę nie widzę powodu, żebyśmy jej miały tego zabraniać. W końcu ma siedemnaście lat, nie jest już dzieckiem. Na pewno potrafi dać sobie radę.

– W tym właśnie problem – podsumowała Mollie.

– Na tym zawsze polegały trudności z Andrea.

– Ale wszystko będzie w porządku. Wiedziałam na pewno, że nie będzie w porządku, ale nie chciałam rozwiewać złudzeń Mollie. Zresztą, czy to miało jakieś znaczenie? Jeśli Joss chciał spędzać wieczory, uprawiając miłość przy kominku z tą młodocianą nimfomanką, nie moja to sprawa. Warci byli siebie nawzajem. Można powiedzieć, że dobrali się w korcu maku. Kiedy wypiliśmy herbatę, Mollie założyła schludny fartuszek i zabrała się do szykowania kolacji. Ja sprzątnęłam ze stołu filiżanki i spodeczki, po czym pozmywałam. Wtedy zjawił się Pettifer, dźwigając ogromny klucz, który wyglądał, jakby otwierano nim jakieś lochy.

– Wiedziałem, że schowałem go w bezpieczne miejsce. Znalazłem go na spodzie szuflady w biurku pana komandora – oświadczył.

– Ależ Pettifer, co to jest? – spytała Mollie.

– Klucz do pracowni, proszę pani.

– Na miłość boską, komu to potrzebne?

– Mnie – wtrąciłam się. – Grenville powiedział, że mogę tam pójść i wybrać sobie jakiś obraz, aby go zabrać do Londynu.

– Ależ dziecko, za co się bierzesz. Tam musi być ogromny bałagan, przez dziesięć lat nikt tam nie wchodził.

– Mnie to nie przeszkadza! – Wzięłam klucz, który wydał mi się ciężki jak ołów.

– Chcesz tam iść już teraz? Robi się ciemno i zimno.

– A czy tam nie ma światła?

– Jest, ale raczej ponure. Lepiej poczekać do jutra rana.

Chciałam jednak iść tam już teraz.

– Nic mi się nie stanie. Założę płaszcz.

– W hallu na stole leży latarka. Weź ją z sobą, bo ścieżka w dół ogrodu jest stroma i śliska.

Zapięłam więc szczelnie swój skórzany płaszcz i uzbrojona w latarkę i klucz wyszłam z domu przez drzwi wychodzące na ogród. Wciąż wiał porywisty wiatr od morza, przynosząc ze sobą cienkie strugi zimnego deszczu, tak że miałam trudności z zamknięciem drzwi za sobą. W tak pochmurne popołudnie wcześniej zaczęło się ściemniać, ale było jeszcze wystarczająco jasno, aby ostrożnie zejść w dół bez pomocy latarki. Włączyłam ją dopiero przy drzwiach pracowni, aby móc znaleźć dziurkę od klucza.

Włożyłam klucz do zamka. Przekręcił się z oporami. Przydałoby się go nasmarować. Drzwi ze skrzypem otwały się do wewnątrz. W środku załatywało stęchlizną i wilgocią, co wskazywało na obecność pajęczyn i pleśni. Szybko namacałam wyłącznik i zapaliłam światło. Naga żarówka wisząca wysoko u sufitu wniosła trochę życia, ale natychmiast otoczyły mnie pełzające cienie, gdyż przeciąg poruszał długim kablem od żarówki w tę i z powrotem jak wahadłem.

Kiedy weszłam do środka i zamknęłam drzwi za sobą, cienie powoli się uspokoiły. Wokół mnie, w półmroku, majaczyły jakieś zakurzone kształty, ale po przeciwnej stronie pokoju znajdowała się stojąca lampa z powyginanym i popękany abażurem. Dobrałam się zaraz do niej, znalazłam kontakt i włączyłam ją, przez co od razu wszystko zaczęło wyglądać na trochę mniej opuszczone.

Teraz było widać, że pracownia była dwupoziomowa. Na południowej stronie urządzono sypialnię na galerii, do której prowadziły schodki w kształcie okrętowego trapu.

Weszłam do połowy schodków, skąd zobaczyłam kanapę przykrytą pasiastą narzutą. Nad nią znajdowało się szczelnie zasłonięte okno. Z poduszki wysypywały się pióra, co zapewne było dziełem buszującej tu myszy. W rogu galerii leżały wysuszone zwłoki małego ptaszka. Na ten widok lekko mną wstrząsnęło, toteż zeszłam z powrotem do pracowni.

Wiatr tłukł w wielkie okno od strony północnej. Próbowałam uporać się ze skomplikowanym systemem sznurków służących do podnoszenia zasłon, ale nie dałam rady i okno pozostało zasłonięte.

Na środku pomieszczenia znajdowało się podium dla modeli. Na nim stało coś przykrytego płachtą, co okazało się ozdobnym, połączonym krzesłem. Myszy zajęły się już jego siedzeniem – wokół leżały porzrzucone strzępki czerwonego aksamitu, końskie włosie wymieszane z mysimi kupkami i masą kurzu.

Pod inną płachtą odkryłam stół roboczy Grenville'a. Były tam pędzle, tuby z farbami, palety, nożyki, butelki oleju lnianego i stopy czystych blejtramów, zabrudzonych wskutek upływu czasu. Była tam też mała kolekcja drobnych przedmiotów, które prawdopodobnie zbierał dla zabawy. A więc wypolerowany przez wodę morską kamyk, jakieś pół tuzina muszli i pęczek piór mewich, które przypuszczalnie przechowywał w praktycznym celu czyszczenia fajki. Leżały tam jeszcze poskręcane, wyblakłe zdjęcia, na których nie można było nikogo rozpoznać, błękitno-biała chińska puszcza z ołówkami, buteleczki ze skamieniałym tuszem i kawałek laku...

Poczułam się jak wścibska osoba czytająca cudzy pamiętnik, toteż zakryłam to wszystko z powrotem płachtą i wróciłam do właściwego celu mojej wizyty. Była nim masa nie oprawionych płócien stojących wzdłuż ścian, każde stroną pomalowaną do wewnątrz. Kiedyś też były zasłonięte przed kurzem, ale płachty się z nich ześlizgnęły i leżały pozwijane na podłodze. Kiedy odłożyłam pierwszą kupkę, moje palce natrafiły na pajęczynę, a wielki i obrzydliwy pajak przemknął przez podłogę i znikł gdzieś w cieniu.

Trochę to potrwało. Musiało być około piątej lub szóstej, gdy powyciągałam wszystkie obrazy, odkurzyłam je i ustawiłam w rzędach, opierając o podwyższenie dla modeli. Skierowałam światło koślawej lampy tak, aby je oświetlało. Niektóre miały datę, lecz nie były poukładane w żadnym porządku chronologicznym. Natomiast co do większości nie mogłabym powiedzieć, kiedy ani gdzie zostały namalowane. Wiedziałam tylko, że odzwierciedlały przebieg całej kariery zawodowej Grenville'a, jak też wszystkie jego zainteresowania.

Były wśród nich pejzaże lądowe i morskie, wszystkie możliwe kaprysy oceanu, urocze wnętrza, kilka szkiców z Paryża, kilka wyglądających na wykonane we Włoszech. Można było na nich znaleźć łodzie i rybaków, sceny uliczne z Porthkerris i pewną liczbę nakreślonych węglem podobizn dwojga dzieci, w których rozpoznałam Rogera i Lizę. Nie było natomiast żadnych portretów.

Zacząłam już wybierać, odstawiając na bok te obrazy, które wydawały mi się szczególnie interesujące. W momencie kiedy dotarłam do ostatniego stosiku, około pół tuzina stało już opartych o siedzenie uginającej się kanapy, a ja byłam zakurzona i zmarznięta, z brudnymi rękoma i pajęczynami przyczepionymi do ubrania. Z poczuciem prawie spełnionego obowiązku zabrałam się do sortowania ostatniej kupki płócien. Znalazłam w niej trzy rysunki piórkiem i widok portu z jachtami stojącymi na kotwicy. A potem...

Ostatnie płótno było zarazem największe. Musiałam użyć obu rąk i całej swojej siły, aby

wyciągnąć je z ciemnego kąta i odwrócić stroną pomalowaną do światła. Trzymając obraz pionowo jedną ręką, stanęłam z tyłu, a wtedy ukazała mi się twarz dziewczyny z ciemnymi, lekko skośnymi oczami, śmiejącymi się i pełnymi życia mimo patyny upływających lat. Ujrzałam czarne włosy, wystające kości policzkowe i zmysłowe usta, nie uśmiechnięte, lecz jakby drżące od powstrzymanego uśmiechu. Dziewczyna miała na sobie powiewną, białą sukienkę, tę samą, co na portrecie wiszącym nad kominkiem w salonie Boscarvy.

To była Zofia.

Odkąd moja matka wymieniła jej imię, zafascynowała mnie ta postać. Złość z powodu niemożności dowiedzenia się, jak wyglądała, przerodziła się u mnie wręcz w obsesję. Ale teraz, kiedy znalazłam jej portret i mogłam spojrzeć jej w twarz, poczułam się jak Pandora. Otworzyłam puszkę, z której wydostały się tajemnice. Teraz nie było już sposobu, aby wepchnąć je tam z powrotem i zamknąć wieczko.

Znałam tę twarz. Rozmawiałam z jej właścicielem i kłóciłam się z nim, widziałam ją kwaśną i uśmiechniętą. Te same ciemne oczy widziałam zwężone złością lub błyszczące rozbawieniem.

To był także Joss Gardner.

Od razu zrobiło mi się strasznie zimno. Było już ciemno, a w pracowni atmosfera była wręcz lodowata, ale równocześnie czułam, że krew ucieka mi z twarzy jak woda z umywalki. Słyszałam bicie własnego serca i nagle zaczęły mną też wstrząsać dreszcze. Pierwszym moim odruchem było schować portret w to samo miejsce, gdzie go znalazłam, położyć kilka innych płócien na wierzchu, aby ukryć go tak, jak w powieściach kryminalnych ukrywa się zwłoki.

W końcu jednak sięgnęłam po krzesło i ustawiłam je dokładnie tak, aby portret Zofii był oparty jak na sztalugach. Dopiero wtedy wycofałam się na drżących nogach i ostrożnie usiadłam na skraju uginającej się kanapy.

Zofia i Joss.

Czarująca Zofia i zagadkowy Joss, któremu w końcu nauczyłam się nie ufać.

„Myślę, że wróciła do Londynu, wyszła za męża i miała dziecko”. To powiedział mi Pettifer. Potem, w roku 1942, została zabita podczas niemieckiego nalotu.

Ale Pettifer nie wspomniał o Jossie. A było przecież oczywiste, że Zofię i Jossa łączyła jakaś trudna do rozwikłania więź.

Pomyślałam teraz o moim biurku, czy raczej biurku mojej matki przeznaczonym dla mnie, które było ukryte na zapleczu warsztatu Jossa.

Przypomniałam też sobie słowa Mollie: „Nie wiem, czym ten Joss tak oczarował Grenville’a. To przerażające, tak jakby miał na niego jakiś wpływ”.

Zofia i Joss.

Było już ciemno. Nie miałam zegarka i straciłam całkiem poczucie czasu. Wiatr zagłuszał wszystkie inne dźwięki, toteż nie słyszałam, jak Eliot schodził w dół ogrodu szukając drogi po ciemku, gdyż zabrałam latarkę. Nie słyszałam nic, dopóki nie otworzyły się drzwi, jakby pchnięte porywem wiatru, na skutek czego żarówka znów zaczęła się huścić, co mnie szalenie przestraszyło. W następnym momencie do środka wleciał Rufus i wskoczył na kanapę obok mnie. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że nie jestem sama.

W otwartych drzwiach, na tle ciemności, stał mój kuzyn Eliot. Miał na sobie zamszową marynarkę i bladoniebieski sweter z zapięciem polo, a na ramiona zarzucił przeciwdeszczowy płaszcz jak pelerynę. W tym bezlitosnym świetle jego szczupła twarz straciła cały kolor, a głęboko osadzone oczy wyglądały jak dwie czarne jamy.

– Mama powiedziała, że jesteś tutaj, więc przyszedłem...

Przerwał i zorientowałam się, że zobaczył portret. Nie mogłam wykonać żadnego ruchu, dosłownie zamarłam; zresztą było już za późno, aby cokolwiek zrobić.

Eliot wszedł do środka i zamknął drzwi. Skaczące cienie stopniowo się uspokoiły.

Nikt z nas nie odezwał się ani słowem. Zaczęłam głaskać Rufusa po głowie, odruchowo szukając ucieczki w jego miękkim, ciepłym futrze. Tymczasem Eliot strząsnął z ramion płaszcz,

przewiesił go przez krzesło i powoli zbliżył się, aby usiąść obok mnie. Nie spuszczał przy tym oczu z portretu.

– O, Boże! – przemówił w końcu. Nic na to nie odpowiedziałam.

– Gdzie to znalazłaś?

– W kącie... – mój głos zabrzmiał jak skrzeczenie. Odchrząknęłam i spróbowałam od początku: – Gdzieś w kącie, pod kupą innych płócien.

– To Zofia?

– Tak.

– I przypomina Jossa Gardnera?

– Tak. – Nie dało się zaprzeczyć.

– Nie sądzisz, że on jest jej wnukiem?

– Chyba tak.

– A niech mnie diabli! – Odchylił się do tyłu i wyciągnął przed siebie skrzyżowane nogi, długie i eleganckie. Raptem odprężony, wyglądał jak fachowy krytyk na prywatnej wystawie sztuki.

Zaskoczyło mnie, że odczuwa z tego powodu oczywistą satysfakcję. Wolałam, aby nie myślał, że podzielam to uczucie.

Zacząłam:

– Nie szukałam specjalnie tego obrazu. Chciałam dowiedzieć się, jak ta Zofia wyglądała, ale nie miałam pojęcia, że tu jest jej portret. Przyszłam, aby wybrać sobie jakiś obraz, bo Grenville pozwolił mi wziąć jeden do Londynu.

– Wiem, mama mi mówiła.

– Eliot, nie możemy nikomu o tym powiedzieć... Nie zwracał uwagi na te słowa, tylko sam zaczął mówić: – Wiesz, z tym Jossem zawsze były jakieś dziwne, nie wyjaśnione do końca sprawy. To, w jaki sposób pojawił się w Boscarvie, jakby sfrunął z nieba. To, w jaki sposób Gremdle dowiedział się, że on jest tutaj, dał mu pracę, a praktycznie także zarząd Boscaryą. Nigdy nie ufałam Jossowi bardziej, niż uważałam za stosowne. No i to tajemnicze zniknięcie biurka, które miało być twoje... To wszystko było podejrzane.

Wiedziałam, że powinnam powiedzieć Eliotowi o tym, gdzie znalazłam biurko. Już otwierałam usta, aby mu to powiedzieć, lecz z jakiegoś powodu te słowa nie przeszły mi przez gardło. Zresztą Eliot przez cały czas sam mówił i nie zareagował na moją początkową uwagę.

– Moja matka przysięgłaby, że on wywiera jakąś presję na Grenville'a.

– Masz na myśli coś w rodzaju szantażu?

– Może coś takiego w złagodzonej formie. Na przykład: „Jestem wnukiem Zofii, co możesz zrobić dla mnie?” Pettifer musiał także o tym wiedzieć. Grenville nie miał przed nim żadnych tajemnic.

– Eliot, nie możemy nikomu powiedzieć, że znaleźliśmy ten obraz.

Odwrócił się, aby spojrzeć na mnie.

– Mówisz, jakbyś się o kogoś bała. O Jossa?

– Nie, o Grenville’a.

– Ale przecież lubisz Jossa.

– Nie.

Udał zdziwionego.

– Jak to, przecież wszyscy lubią Jossa. Chyba każdy uległ jego chłopcemu wdziękowi, i Grenville, i Pettifer. Andrea ma fioła na jego punkcie i nie chce się od niego odczepić; no, w jej przypadku to oczarowanie ma bardziej fizyczny charakter. Byłem pewien, że i ty należysz do jego fanklubu! – Uniósł brew. – Ale przynajmniej lubiłaś Jossa.

– Już nie, Eliot.

To go nieco zaintrygowało. Przekręcił się trochę, tak że siedzieliśmy na tej kanapie jakby naprzeciw siebie, a on trzymał rękę na oparciu, nad moim ramieniem.

– Co się stało? – spytał.

Co się miało stać. Nic. Nigdy me traktowałam lekko ani Jossa, ani tych wszystkich zbiegów okoliczności, dzięki którym nasze drogi się krzyżowały. Jednak to on ukradł biurko mojej matki! I to on, właśnie teraz, kombinuje z tą nieapetyczną Andream! Na samą myśl o tym moja wyobraźnia wołała się wyłączyć.

Eliot czekał na moją odpowiedź. Ja jednak tylko wzruszyłam ramionami, potrząsnęłam głową i skwitowałam krótko:

– Zmieniłam zdanie.

– Czy wczorajszy dzień miał z tym coś wspólnego?

– Wczorajszy? – Przypomniałam sobie, jak siedzieliśmy z Eliotem na słonecznym tarasie małej knajpki. Przywołałam na pamięć obraz dwóch chłopców żeglujących łódką po zatoce i obejmujących mnie rąk Eliota, jego pocałunków i wywołanego przez nie wrażenia spadania w przepaść...

Zadrzałam. Trzymałam brudne i zimne ręce na kolanach. Eliot położył na nich swoją dłoń i lekko zdziwionym tonem zauważył:

– Zmarzłaś.

– Tak, siedzę tu już kilka godzin.

– Mama mówiła, że chcesz wracać do Londynu. – Chyba zarzucił już temat Jossa, za co byłam mu wdzięczna.

– Tak, muszę już wracać.

– Kiedy?

– Jutro wieczorem.

– Nic mi o tym nie mówiłaś.

– Do dzisiejszego ranka nie mogłam się zdecydować.

– Chyba lubisz zmieniać zdanie i w jednym dniu podejmować wiele decyzji.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że czas tak szybko ucieka. Nie byłam już w pracy prawie od

dwóch tygodni.

– Wczoraj prosiłem cię, abys została.

– Jednak muszę jechać.

– A co skłoniłoby cię do pozostania?

– Nic. To znaczy... nie mogę... – zaczęłam głupio się jąkać. Byłam w tej chwili zanadto zmarznięta, brudna i zmęczona, aby podjąć tę rozmowę. Może później byłabym w stanie ją kontynuować.

– A czy zostałabyś, gdybym poprosił cię o rękę? Gwałtownie się wyprostowałam. Na mojej twarzy musiał odbić się przestach, gdyż Eliot cofnął głowę i roześmiał się.

– Nie bądź taka przerażona. Małżeństwo to nic strasznego.

– Przecież jesteśmy kuzynami.

– To nie przeszkadza.

– Ależ my me... to znaczy... ty mnie nie kochasz! Przykro powiedzieć, ale Eliot szybko się z tym problemem uporał.

– Rebeko, jakasz się jak wstydliva dziewczynka. A może cię Kocham? Może kochałem cię na długo przedtem, zanim poprosiłem cię o rękę, ale przyspieszyłaś bieg wypadków, oświadczając mi z gruszki, ni z pietruszki, że chcesz wracać do Londynu. Więc jeśli w ogóle miałbym ci to powiedzieć, muszę zrobić to teraz. Chciałbym, abys za mnie wyszła. Myślę, że to bardzo dobry pomysł.

Wbrew sobie, jednak byłam wzruszona. Nikt dotychczas mi się nie oświadczył, więc czułam się mile polechtana. Jednak o ile jedna półkula mego mózgu słuchała Eliota, o tyle druga kręciła się w kółko jak wiewiórka w klatce.

Znajdowaliśmy się przecież w Boscarvie, na tej ziemi, którą Eliot chciał sprzedać Ernestowi Padlow. „Nie jesteś moim jedynym wnukiem...”

Eliot ciągnął dalej:

– Byłoby śmieszne, gdybyśmy powiedzieli sobie „do widzenia” i poszli każde w swoją drogę, kiedy dopiero co się spotkaliśmy i tyle dobrego jest przed nami...

Dopowiedziałam cicho:

– Jak Boscarva.

Uśmiech zastygł mu lekko w kąciakach ust. Uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Boscarva?

– Bądźmy ze sobą szczerzy i uczciwi. Z jakichś powodów potrzebujesz Boscarvy, a obawiasz się, że Grenville mógłby zostawić ją mnie.

Zaczerpnął dużo powietrza, jakby chciał temu zaprzeczyć, ale zawahał się i w końcu wydał z siebie tylko głębokie westchnienie. Uśmiechnął się smutno i przeciągnął ręką po czubku głowy.

– Zrobiłaś się naraz chłodna jak Królowa Śniegu.

– Boscarva jest ci potrzebna, abys mógł sprzedać farmę Ernestowi Padlow, który budowałby tam swoje domki.

Z wahaniem odpowiedział:

– Tak.

Czekałam, co powie dalej.

– Potrzebowałem pieniędzy na budowę garażu. Ponieważ Grenville nie chciał mieć z tym nic wspólnego, zwróciłem się do Padlowa. On zgodził się, ale zawarliśmy taką dżentelmeńską umowę, że farma w Boscarvie będzie zabezpieczeniem.

– Przecież ona jeszcze nie należała do ciebie!

– Ale byłem pewien, że będzie moja, bo niby dlaczego nie miałyby być? Grenville był stary i chory, koniec mógł nastąpić każdego dnia. – Tu rozłożył ręce. – Kto mógł przypuszczać, że po trzech latach jeszcze będzie wśród nas?

– Brzmi to, jakbyś pragnął jego śmierci.

– Starość jest czymś okropnym, samym smutkiem i samotnością. Przeżył tak wspaniałe życie, czego jeszcze teraz ma się kurczowo trzymać?

Nie mogłam zgodzić się z Eliotem. W przypadku Grenville'a starość oznaczała raczej godność i stanowczość. Dopiero co poznałam go, lecz już go pokochałam, jakby był częścią mojej osoby. Nie zniosłabym nawet myśli o jego śmierci.

Spróbowałam jednak zostać przy tonacji praktycznej.

– Czy nie mógłbyś w jakiś inny sposób spłacić Padlowa?

– Mogłem sprzedać garaż. W takiej sytuacji jak teraz może i tak będę musiał to zrobić.

– Myślałam, że interes idzie dobrze.

– Wszyscy powinni tak myśleć.

– A gdybyś go sprzedał, to co byś zrobił?

– A co uważasz, że powinienem zrobić? – spytał takim tonem, jakby mówił do kapryśnego dziecka.

Odpowiedziałam pytaniem:

– Jak mają się sprawy z panem Kembackiem i muzeum starych samochodów w Birmingham?

– Masz fatalnie dobrą pamięć.

– Czy praca u pana Kembacka byłaby czymś tak fatalnym?

– Miałbym opuścić Kornwalię?

– Myślę, że powinieneś zacząć całkiem od początku. Pozostawić Boscarwę i... – Przerwałam, ale pomyślałam sobie, że skoro się powiedziało „a”, to trzeba powiedzieć i „b”, więc dokończyłam: – ... twoją matkę.

Wciąż patrzył na mnie jak na słodką idiotkę.

– Moją matkę?

– Wiesz, co mam na myśli.

Po długiej przerwie Eliot w końcu wydusił:

– Przypuszczam, że rozmawiałaś o tym z Grenville'em.

– Przepraszam cię za to.

– Jedno jest pewne: albo Joss, albo ja. Któryś z nas musi odejść. Jak mówią w westernach: „To miasto jest za małe dla nas dwóch”. Chyba raczej ja odejdę.

– Mniejsza o Jossa. Nie jest wart, aby się nim zajmować.

– A gdybym sprzedał garaż i podjął pracę w Birmingham, czy pojechałabyś tam ze mną?

– Och, Eliot...

Odwrociłam się od niego i znów spojrzałam na portret Zofii. Kiedy napotkałam wzrokiem jej oczy, miałam wrażenie, że to Joss słucha wszystkiego, co mówimy, i śmieje się z nas. W tym momencie Eliot ujął mnie pod brodę i odwrócił moją głowę z powrotem, tak abym musiała patrzeć mu w oczy.

– Słuchasz mnie?

– Tak, słucham.

– Nie musimy od razu być w sobie zakochani, chyba wiesz o tym.

– Zawsze wyobrażałam sobie, że jest to bardzo ważne.

– Nie każdemu to się przydarza. Może tobie nie zdarzy się nigdy.

Była to raczej nieprzyjemna perspektywa.

– Może i nie...

– W takim przypadku – jego głos brzmiał uprzejmie i rozsądnie – przydałby się mały kompromis. Myślę, że to byłoby lepsze niż praca od dziewiątej do piątej przez całe życie i powroty do pustego mieszkania w Londynie.

Dotknął mojego czulego miejsca. Zbyt długo byłam sama, aby nie przerażała mnie wizja samotności przez resztę mojego życia. Jak to powiedział Grenville? „Jesteś stworzona do męża, domu i dzieci”. A teraz to wszystko było w zasięgu mojej ręki, jeśli tylko przyjąłabym propozycję Eliota.

Wymówiłam jego imię, a on objął mnie, przycisnął mocno do siebie i zaczął całować w oczy, policzki i usta. Nie zwracałam już uwagi na to, że portret Zofii patrzy na nas ze ściany. Powtarzałam sobie, że przecież ona nie żyje, a Jossa już wyrzuciłam ze swego życia. Czemu więc miałabym przykładać wagę do tego, co któreś z nich o mnie myśli?

– Musimy już iść – powiedział Eliot. Odsunął mnie od siebie i przyjrzał mi się. – Musisz się wykapać i zmyć te wszystkie brudy z twarzy, a ja muszę wyjąć lód z lodówki i przygotować się do serwowania drinków Grenville’owi i mamie..

– Rzeczywiście. – Wysunęłam się z jego rąk i odgarnęłam z twarzy kosmyk włosów. Byłam śmiertelnie zmęczona. – Która może być godzina?

Eliot spojrzał na zegarek. Pasek, który dostał ode mnie, był wciąż błyszczący i jak nowy.

– Prawie wpół do ósmej. Moglibyśmy tu spędzić całą noc, ale niestety życie ma swoje prawa.

Z wysiłkiem podniosłam się na nogi. Wzięłam portret Zofii i nie patrząc na niego, wsadziłam go z powrotem tam, gdzie był, w ciemny kąt pełen kurzu i pajęczyn, twarzą do ściany. Na wierzchu poukładałam inne obrazy, w przypadkowej kolejności. Wmówiłam sobie, że wszystko

jest znów tak, jak było przedtem. Zrobiliśmy pobieżny porządek, zakrywając obrazy płachtami chroniącymi od kurzu. Eliot wyłączył stojącą lampę, a ja zapaliłam latarkę. Wychodząc z pracowni, wyłączyliśmy światło i zamknęliśmy drzwi na klucz. Eliot wziął ode mnie latarkę i poszliśmy w górę za kręgiem jej światła, po mokrych schodkach, potykając się od czasu do czasu na kępach trawy. Ponad nami wylaniał się z ciemności zarys domu z oświetlonymi oknami błyszczącymi zza firanek. A wokół nas wciąż hulał wiatr, przyginając bezlistne drzewa.

– Nigdy nie przypuszczałem, że sztorm może tak długo trwać – stwierdził Eliot, otwierając boczne drzwi.

W hallu było już ciepło i bezpiecznie, pachniało tam smakowicie kurczakiem w potrawce, który miał być na kolację.

Od tego momentu rozdzieliliśmy się. Eliot poszedł do kuchni, a ja do siebie na górę. Zrzuciłam brudne rzeczy, napuściłam wody do wanny i zanurzyłam się w jej aromatycznej parze. Kiedy wreszcie się rozluźniłam, nie myślałam już o niczym. Byłam tak zmęczona, że mogłam zasnąć w tej wannie, a nawet się w niej utopić. I jakoś ta możliwość wcale mnie nie przerażała.

Jednak nie zasnęłam, gdyż leżąc w wannie usłyszałam, jak przez szum wiatru przebił się warkot nadjeżdżającego samochodu. Okna łazienki wychodziły bowiem na tyły domu, podjazd i drzwi od frontu. Ponieważ nie chciało mi się zaciągnąć zasłon, przez przyćmione szkło okien dojrzałam błysk świateł. Potem usłyszałam trzaśnięcie drzwi i czyjeś głosy. Przerwało mi to kąpiel, więc wyszłam z wanny, wytarłam się i chciałam przejść korytarzem do swego pokoju, lecz stanęłam jak wryta, gdy usłyszałam podniesione głosy dochodzące od podnóża schodów w hallu.

– ... znalazłem ją w pół drogi na wzgórzu... – informował jakiś nie znany męski głos.

Teraz Mollie:

– ... ależ, moje drogie dziecko...

W tym miejscu przerwała jej kakofonia opętanych łkań. Usłyszałam głos Eliota:

– Na miłość boską, dziewczyno... Następnie znów odezwała się Mollie:

– Chodź tu, usiądź przy kominku. Już wszystko dobrze. Nic ci nie grozi...

Przeszłam do pokoju, ubrałam się, zapięłam karczek brązowej tuniki, wyszczotkowałam i zaplotłam włosy – wszystko w ułamkach sekund. Pociągnęłam tylko usta szminką, gdyż nie było czasu na nic więcej. Wsunęłam sandały na bosc stopy i zbiegłam w dół, nakładając po drodze kolczyki.

Kiedy byłam już u dołu schodów, Pettifer pojawił się w drzwiach kuchni, z twarzą jak chmura gradowa. W rękę trzymał kieliszek koniaku. O powadze sytuacji świadczyło, że tym razem nie niósł go na srebrnej tacy.

– Pettifer, co się stało?

– Nie wiem dokładnie, co się stało, ale wygląda na to, że ta dziewczyna dostała hysterii.

– Usłyszałam jakiś samochód. Kto przywiózł ją do domu?

– Morris Tatcombe. Twierdzi, żejechał z Porthkerris do domu, kiedy znalazł ją na jezdni.

Byłam przerażona.

– To znaczy, że leżała na jezdni? Może potrącił ją samochód lub coś w tym rodzaju?

– Nie wiem. Pewnie po prostu upadła.

W drugim końcu salonu gwałtownie otwarły się drzwi i prawie biegiem zbliżyła się do nas Mollie.

– Pettifer, nie stój i nie gadaj, tylko spiesz się z tym koniakiem! – Zauważyła, że stoję całkiem zdezorientowana. – Rebeko, kochanie, stało się coś tak straszego! Muszę zadzwonić po lekarza!

Podeszła do telefonu, przewracając kartki książki telefonicznej, lecz nie mogła nic w niej odczytać, gdyż zapodziała gdzieś okulary.

– Bądź tak miła i pomóż mi znaleźć numer doktora Trevaskisa. Gdzieś go zanotowałam, ale nie mogę znaleźć.

Pettifer odszedł. Wzięłam książkę i zaczęłam szukać numeru.

– Co się stało z Andrea? – spytałam.

– To zupełny koszmar. Ledwo mogę w to uwierzyć. Jakie to szczęście, że Morris ją znalazł, bo mogła tak przeleżeć całą noc. Mogła nawet umrzeć...

– Proszę, już go mam. Lionel Trevaskis. Porthkerris 873.

Przyłożyła rękę do policzka.

– Ależ oczywiście, powinnam była znać go na pamięć. – Podniosła słuchawkę i wykręciła numer. Czekając na połączenie, rzuciła mi szybko: – Idź tam i posiedź trochę przy niej. Mężczyźni tu na nic, oni nigdy nie wiedzą, co robić w takiej sytuacji.

Chociaż odczuwałam dziwną niechęć do poznania szczegółów pechowej przygody Andrei, jednak zrobiłam to, o co Mollie prosiła. W salonie zastałam zupełny galimatias. Grenville, najwidoczniej zakłopotany, stał przed kominkiem z rękoma założonymi do tyłu i nic nie mówił. Pozostali zebrali się wokół kanapy. Eliot nalał Morrisowi drinka i obaj przyglądali się, jak Pettifer, z godną podziwu cierpliwością, próbował wlać Andrei w gardło trochę koniaku.

Natomiast Andrea... Mimo wszystko zaszokował i przeraził mnie jej wygląd. Schludny sweter i odprasowane džinsy były teraz mokre i zabłocone. Przez rozdarcie w džinsach widać było rozcięte, krwawiące kolano, jak u dziecka. Brakowało jej chyba jednego buta. Włosy jak strąki przylgnęły do jej głowy, a twarz, od płaczu, cała pokryta była czerwonymi plamami. Kiedy wymówiłam jej imię, zwróciła w moją stronę spojrzenie dzikich, nabiegłych krwią oczu. Z przerażeniem zauważyłam na jej skroni duży siniec, jakby powstały wskutek gwałtownego ciosu. Zginął również jej celtycki krzyż noszony na rzemyku, prawdopodobnie zerwany w jakiejś niewyobrażalnej walce.

– Andrea!

Wydała z siebie głośny jęk i przekręciła się tak, by przycisnąć twarz do oparcia kanapy. Rozlała przy tym koniak i wytrąciła szklaneczkę z ręki Pettifera.

– Nie chcę o tym mówić! Nie chcę wcale o tym mówić...

– Ależ musisz!

Rozgoryczony Pettifer zabrał szklanekę i wyszedł z salonu. Przypomniałam sobie, że on właściwie nigdy nie lubił tej dziewczyny, i zajęłam jego miejsce obok niej. Usiadłam na brzegu kanapy, ujęłam Andreę za ramiona i próbowałam odwrócić ją twarzą do mnie.

– Czy ktoś ci to zrobił?

Andrea rzuciła się na mnie, konwulsyjnie prężąc ciało.

– Tak! – wykrzyknęła mi prosto w twarz, jakbym była głucha. – To Joss! – Po tym wybuchu pogrzyżała się znowu w powodzi szlochów.

Spojrzałam na Grenville'a, który stał nieporuszony, z kamienną twarzą. Jego rysy w tym momencie wydawały się jakby wyrzeźbione w drewnie. Doszłam do wniosku, że z tej strony nie mam co liczyć na pomoc, więc zwróciłam się do Morrisa Tatcombe'a:

– Gdzie pan ją znalazł?

Przestąpił z nogi na nogę. Zwróciłam uwagę, że ubrany był tak, jakby chciał spędzić wieczór w mieście. Miał na sobie skózaną kurtkę bogato ozdobioną naszywkami, mokrą od deszczu, bardzo obcisłe dzinsy i buty na podwyższonych obcasach. Mimo tych obcasów ledwo sięgał czubkiem głowy do ramienia Eliota, a włosy miał długie i wiszące w strąkach.

Wzruszył ramionami, w geście pełnym zarówno agresji, jak i pewności siebie.

– Gdzieś w połowie drogi na Wzgórze Porthkerris. Tam, gdzie szosa się zwęża i nie ma już chodnika. Leżała do połowy na zakręcie, a do połowy w rowie. Całe szczęście, że ją zauważyłem. Myślałem, że potrącił ją samochód, tymczasem okazało się, że miała sprzeczkę z Jossem Gardnerem.

– On ją zaprosił do kina – wyjaśniłam.

– Nie wiem, jak się to zaczęło – odparł Morris.

– Ale wygląda na to – dokończył grobowym głosem Eliot – że tak się to właśnie skończyło.

– Ależ...

Sprawa wymagała pewnych dalszych wyjaśnień. Już chciałam zacząć o tym mówić, gdy Andrea wydała z siebie kolejny jęk, jak stara płaczka zawodząca nad grobem. Straciłam cierpliwość.

– Na miłość boską, dziewczyno, przestań tak się drzeć! – Złapałam ją za ramiona i lekko potrząsnęłam, aż jej głowa na jedwabnej poduszce zaczęła podskakiwać jak u źle wypchanej, szmacianej lalki. – Uspokój się i powiedz nam, co się stało.

Z jej ust zaczęły wylewać się potoki słów przemieszanych z płaczem. Przez głowę przemknęła mi błyskawiczna myśl: „Dobrze, że przynajmniej nie brak jej zębów”, a po chwili byłam zła na siebie za taką bezduszość.

– Bb.. yliśmy w kk.. kinie, a pp.. otem poszliśmy do baru...

– Do którego baru?

– Nie wiem...

– Jak to? Musisz pamiętać, jaki to był bar! Tracąc cierpliwość, coraz bardziej podnosiłam

głos.

Za moimi plecami Mollie, która nie wiadomo kiedy weszła do pokoju, wtrąciła się:

– Ach, nie krzycz tak na nią. Nie bądź dla niej przykra!

Z wysiłkiem opanowałam się i próbowałam pytać dalej, już łagodniejszym głosem:

– Czy nie możesz sobie przypomnieć, gdzie byliście?

– Nnnie. Bbyło cc. iemno i nn... ie widziałam. A potem... potem...

Przytrzymałam ją mocniej, aby się uspokoiła.

– Dobrze. A co potem?

– Joss wypił dużo whisky i nie mógł odwieźć mnie do domu. Chciał, żebym... ppp... poszła do niego do mieszkania... i...

Jej usta znów wykrzywiły się w podkówkę, a rysy rozpląły się w niepohamowanym płaczu. Nie przeszkadzałam jej w tym i wstałam, ustępując miejsca Mollie.

– No... – zaczęła. – No, dobrze już, dobrze. – Jej głos brzmiał łagodniej niż mój, był bardziej uspokajający i macierzyński. – Teraz nie musisz się o nic martwić. Doktor jest już w drodze, a Pettifer szykuje ci butelkę z gorącą wodą do łóżka. Nie musisz już więcej z nami rozmawiać ani mówić o tym.

Uspokojona tonem głosu Mollie Andrea najwidoczniej zapragnęła jednak wyrzucić to wszystko z siebie. Toteż, wśród niekończących się westchnień i łkań, usłyszeliśmy dalszy ciąg tej historii.

– Nnn... ie chciałam z nim iść. Chciałam wracać do domu... i... odeszłam od niego. Poszedł za mną. Próbowałam bbb... biec i potknęłam się nn... na chodniku, i bb... but mi z... z... zleciał. I wtedy on mnie złapał... i zaczął mi wymyślać... To jj... ja krzyczałam i on uderzył mnie...

Kiedy spoglądałam po twarzach otaczających mnie osób, malowała się na nich ta sama zgroza i konsternacja w różnym nasileniu. Tylko Grenville zachowywał zewnętrzny chłód. I choć w głębi był wściekły, nie wykonał żadnego ruchu, ani nie powiedział słowa.

– No dobrze – odezwała się Mollie głosem tylko lekko drżącym. – Już wszystko w porządku. Chodź na górę.

Andrea, osłabiona i zmaltretowana, próbowała jakoś dźwignąć się z kanapy, ale nogi się pod nią ugięły i zaczęła osuwać się na podłogę. Akurat Morris stał najbliżej i zdążył zapobiec jej upadkowi. Podniósł ją z siłą zadziwiającą jak na swoje wątłe ramiona.

– No właśnie – dodała Mollie. – Morris zanieś cię na górę. Wszystko będzie w porządku. – Zrobiła parę kroków w stronę drzwi. – Tędy, Morris.

– Dobra – odmruknął Morris, nie wykazując zbyt dużego entuzjazmu.

Obserwowałam twarz Andrei. Kiedy tylko Morris zaczął ją nieść, otworzyła oczy i spojrzała prosto na mnie. Nasze spojrzenia zmierzyły się z sobą, wytrzymując się nawzajem. Wtedy już wiedziałam, że kłamała. Ona zaś wiedziała, że ja wiem, iż ona kłamie.

Z głową na piersi Morrisa zaczęła znów płakać, toteż szybko wyniósł ją z pokoju.

Słuchaliśmy ciężkich kroków Morrisa oddalających się wzdłuż hallu, potem w górę po

schodach. Wtedy Eliot odezwał się, jak zwykle używając zręcznych niedomówień:

– Śmierząca sprawa. – Spojrzał spod oka na Grenville’a. – Mam zadzwonić na policję teraz czy później?

Grenville nareszcie przemówił:

– Kto tu coś mówił o dzwonieniu na policję?

– Chyba nie chcesz, aby mu to uszło płazem? Teraz ja się odezwałam:

– Ona kłamie!

Obaj mężczyźni spojrzeli na mnie, mocno zaskoczeni. Oczy Grenville’a zwęziły się i zrobił groźną minę. Eliot zmarszczył czoło.

– Co ty mówisz?

– Część jej opowiadania może być prawdą. Może nawet większość. A jednak ona skłamała.

– Jak to skłamała?

– Sam powiedziałaś, że ona wariowała na punkcie Jossa. Ciągłe mu się narzucała. Mówiła mi, że często bywała u niego w mieszkaniu i musiała to być prawda, gdyż jej opis zgadzał się co do szczegółu. Nie wiem, co wydarzyło się tego wieczoru, ale wiem na pewno, że gdyby Joss chciał, aby do niego poszła – na jedno jego skinienie poleciałaby jak z procy! To nie podlega dyskusji.

– Jak więc – spytał łagodnie Eliot – wytłumaczysz, skąd wziął się ten siniec na jej twarzy?

– Tego nie wiem. Tak jak powiedziałam, nie znam reszty tej historii. Ale jestem pewna, że tę część zmyśliła.

Teraz poruszył się Grenville. Przez dłuższy czas stał, więc powoli podszedł do swego fotela i ostrożnie usiadł.

– Możemy dowiedzieć się, co się naprawdę wydarzyło – powiedział w końcu.

– Jak? – To pytanie Eliota zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu.

Grenville pokręcił głową i wbił wzrok w Eliota.

– Możemy zapytać Jossa.

Eliot wydał dźwięk, który autorzy staroświeckich powieści zapisywali jako „phi!”

– Powinniśmy go zapytać i wtedy dowiemy się prawdy.

– On nawet nie wie, co oznacza słowo „prawda”!

– Nie masz podstaw do wygłaszania takich twierdzeń.

Eliot nie wytrzymał.

– Na miłość boską, czy trzeba rzucić ci prawdę w twarz, abyś w nią uwierzył?

– Nie podnoś na mnie głosu!

Eliot w milczeniu spoglądał na starszego pana z niedowierzaniem i niesmakiem. Kiedy zdecydował się na odpowiedź, mówił prawie szeptem.

– Mam już dość Jossa Gardnera. Nigdy go nie lubiłem ani nie ufałem mu. Uważam, że to hochsztapler, złodziej i oszust, a wiem, że mam rację. Któregoś dnia sam się przekonasz, że mam rację. Akceptuję fakt, że ten dom należy do ciebie. Ale nigdy nie zaakceptuję prawa tego

człowieka do zawładnięcia tym domem, a zarazem i nami tylko dlatego, że przypadkowo się tu znalazł...

Musiałam mu przerwać:

– Eliot! – Odwrócił się do mnie, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o mojej obecności. – Eliot, proszę, nie mów już nic więcej!

Spojrzał na swoją szklankę i jednym łykiem dopił jej zawartość.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Na razie nie powiem już nic więcej.

Kiedy poszedł, aby nalać sobie jeszcze whisky, do salonu wrócił Morris Tatcombe.

– Będę już leciał – powiedział stając za Eliotem.

Ten odwrócił się i dostrzegł go.

– A jak z nią? Wszystko w porządku? – spytał.

– Tak, jest w swoim pokoju. Twoja matka jest przy niej.

– Napij się jeszcze przed odjazdem.

– Nie, lepiej będzie, jak już sobie pojadę.

– Nie wiemy, jak ci dziękować. Pomyśleć tylko, co mogłoby się stać, gdybyś jej nie zauważył... – Nie dokończył zdania, wyczarowując w wyobraźni obrazy Andrei umierającej z przemarznięcia, wyczerpania czy utraty krwi.

– Całe szczęście, że ją znalazłem. – Zaczął się wycofywać, najwidoczniej spiesząc się do wyjścia, lecz nie wiedząc dokładnie, jak do niego trafić.

Eliot zakorkował karafkę, odstawił napełnioną szklankę na stół i przyszedł mu z pomocą.

– Odprowadzę cię do drzwi.

Morris kiwnął głową, przede wszystkim w kierunku Grenville'a i mnie.

– Dobranoc państwu!

Wtedy Grenville z majestatyczną godnością podniósł się z fotela.

– Bardzo dobrze się pan spisał, panie Tatcombe. Jesteśmy panu wdzięczni. Będziemy jeszcze bardziej wdzięczni, jeżeli wersję dziewczyny na temat tego wydarzenia zachowa pan dla siebie, przynajmniej dopóki jej nie sprawdzimy.

Morris popatrzył sceptycznie.

– Takie rzeczy się roznoszą.

– Jestem jednak przekonany, że nie za pańskim pośrednictwem.

Morris wzruszył ramionami.

– To wasza sprawa.

– Oczywiście, że nasza. Dobranoc, panie Tatcombe.

Eliot odprowadził go do drzwi.

Grenville z wysiłkiem usiadł z powrotem na swoim fotelu. Zakrył ręką oczy; widać było, że takie sceny mu nie służą.

– Czy dobrze się czujesz? – zapytałam.

– Tak, dobrze.

Gdybym mogła mu zaufać i przyznać się, że wiem o Zofii i o tym, że Joss jest jej wnukiem... Wiedziałam jednak, że gdyby ktoś miał coś na ten temat powiedzieć, tym kimś byłby on.

– Napijesz się?

– Nie.

Zostawiłam go więc w spokoju i zajęłam się układaniem poduszek na pogniecionej kanapie.

Upłynęło trochę czasu, zanim Eliot wrócił, dziwnie wesoły, jakby zapomniał już o kłótni z Grenville'em. Wziął swojego drinka i podnosząc szklankę w kierunku dziadka wznosił toast.

– Na zdrowie!

– Sądzę, że wszyscy jesteśmy coś winni temu młodemu człowiekowi – zauważył Grenville. – Mam nadzieję, że będziemy mogli jakoś to załatwić.

– Nie przejmowałbym się zbytnio Morrisem – odparł luźno Eliot. – Wydaje mi się, że on da sobie ze wszystkim radę. A Pettifer prosił mnie, aby powiedzieć wam, że kolacja jest gotowa.

Jedliśmy sami we trójkę, gdyż Mollie siedziała przy Andrei. Doktor przybył w trakcie kolacji i Pettifer zaprowadził go na górę. Później usłyszeliśmy, jak w hallu mówił coś do Mollie, potem ona odprowadziła go do drzwi i przyszła do stołowego pokoju powtórzyć nam, co lekarz powiedział.

– Oczywiście jest w szoku. Dostała środek uspokajający, no i będzie musiała przez dzień, dwa poleżeć w łóżku.

Eliot podsunął jej krzesło, na które opadła, wyraźnie wyczerpana i roztrzęsiona.

– Pomyśleć tylko, coś takiego. Co ja powiem jej matce?

– Pomyślisz o tym jutro – uspokajał ją Eliot. – Dziś daj sobie spokój.

– To taka straszna historia. Przecież ona jest jeszcze dzieckiem, ma dopiero siedemnaście lat. Co ten Joss sobie myślał? Musiał być niepoczytalny!

– Przypuszczalnie był pijany – podsunął Eliot.

– Chyba tak, pijany i szalony.

Grenville i ja nie odezwaliśmy się ani słowem. Wytworzyła się między nami jakby zmowa milczenia, co nie oznaczało, że przebaczyłam Jossowi i puściłam w niepamięć to wszystko, co zrobił. Pewnie później Grenville wzięłyby go na spytki i prawda wyszłaby na jaw. Ale do tego czasu przypuszczalnie byłabym już z powrotem w Londynie.

Na razie jednak byłam wciąż tutaj... Powoli zaczęłam obgryzać kiść winogron. To mogła być już moja ostatnia kolacja w Boscande i wcale nie byłam pewna, czy odpowiadałby mi taki stan rzeczy. Stałam teraz na rozdrożu i nie miałam pojęcia, w którą stronę powinnam pójść. Wkrótce jednak będę musiała się zdecydować.

Kiedy Eliot użył słowa „kompromis”, miało ono „letni” wydźwięk. Jednak po wydarzeniach dzisiejszego wieczoru słowo to nabrało solidnych podstaw, zabrzmiało bardziej rozsądnie i rzeczowo.

„Jesteś stworzona dla męża, domu i dzieci”.

Kiedy sięgnęłam po swój kieliszek wina, zauważyłam, że Eliot obserwuje mnie z drugiej

strony stołu. Uśmiechał się, jakbyśmy to my byli w zмовie. Jego wyraz twarzy był zarówno tajemniczy, jak i triumfujący. Pewnie podczas gdy myślałam, że przypuszczalnie w końcu wyjdę za niego, on już wiedział, że przypuszczalnie to zrobię.

Przeszliśmy z powrotem do salonu. Siedzieliśmy wokół kominka popijając kawę, gdy zadzwonił telefon.

Sądziłam, że Eliot odbierze, ale siedząc głęboko w fotelu z gazetą i drinkiem, tak się ociągał, że w końcu telefon odebrał Pettifer. Słyszeliśmy, jak otwiera drzwi od kuchni i powoli człapie przez hall. Kiedy dzwonenie ustało, mimowolnie spojrzałam na zegar stojący na parapecie kominka. Dochodziła za kwadrans dziesiąta.

Trochę potrwało, aż zza uchylonych drzwi wyjrzała głowa Pettifera i światło lampy odbiło się w jego okularach.

– Kto dzwonił, Pettifer? – spytała Mollie.

– To do panny Rebeki.

– Do mnie? – Byłam zaskoczona. Eliot też się zdziwił.

– Kto może dzwonić do ciebie o tej porze?

– Nie mam pojęcia.

Idąc do telefonu, myślałam, że to może Maggie ma mi coś do zakomunikowania w związku z mieszkaniem. A może Stephen Forbes chciałby dowiedzieć się, kiedy mam zamiar wrócić do pracy. Czułam się winna wobec niego, gdyż powinnam była być z nim w kontakcie i dać mu znać, na kiedy planuję powrót do Londynu.

Siadłam na komodzie w hallu i podniosłam słuchawkę.

– Halo?

Usłyszałam piskliwy głos, który brzmiał, jakby dochodził z bardzo daleka.

– Ach, panno Bayliss, szliśmy ulicą, a on tam leżał... mój mąż powiedział... wnieśliśmy go do jego mieszkania... nie mamy pojęcia, co się stało. Był cały zalany krwią i ledwo mówił. Chcieliśmy wezwać lekarza... nie pozwolił. Boimy się zostawić go samego... ktoś powinien być przy nim... chociaż mówił, że nic mu nie będzie...

Musiałam być w tym momencie wyjątkowo tępa i ciężko myśląca, gdyż nie od razu skojarzyłam, że to pani Kernów dzwoni z budki telefonicznej na końcu Rybackiego Zaułka, aby zakomunikować mi, że coś złego przydarzyło się Jossowi.

Aż się dziwiłam, lecz i cieszyłam, że potrafię zachować całkowity spokój. Było to tak, jakbym z góry była przygotowana, że coś takiego może się wydarzyć, otrzymała wszystkie niezbędne dyspozycje i dobrze wiedziała, co mam robić. Nie miałam żadnych wątpliwości ani momentów wahania. Sprawa była całkiem prosta – musiałam pojechać do Jossa.

Poszłam na górę do swego pokoju, nałożyłam płaszcz, zapięłam go starannie i zesłam na dół do hallu. Kluczyki od samochodu Mollie leżały tam, gdzie je zostawiłam – na mosiężnej tacy pośrodku stołu.

Kiedy je stamtąd brałam, otworzyły się drzwi od salonu i Eliot podszedł do mnie. Ani przez chwilę nie pomyślałam, że mógłby próbować mnie zatrzymać. Tak jak nie obawiałam się, że ktokolwiek lub cokolwiek mogłoby mnie w tym momencie zatrzymać.

Ponieważ zobaczył, że jestem w płaszczu, spytał:

– Dokąd się wybierasz?

– Do miasta.

– Kto to dzwonił?

– Pani Kernów.

– Czego chciała?

– Joss został ranny. Była z mężem u swojej siostry i wracali portową ulicą do domu, kiedy go znaleźli.

– I co z tego? – Mówił chłodnym tonem i bardzo cicho. Sądził, że mnie zastraszy, ale nic z tego nie wyszło.

– Pożyczam sobie samochód twojej mamy i jadę do niego.

Jego szczupła twarz stężała, a skóra napięła się na wystających kościach policzkowych.

– Zwariowałaś?

– Nie przypuszczam.

Ponieważ nie odpowiedział, włożyłam kluczyki do kieszeni i skierowałam się ku drzwiom. Eliot jednak był szybszy. W dwóch krokach wyprzedził mnie i stanął plecami do drzwi, trzymając rękę na klamce.

– Czy myślisz serio, że pozwolę ci jechać? – spytał słodziutkim głosem.

– Eliot, on jest ranny!

– No to co? Widziałaś, co zrobił Andrei. To łajdak, Rebeko, wiesz o tym dobrze. Jego babka była irlandzką dziwką, ojciec nie wiadomo kim, a on sam jest bezczelnym podrywaczem!

Te obraźliwe słowa, które miały mnie zaszokować, spłynęły po mnie jak woda po kacze. Mój spokój jeszcze bardziej rozjuszył Eliota.

– Po co chcesz do niego jechać? W czym możesz mu pomóc? On wcale nie będzie ci wdzięczny za mieszanie się w jego sprawy, jeśli liczysz na jego wdzięczność. Zostaw go w spokoju, on nie należy do naszego świata, nie masz się co nim interesować!

Patrzyłam na niego, słuchałam go, ale nic z tego, co mówił, nie trafiało do mnie. Natomiast wiedziałam już na pewno, że koniec z niepewnością i niezdecydowaniem. Poczułam ulgę, jakby wielki ciężar spadł z moich ramion. Wciąż jeszcze byłam na rozdrożu, w moim życiu panował zamęt, ale jedno było już dla mnie aż nazbyt jasne: nigdy nie wyjdę za Eliota!

Mówił tyle o kompromisie, ale dla mnie byłaby to raczej kiepska transakcja. Znałam już takie jego wady, jak słabość charakteru i marna głowa do interesów i byłam skłonna to akceptować. Jednak ciepłe przyjęcie, jakie mi zgotował, jego gościnność i wdzięk, które potrafił wspaniale wykorzystać, odwróciły moją uwagę od innych j. ego cech, takich jak mściwość i zazdrość.

– Puść mnie, Eliot – powiedziałam.

– Myślisz, że powiem ci: „Nie pójdziesz!”? Myślisz, że będę cię zatrzymywał? – Schwycił moją głowę z obu stron w dłonie i ścisnął tak silnie, że miałam wrażenie, jakby moja czaszka pękała jak orzech. – Myślisz, że teraz ci powiem, że zawsze cię kochałem?

Przyprawiał mnie już o mdłości.

– Nie kochasz nikogo poza Eliotem Baylissem. Na nikogo więcej nie ma miejsca w twoim życiu.

– Sądziłem, że zgodziliśmy się co do tego, że to ty byłaś osobą, która nie wie, co to znaczy kochać.

Zacieśnił ucisk. W skroniach zaczęło mi pulsować i zamknęłam oczy, aby łatwiej znieść ból.

– Ale jeśli już kogoś pokocham – wycedziłam przez zaciśnięte zęby – to tym kimś nie będziesz ty.

– Więc dobrze, idź! – puścił mnie tak nagle, że prawie straciłam równowagę.

Z impetem nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Natychmiast wiatr wdarł się do środka, jak jakiś przyczajony potwór, który przez cały wieczór czekał, aby móc się dostać do domu. Na dworze było ciemno i padało. Bez słowa, nie patrząc na Eliota, minęłam go i z nadzieją wyszłam w tę ciemność i deszcz.

Musiałam jeszcze dostać się do garażu, po ciemku uporać się z drzwiami i znaleźć mały samochód Mollie. Byłam przekonana, że Eliot skrada się za mną jak upiór gotowy skoczyć na mnie, aby mnie już nie wypuścić z rąk. Zatrzasnęłam drzwiczki w samochodzie, ale ręce tak mi się trzęsły, że z trudnością trafiłam kluczykiem w stacyjkę. Kiedy pierwszy raz przekręciłam kluczyk, silnik nie zapalił. Słyszałam własny jęk, kiedy wyciągnęłam przycisk ssania i spróbowałam ponownie. Tym razem maszyna zaskoczyła. Wrzuciłam bieg i wystartowałam w górę błotnistym podjazdem, rozbryzgując wokół żwir. W końcu wydostałam się na szosę.

Prowadząc samochód, odzyskałam część swego poprzedniego spokoju. Powtarzałam sobie, że uciekłam od Eliota, że jadę do Jossa, więc muszę kierować ostrożnie, nie wpadając w panikę, aby nie narazić się na poślizg lub kolizję. Zwolniłam do bezpiecznej szybkości trzydziestu mil na godzinę i spokojnie poluzowałam sprzęgło. Droga w dół była czarna i mokra od deszczu. Już zbliżały się światła Porthkerris – jechałam do Jossa!

Przyszedł już odpływ, więc kiedy wjechałam na ulice portu, zobaczyłam światła odbijające się w mokrym piasku i łódzie wyciągnięte na brzeg, poza zasięg sztormu. Ponad moją głową przemykały strzępiaste chmury kropiąc deszczem. Na ulicach było już niewiele osób.

Sklep Jossa był pogrążony w ciemności, tylko na głównej wystawie paliła się pojedyncza żarówka. Zaparkowałam wóz przy krawężniku, wysiadłam i otworzyłam drzwi sklepu. Poczułam zapach świeżego drewna, szurałam stopami po wiórach, których jeszcze było pełno wokół. Dzięki światłu latarni ulicznej widać było schody, więc ostrożnie weszłam na pierwsze piętro.

– Joss! – zawołałam.

Ponieważ nie było odpowiedzi, weszłam dalej na górę, gdzie paliło się przyćmione światło. W kominku nie było napalone, toteż w mieszkaniu panowało przeraźliwe zimno. Poprzez dach słychać było bębnienie deszczu.

– Joss! – powtórzyłam.

Leżał w łóżku, byle jak przykryty kocem. Przedramieniem zasłaniał sobie oczy, jakby raziło go jakieś uporczywe światło. Słyszając mój głos opuścił rękę i nieco uniośł głowę, aby zobaczyć, kto przyszedł. Potem opadł znów na poduszkę.

– O Boże, Rebeka! – usłyszałam jego głos. Podeszłam do łóżka.

– Tak, to ja.

– Słyszałem twój głos i myślałem, że śnię.

– Wołałam cię, ale nie odpowiadałeś.

Jego twarz przedstawiała okropny widok. Lewy policzek był siny i spuchnięty, oko w półprzymknięte. Na rozciętej wardze przyschło trochę krwi, a skóra ze stawów na palcach prawej ręki była całkiem zdarta.

– Skąd się tu wzięłaś? – Mówił niewyraźnie, przypuszczalnie z powodu przeciętej wargi.

– Pani Kernów zadzwoniła do mnie.

– Prosiłem ją, aby nikomu o tym nie mówiła!

– Niepokoiła się o ciebie. Joss, co to było?

– Trafiłem na bandytów.

– Czy coś cię boli?

– Chyba wszystko.

– Niech no zobaczę...

– Kernowowie mnie opatrzyli.

Pochyliłam się nad nim, delikatnie odsuwając koc. Do pasa był nagi, a poniżej żeber owinięty czymś, co przypominało pasy porwane ze starego prześcieradła. Na prawym boku rozpościerała się jednak paskudna rana, z której krew przesiąkała przez bawełniane szmaty.

– Joss, kto ci to zrobił?

Joss nie odpowiedział, natomiast z siłą, dziwną jak na kogoś w takim stanie, uniośł ramię i przyciągnął mnie do siebie, że aż usiadłam na brzegu łóżka. Ponieważ mój długi, jasny warkocz zwiślał mi przez ramię do przodu, Joss, trzymając mnie prawą ręką, równocześnie lewą zsunął

gumkę związującą końce moich włosów. Posługując się palcami jak grzebieniem, rozluźnił i rozplótl pasma włosów, które jak jedwabne frędzle zaczęły muskać jego nagą pierś.

– Zawsze chciałem to zrobić – powiedział z zadowoleniem. – Odkąd pierwszy raz zobaczyłem cię i przypomniałaś mi prymuskę z... jak ja to wtedy nazwałem?

– Z wzorowo prowadzonego sierocińca.

– O, właśnie. Zabawne, że to zapamiętałaś.

– Co mogę zrobić dla ciebie? Przecież musi być coś takiego.

– Zostań tu. Po prostu zostań ze mną, moja najdroższa dziewczynko!

Czułość w głosie Jossa, który zawsze był takim twardzielem, rozbroiła mnie kompletnie. Do oczu napłynęły mi łzy. On zobaczył to i przyciągnął mnie do siebie jeszcze bardziej. Poczułam, jak jego ręka wślizguje się pod włosy i otacza moją szyję.

– Joss, mogę cię urazić...

– Nic nie mów. – Jego usta szukały moich, a kiedy już znalazły, dokończył: – To też zawsze chciałem zrobić.

Stało się jasne, że żadna z jego ran, stłuczenia, krwawienia ani rozcięta warga nie będą w stanie powstrzymać go od tego, do czego dążył.

A ja, chociaż zawsze wyobrażałam sobie, że miłość to coś w rodzaju fajerwerku i eksplozji uczuć, nagle odkryłam, że to zupełnie co innego. To było coś ciepłego, jakby niespodziewanie zaświeciło słońce. I nie miało to nic wspólnego z niekończącym się korowodem mężczyzn przewijających się przez życie mojej matki. Było jak otwarte okno, przez które wyrzuca się złe uczucia: cynizm i uprzedzenia. To było to, dzięki czemu puściły moje ostatnie hamulce. To był Joss.

Wymówił moje imię i w jego ustach zabrzmiało to pięknie.

Już dużo później napaliłam w kominku drzewem naniesionym przez morze, aż pokój rozjaśnił się migocącym światłem. Nie chciałam, aby Joss niepotrzebnie się ruszał, toteż leżał, opierając swą ciemną głowę na rękach, a ja czułam na sobie jego oczy śledzące każdy mój ruch.

Wstałam i odsunęłam się od ognia. Moje rozpuszczone włosy spływały po obu stronach twarzy, a policzki były rozgrzane od ciepła płomieni. Miałam poczucie zadowolenia i ulgi.

– Chyba powinniśmy porozmawiać – odezwał się Joss.

– O, tak.

– Daj mi się czegoś napić.

– A na co masz ochotę?

– Może być trochę whisky. Jest w szafce nad zlewem.

Znalazłam butelkę i dwie szklanki.

– Z wodą sodową czy zwykłą? – spytałam.

– Z sodową. Tam na haczyku wisi otwieracz.

Otworzyłam butelkę, a że zrobiłam to niezgrabnie, kapsel upadł na podłogę i z typową

złośliwością przedmiotów martwych potoczył się gdzieś do kąta. Chciałam go stamtąd wydostać i wtedy zauważyłam inny mały i błyszczący przedmiot, na pół wsunięty pod klapę poniżej zlewu. Gdy to podniosłam, okazało się, że to celtycki krzyż Andrei, ten sam, który nosiła na rzemyku na szyi.

Trzymając go w ręku, nalałam drinki i przyniosłam je Jossowi. Podałam mu szklankę i przyklękłam na podłodze obok łóżka.

– To było pod zlewem – pokazałam mu krzyż. Spuchnięte oko przeszkadzało mu skupić wzrok na czymkolwiek, toteż spojrzał z wyraźnym bólem.

– Co to u licha jest?

– To nosiła Andrea.

– A niech to diabli! – zaklął, a po chwili dodał: – Bądź dobrą dziewczynką i podsuń mi trochę więcej poduszek. Nigdy nie umiałem pić whisky na leżąco.

Zebrałam z podłogi dwie poduszki i podparłam go nimi. Ta czynność musiała być dla niego torturą, gdyż bezwiednie jęknął.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, całkiem dobrze. Gdzie to znalazłaś?

– Już mówiłam, na podłodze.

– Dziś wieczorem ona tu przyszła. Powiedziała, że była w kinie. Pracowałem w warsztacie, bo chciałem dokończyć półki, więc powiedziałem jej, że jestem zajęty. Ale ona wparowała na górę, jakby nie słyszała. Poszedłem za nią i poprosiłem, żeby sobie poszła. Ale skąd! Chciała się czegoś napić, chciała porozmawiać... znasz takie gadki.

– Już kiedyś też tu była.

– Tak, raz, przed południem. Zrobiło mi się jej wtedy żal i poczęstowałem ją kawą. Ale dziś wieczór nie miałem czasu na okazywanie jej współczucia. Powiedziałem, że nie mam ochoty na drinka i poradziłem, żeby poszła do domu. Na to ona, że nie chce tam iść, bo tam nikt jej nie lubi i nie chce z nią rozmawiać, a ja jestem jedynym człowiekiem, z którym może pogadać i który ją rozumie.

– Może rzeczywiście byłeś.

– No więc dobrze, faktycznie było mi jej żal. Kiedy pracowałem w Boscande, pozwalałem jej włóczyć się za mną. Inaczej musiałbym dosłownie wyrzucić ją za drzwi.

– A czy dziś wieczorem ją wyrzuciłeś?

– No, może nie tak dosłownie. W końcu jednak miałem dość jej zwariowanej gadaniny i tej jej pewności, że o niczym innym nie marzę jak tylko, aby wskoczyć z nią do łóżka! Straciłem cierpliwość i powiedziałem jej o tym.

– I co było wtedy?

– Raczej, czego nie było! Krzyki, łzy, oskarżenia, normalna histeria. Wyrzuciła z siebie wszystkie możliwe obelgi, a w końcu rzuciła się na mnie z pięściami. Wtedy zdecydowałem się użyć siły i zepchnąłem ją ze schodów, a za nią rzuciłem jej płaszcz i tę jej ohydłą torbę.

– Ale nie uderzyłeś jej?

– Nie, ale chyba ją przestraszyłem, gdyż wypadła stąd jak oparzona. Słyszałem, jak tupie po schodach tymi swoimi okropnymi chodakami. Myślę, że musiała się pośliznąć, gdyż przy ostatnich kilku schodkach usłyszałem straszny łomot. Zawołałem za nią, aby się upewnić, że nic się jej nie stało, ale usłyszałem tylko, jak wylatuje ze sklepu trzaskając drzwiami, więc pomyślałem, że chyba nic.

– A czy mogła wtedy uderzyć się o coś tak, aby nabić sobie siniaka na twarzy?

– Myślę, że mogła, bo na dole schodów stała paka porcelany. Mogła na nią wpaść... A w ogóle, to czemu o to pytasz?

Opowiedziałam mu dalszy ciąg tej historii. Kiedy skończyłam, wydał z siebie przeciągły gwizd niedowierzania. Ale był również zły.

– To mała dziwka! Wiesz, wydaje mi się, że ona jest nimfomanką.

– Też tak myślę.

– Ciągle opowiadała o jakimś chłopaku imieniem Danus, wywlekając wszystkie intymne szczegóły, nawet najbardziej drastyczne. A teraz to rozprowadanie na wszystkie strony, że zaprosiłem ją do kina! W jej towarzystwie nie chciałbym nawet opróżnić kubła na śmieci... Co się teraz z nią dzieje?

– Położyli ją do łóżka i Mollie wezwała lekarza.

– Jeżeli on jest rzetelnym fachowcem, powinien postawić diagnozę „samonapędzająca się histeria”. Potem powinien przepisać jej dobre lanie i wysłać z powrotem do Londynu. W ten sposób przestałaby nam wszystkim wchodzić w drogę.

– Biedna Andrea. Musi być bardzo nieszczęśliwa. Joss znowu dotknął moich włosów, jakby nie mógł utrzymać rąk przy sobie. Przekręciłam głowę i ucałowani grzbiet jego dłoni wraz z obdartymi kostkami palców.

– Nie uwierzyłaś jej, prawda? – zapytał.

– Ani trochę.

– A czy inni uwierzyli?

– Mollie i Eliot tak. Eliot chciał nawet dzwonić na policję, ale Grenville mu nie pozwolił.

– To ciekawe.

– Dlaczego?

– Kto przywiózł Andreę do domu?

– Myślałam, że już ci mówiłam. Morris Tatcombe, wiesz, ten chłopak, który pracuje u Eliota.

– Morris? A niech mnie... – Urwał w pół zdania i powtórzył: – Morris Tatcombe!

– To co, że on?

– Rebeko, zberz się w kupę i pogłówkuj trochę. Jak myślisz, kto mi dał ten wycisk?

– Chyba nie Morris? – Nie chciałam w to uwierzyć.

– Morris z trzema kumplami. Poszedłem „Pod Kotwicę” napić się piwa i coś zjeść, a kiedy wychodziłem, rzucili się na mnie.

– Poznałeś, że to był Morris?

– A któż by inny? Zagiął na mnie parol od czasu naszej ostatniej sprzeczki, kiedy to wylądował w rynsztoku. Już myślałem, że to był dalszy ciąg tamtego sporu, ale chyba tu chodzi o co innego.

Bez zastanowienia zaczęłam:

– Eliot... – i przerwałam, ale, było już za późno. Joss próbował mnie zachęcić.

– Co ma do tego Eliot?

– Nie, nie chcę nawet o nim mówić!

– Sądzisz, że to on mógł napuścić na mnie Morrisa?

– Nie wiem.

– Mógł, wiesz o tym. Przecież mnie nienawidzi. To się trzyma kupy.

– Hm... myślę, że jest o ciebie zazdrosny. Nie podoba mu się, że jesteś w takiej zażyłości z Grenville'em ani to, że Grenville tak cię lubi. Ale... – Zdenerwowana, obracałam szklanekę w rękę. – Jest jeszcze coś.

– Sądząc po twoim głosie można by przypuszczać, że co najmniej zamordowałaś kogoś. Co tam jeszcze ma być?

– To biurko, które stoi w twoim warsztacie. Zobaczyłam je wtedy, kiedy tu byłam, a ty rozmawiałeś przez telefon.

– Aha, to dlatego tak nagle wyleciałaś wtedy na deszcz! O co tu chodzi?

– To biurko i krzesło w stylu chippendale pochodzą z Boscarvy.

– Wiem o tym.

Zaskoczył mnie spokój, z jakim to powiedział.

– Ale ty ich nie zabrałaś, Joss?

– Nie zabrałem, lecz kupiłem.

– Od kogo?

– Od faceta, który ma sklep z antykami niedaleko Fourbourne. Jakiś miesiąc temu byłem tam na aukcji i w drodze powrotnej wstąpiłem do niego. Wtedy zobaczyłem te rzeczy u niego w sklepie. A że znam już wszystkie meble Grenville'a, stąd wiedziałem, że te były z Boscarvy.

– Kto więc je stamtąd zabrał?

– Przykro mi burzyć twoje złudzenia, ale to twój kuzyn Eliot.

– Ależ Eliot nic o nich nie wiedział!

– Owszem wiedział, i to na pewno. Pamiętam, że stały w jednym z pokoi na poddaszu. Pewnie liczył, że nikt nigdy nie zauważy ich braku.

– Ale dlaczego miałby to zrobić?

– Skoro już bawimy się w szczerłość, to wiedz, moje drogie dziecko, że Eliot jest zadłużony po uszy. Garaż sfinansował głównie Ernest Padlow. Kosztowało to majątek i przez ostatnie dwanaście miesięcy przynosi regularne straty. Nie mam pojęcia, na co Eliotowi było potrzebne akurat pięćdziesiąt funtów, przy takim długu to kropla w morzu. Chyba że potrzebował gotówki

na jakiś bieżący wydatek, może chciał zapłacić rachunek, zagrać na wyścigach, czy ja wiem? Między nami mówiąc, uważam, że on nie nadaje się do prowadzenia własnej firmy. Powinien raczej pracować u kogoś i pobierać regularne wynagrodzenie. Może kiedyś wieczorem, w Boscarvie, przy drinku, spróbujesz go o tym przekonać?

– Nie do twarzy ci z tą ironią.

– Wiem, ale Eliot działa mi na nerwy. Zawsze mi działał.

Miałam niejasne poczucie, że powinnam znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla Eliota.

– Może jemu się wydawało, że Boscarva i wszystko, co w niej jest, należą już do niego, i dlatego myślał, że to nie jest już kradzież...

– Kiedy zauważyliście brak tych rzeczy?

– Jakies dwa dni temu. Chodzi o to, że to biurko należało kiedyś do mojej matki, więc teraz należy do mnie. Dlatego zaczęliśmy go szukać.

– To Eliot miał pecha.

– Na to wyszło.

– I pewnie próbował wam wmówić, że ja je zabrałem?

– Oczywiście – przyznałam ze smutkiem.

– A co na to Grenville?

– Powiedział, że nigdy nie zrobiłbyś czegoś takiego.

– No i znowu się pokłócili?

– Otóż to.

Joss głęboko westchnął i zapadła cisza. Ogień zaczynał przygasać i w pokoju znów zrobiło się zimno. Wstałam, aby dołożyć drewna do ognia, ale Joss mnie zatrzymał.

– Zostaw to.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem. Skończył drinka, odstawił pustą szklankę na podłogę, odrzucił koc i zaczął wstawać z łóżka.

– Joss, nie możesz...

Przyskoczyłam do niego, ale odsunął mnie i powoli, stopniowo stanął na nogi. Wtedy uśmiechnął się do mnie triumfująco, chociaż pobity i potłuczony, w bandażach i pomiętych dzinsach, wyglądał dosyć dziwnie.

– Ruszamy do boju! – zaanonsował.

– Joss, co chcesz zrobić?

– Jeżeli znajdziesz mi jakąś czystą koszulę i parę butów, będę mógł się ubrać. Wtedy zejdziemy na dół, wsiądziemy do mojego wozu i pojedziemy do Boscarvy.

– Przecież nie możesz prowadzić w takim stanie!

– Mogę zrobić wszystko, co zechcę – oświadczył i byłam skłonna w to uwierzyć. – Teraz nie dyskutuj, tylko poszukaj moich rzeczy.

Nie pozwolił mi także wziąć samochodu Mollie. „Zostawimy go tutaj, nic mu się nie stanie. Rano ktoś go przyprowadzi”. Jego furgonetka stała zaparkowana w wąskiej uliczce. Wsiadliśmy,

Joss włączył silnik i wycofał wóz na jezdnię. Musiałam dawać mu wskazówki, w którą stronę ma kręcić kierownicą przy cofaniu, gdyż był zbyt zeszywniały, aby móc obracać się do tyłu. Przejechaliśmy przez miasteczko ulicami, które były mi już znane, przez wszystkie skrzyżowania i dalej pod górę.

Siedziałam patrząc przed siebie, z rękami ciasno splecionymi na kolanach. Wiedziałam, że musimy jeszcze o czymś powiedzieć, i to już, zanim dotrzemy do Boscarvy. Tymczasem Joss, czując się najwyraźniej zadowolony z życia, zaczął podśpiewywać: „Pamiętam dzień, gdy pierwszy raz ujrzałem cię...”

– Joss!

– Co tym razem?

– Jest jeszcze coś.

– Chyba nie kolejny trup w szafie? – Był wyraźnie przerażony.

– Och, nie żartuj.

– Przepraszam. O co chodzi?

Przełknęłam ślinę, aby pozbyć się dziwnego ucisku w gardle.

– Chodzi o Zofię.

– Co znowu z Zofią?

– Grenville dał mi klucz od swojej pracowni, abym wybrała sobie jakiś obraz, który mogłabym zabrać ze sobą do Londynu. Znalazłam tam portret Zofii. Tym razem taki, na którym było widać twarz. Eliot poszedł mnie tam szukać i też to zobaczył.

Tym razem milczenie trwało dłużej. Spojrzałam na twarz Jossa, ale jego profil był nieruchomy, skierowany w stronę drogi przed nami.

– Aha – powiedział w końcu.

– Wygląda zupełnie jak ty, czy raczej ty wyglądasz zupełnie jak ona.

– To normalne, gdyż była moją babcią.

– Tak mi się właśnie wydawało.

– A więc ten portret był w pracowni.

– Czy to dlatego przeniosłeś się do Porthkerris?

– Tak. To była umowa między Grenville’em a moim ojcem. Grenville w połowie sfinansował mój sklep.

– A kim jest twój ojciec?

– Już go widziałas. Tristram Nolan Gardner, właściciel sklepu z antykami na New Kings Road. Kupiłaś u niego dwa krzesła z miękkimi oparciami, pamiętasz?

– A on zobaczył na czeku, że nazywam się Rebeka Bayliss?

– Zgadza się. Dzięki perfidnym pytaniom i odpowiedziom zorientował się, że jesteś wnuczką Grenville’a Baylissa. Dowiedział się też, że w zeszły poniedziałek wyjechałaś pociągiem do Kornwalii...

– I wtedy zadzwonił do ciebie, abyś wyszedł na ten pociąg?

– Zgadza się.

– Ale po co robił to wszystko?

– Ponieważ zaangażował się w tę sprawę, bo wydałaś mu się zagubiona i bezradna. Chciał, żebym na ciebie uważał.

– Nadal nic nie rozumiem.

– Wiesz co? – zagadnął nagle. – Bardzo cię Kocham.

– Czy za to, że jestem głupia?

– Nie, ale za to, że jesteś tak uroczo naiwna. Zofia była nie tylko modelką, ale i kochanką Grenville'a. Mój ojciec przyszedł na świat w początkach trwania ich związku, na długo przed urodzeniem się twojej matki. Zofia wyszła później za swego dawnego kolegę z lat dziecińczych, ale nie miała więcej dzieci.

– A więc Tristram...

– Tristram jest synem Grenville'a, a zatem Grenville jest moim dziadkiem. A ja mam zamiar ożenić się z moją daleką kuzynką!

– A Pettifer mówił, że Zofia nie znaczyła wiele dla Grenville'a, tyle tylko, że dla niego pracowała.

– Gdyby to miało pomóc Grenville'owi, Pettifer przysięgłby, że czarne jest białe.

– Przypuszczam, że tak by właśnie postąpił. Ale Grenville w gniewie nie był aż tak dyskretny: „Nie jesteś moim jedynym wnukiem... „

– Grenville to powiedział?

– Tak, do Eliota. A Eliot sądził, że miał na myśli mnie.

Dojechaliśmy na szczyt wzgórza. Światła miasteczka zostały daleko w tyle. Przed nami, za stłoczonymi razem domkami Ernesta Padlowa, rozpościerała się ciemna linia brzegu nakrapiana światełkami przypadkowo rozrzuconych farm. Jeszcze dalej był już tylko czarny przestwór morza.

– Nie przypominam sobie, abyś prosił mnie o rękę – nadmieniałam.

Mikrobusik podskakiwał i trząsł się na wjeździe do Boscarvy.

– Nie umiem prosić o cokolwiek – wyjaśnił Joss. Zdjął jedną rękę z kierownicy i położył ją na mojej.

– Zwykle po prostu mówię, o co mi chodzi.

Podobnie jak kiedyś, Pettifer wyszedł nam na spotkanie. Gdy tylko Joss wyłączył silnik samochodu, w hallu zapaliło się światło. Pettifer otworzył drzwi, jakby instynktownie wyczuł, że nadjeżdżamy.

Patrzył, jak Joss otwiera drzwi samochodu i z wyraźnym bólem wydostaje się z niego. Zauważył twarz Jossa...

– Na miłość boską, co ci się stało?

– Mieliliśmy małą różnicę zdań z naszym starym znajomym Morrisem Tatcombe. Sądzę, że nie wyglądałbym tak, gdyby Morris nie miał ze sobą trzech swoich kumpli.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, nic mi nie będzie, kości są całe. Chodźmy do środka.

Kiedy weszliśmy, Pettifer zamknął za nami drzwi.

– Joss, naprawdę cieszę się, że cię widzę. Dobrześmy się tu poznali i nie omyliłem się.

– Jak się czuje Grenville?

– Wszystko w porządku. Siedzi jeszcze w salonie i czeka na powrót Rebeki.

– A Eliot?

Pettifer spoglądał to na mnie, to na Jossa.

– Wyjechał.

– Lepiej będzie, jeśli opowiesz nam o tym wszystkim – podsumował Joss.

Rozsiedliśmy się wokół stołu w kuchni.

– Po wyjeździe Rebeki Eliot zszedł do pracowni i przyniósł stamtąd portret Zofii. To był ten, którego szukaliśmy i nigdy nie mogliśmy znaleźć.

– Nie rozumiem – wtrąciłam. Joss wyjaśnił.

– Tylko Pettifer wiedział, że Zofia była moją babcią. To wszystko działo się tak dawno temu, że nikt jej już nie pamiętał. Grenville wołał, żeby tak zostało.

– Ale dlaczego istnieje tylko jeden portret Zofii, na którym widać jej twarz? Grenville na pewno namalował ich więcej. Co się stało z resztą?

Nastąpiła mała przerwa, w trakcie której Joss i Pettifer spoglądali po sobie. Na Pettifera wypadło udzielić odpowiedzi, co zresztą zrobił z wielkim taktem.

– Wszystko przez starszą panią Bayliss. Była zazdrosna o Zofię, nie żeby znała choć cień prawdy, ale dlatego że Zofia była częścią drugiego życia pana komandora, dla którego pani Bayliss nie miała czasu.

– Chodzi ci o jego malowanie?

– Tak. Z Zofią nigdy nic jej nie łączyło, najwyżej chłodne „dzień dobry”, jeżeli przypadkiem spotkały się na mieście. Pan komandor wiedział o tym i nie chciał jej martwić, dlatego rozsprzedał wszystkie portrety Zofii... no, z wyjątkiem tego, który znaleźliście. Wiedzieliśmy z Jossem, że on gdzieś tu musi być. Kiedyś spędziliśmy cały dzień na poszukiwaniach, ale nic nie znaleźliśmy.

– A co zrobilibyście, gdybyście go znaleźli?

– Nic. Po prostu nie chcieliśmy, aby znalazł go ktokolwiek inny.

– Nie rozumiem, dlaczego to było takie ważne.

– Grenville nie chciał, aby ktokolwiek wiedział o jego związku z Zofią – wyjaśnił Joss. – Nie dlatego, żeby się tego wstydził, bo bardzo ją kochał. Gdyby umarł, nie miałoby to już znaczenia. Ale żyje, jest człowiekiem dumnym i postępującym według pewnych zasad moralnych. Możemy je uważać za staroświeckie, jednak są to wciąż jego zasady. Czy to ci coś wyjaśnia?

– Myślę, że tak.

– Dzisiejszej młodzieży – wymówił z trudnością Pettifer – wydaje się, że to ona wymyśliła

swobodę obyczajów. W tej dziedzinie nie ma nic nowego pod słońcem, tylko że za czasów młodości pana komandora robiło się to bardziej dyskretnie.

Zgodziliśmy się z tym bez oporów. Tu wtrącił się Joss.

– Odbiegliśmy trochę od tematu. Pettifer zaczął mówić o Eliocie...

Pettifer spróbował się skupić.

– Więc tak. Eliot wtargnął jak burza do salonu i ustawił ten portret nad kominkiem, obok tego drugiego, który przedtem tam wisiał. Pan komandor nie powiedział ani słowa, tylko się przyglądał. Wtedy Eliot zapytał: „Co to ma wspólnego z Jossem Gardnerem?” I pan komandor powiedział mu wszystko. Całą prawdę, ale spokojnie, z godnością. Pani Rogerowa też tam była i mało jej szlag nie trafił. Krzyczała, że przez te wszystkie lata pan komandor ich oszukiwał, utrzymując Eliota w przekonaniu, że jest jego jedynym wnukiem i odziedziczy Boscarwę po jego śmierci. Pan komandor stwierdził, że nigdy nic takiego nie mówił, że to były tylko domysły i dzielenie skóry na żywym niedźwiedziu. Wtedy Eliot powiedział chłodno: „Może więc teraz będziemy mogli poznać twoje plany?” Na to pan komandor odpowiedział mu, że jego plany to jego sprawa, i miał rację!

Triumfalnej nucie tych słów towarzyszyło uderzenie pięści Pettifera w stół kuchenny.

– I co wtedy zrobił Eliot?

– Eliot stwierdził, że w takim razie umywa ręce od wszystkiego... miał na myśli całą rodzinę. Że też ma swoje plany i cieszy się, że się nas pozbędzie. Zabrał trochę papierów do teczki, nałożył płaszcz, gwizdnął na psa i wyszedł. Słyszałem, jak wyjeżdżał samochodem, i tak się to skończyło.

– Dokąd mógł pojechać?

– Przypuszczam, że do High Cross.

– A Mollie?

– Rozplakała się, próbowała zatrzymać go, „żeby nie zrobił jakiegoś głupstwa”, jak mówiła. Błagała go, żeby został. Zrzucała winę na pana komandora. Ale oczywiście nic z tych rzeczy nie było w stanie zatrzymać Eliota. Jeżeli dorosły człowiek chce opuścić dom, to nie zatrzyma go nawet własna matka.

Na przemian targały mną smutek i sympatia dla Mollie.

– Gdzie ona jest teraz?

– Na górze, w swoim pokoju – odpowiedział Pettifer dosyć szorstko. – Kiedy zaniósłem jej tacę z podwieczorkiem, widziałem, że siedzi przy swojej toalecie jak kamienna figura.

Cieszyłam się, że nie było mnie przy tym wszystkim. To brzmiało zbyt dramatycznie. Biedna Mollie.

– Pójdę na górę i pomówię z nią – zaproponowałam.

– A ja – dopowiedział Joss – pójdę do Grenville’a.

– Powiedz mu, że za chwilę tam przyjdę. Joss uśmiechnął się.

– Poczekamy na ciebie – obiecał.

Zastałam Mollie bladą i zalaną łzami, siedzącą przy ozdobnej toalecie. To też była cecha jej charakteru, bo nawet najcięższe zmartwienie nie byłoby w stanie skłonić Mollie do rzucenia się na łóżko – przecież narzuta mogłaby się pognieść! Kiedy weszłam do jej pokoju, podniosła głowę i w potrójnym lustrze ukazały się trzy jej odbicia. Po raz pierwszy, odkąd ją widziałam, wyglądała na swój wiek.

– Czy dobrze się czujesz? – spytałam. Patrzyła w ziemię, zwijając w palcach pomietą chusteczkę. Podeszłam do niej. – Pettifer wszystko mi powiedział. Tak mi przykro!

– To była taka potworna nieuczciwość. Grenville nigdy nie lubił Eliota, miał do niego jakieś dziwne pretensje. Oczywiście teraz już wiemy dlaczego. Zawsze próbował kierować życiem Eliota, wtrącać się między mnie a niego. Cokolwiek zrobiłam dla Eliota, wszystko było złe.

Przyklękłam koło niej i otoczyłam ją ramieniem.

– Jestem przekonana, że chciał jak najlepiej. Czy nie mogłabyś spróbować w to uwierzyć?

– I nawet nie wiem, dokąd pojechał. Nie powiedział ani słowa. Nawet się nie pożegnał!

Zorientowałam się, że o wiele bardziej jest zmartwiona gwałtownym odjazdem Eliota niż rewelacjami dotyczącymi Jossa. To było nawet lepiej, gdyż byłam w stanie ją pocieszyć, jeśli chodziło o Eliota, natomiast niewiele mogłabym pomóc w sprawach dotyczących Jossa.

– Przypuszczam – zaczęłam ostrożnie – że Eliot mógł pojechać do Birmingham.

Spojrzała przerażona.

– Dlaczego do Birmingham?

– Eliot mówił mi kiedyś, że mieszka tam jakiś gość, który chce dać mu pracę. To coś związanego ze starymi samochodami. Wydawał się być tym zainteresowany.

– Ale ja nie mogłabym mieszkać w Birmingham!

– I wcale nie musisz. Eliot powinien zacząć żyć na własny rachunek. Daj mu szansę, aby samodzielnie pokierował swoim życiem.

– Ależ zawsze byliśmy razem!

– Więc może właśnie nadszedł czas, aby zacząć żyć oddzielnie. Masz swój dom w High Cross, a tam swój ogród i przyjaciół...

– Nie mogę opuścić Boscarvy, ani Andrei, ani Grenville'a...

– Owszem, możesz. Uważam, że Andrea powinna wrócić do Londynu, do swoich rodziców. Zrobiłaś dla niej wszystko, co mogłaś, ale tu nie jest dla niej miejsce. To, co się stało, stało się właśnie dlatego, że czuła się nieszczęśliwa i samotna. Jeśli zaś chodzi o Grenville'a – ja z nim zostanę!

W końcu zesłam na dół, zabierając ze sobą tacę po podwieczorku. Zaniiosłam ją do kuchni i postawiłam na stole. Pettifer siedział tam, czytając popołudniową gazetę, sponad której spojrzał na mnie, gdy wchodziłam.

– Co z nią? – zapytał.

– Już wszystko w porządku. Zgodziła się, że Andrea powinna wrócić do domu, do Londynu. A sama wyjedzie wtedy do High Cross.

– Zawsze tego chciała. A panienka co zrobi?, – Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, zostanę tutaj. Przez twarz Pettifera przemknął lekki przebłysk satysfakcji, bliski osiągnięcia wyrazu pełnego zachwytu. Nie musiałam już mówić nic więcej. Zrozumieliśmy się doskonale.

Pettifer przewrócił stronę gazety.

– Oni są tam w salonie – oznajmił. – Czekają na panienkę! – Po czym skupił się nad lekturą sprawozdań z wyścigów.

Kiedy weszłam do salonu, na tle dwóch portretów Zofii w białej sukni przy kominku stał Joss, zaś Grenville siedział zanurzony w swoim fotelu. Obaj spojrzeli w moją stronę – zarówno długonogi młody człowiek o łobuzerskich, czarnych oczach, jak starszy pan, zanadto zmęczony, aby wstać. Szłam do nich, do dwóch ludzi, których kochałam najbardziej na świecie.